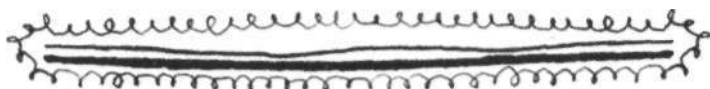


MARIA NUROWSKA

SPRAWA
NINYS.

wydawnictwo
ab
two

M A R I A N U R O W S K A



autorka powieści i dramatów. Wydała ponad dwadzieścia książek, m. in. *Listy miłości* (1991), sagę *Panny i wdowy* (1991-1993), *Rosyjskiego kochanka* (1996), *Miłośnicę* (1999), *Niemiecki taniec* (2000), opowieść biograficzną o Ryszardzie Kuklińskim *Mój przyjaciel zdrajca* (2004), trylogię ukraińską: *Imię twoje...* (2003), *Powrót do Lwowa* (2005), *Dwie miłości* (2006) oraz wspomnienia *Księżyc nad Zakopanem* (2006). W 2008 roku nakładem W. A. B. ukazała się książka biograficzna *Anders*. Powieści Marii Nurowskiej zostały przetłumaczone na dwanaście języków, w tym chiński i koreański. We Francji i w Niemczech były bestsellerami.

MARIA NUROWSKA

SPRAWA
NINYS.



10015020

Wzorem Jarosława Iwaszkiewicza, autorka informuje że „ani topografia, ani chronologia, ani faktografia nie odpowiada tu żadnej rzeczywistości... Żadna osobistość ukazana tutaj, żaden fakt nie odpowiada rzeczywistym zdarzeniom, jest to czysta fikcja”.

Piątego września dwa tysiące ósmego roku w godzinach porannych ekipa komisarza Zawadki została wezwana na ulicę Różaną w Warszawie, gdzie znaleziono zwłoki mężczyzny.

Dobrze mi się zaczyna dzień - pomyślał komisarz. Wchodząc ze swoimi ludźmi do eleganckiej, dwupiętrowej kamienicy, zauważył przy wejściu mosiężną tabliczkę z napisem:

Jerzy Baran
Kancelaria Radców Prawnych
Rechtsanwalte

Ciekawe, co ci radcowie będą mi mieli do powiedzenia, chociaż sądząc po nazwisku ich szefa, pewnie niewiele. Zaraz się jednak zreflektował, bo sam miał kłopot ze swoim, odkąd telewizja nadawała serial kryminalny, w którym głównym bohaterem był komisarz Zawada.

Na schodach minęli załogę pogotowia ratunkowego, lekarz rzucił przez ramię:

- To sprawa dla was, zastaliśmy trupa.

Drzwi do mieszkania na drugim piętrze otwarte były na oścież i stała w nich roztrzęsiona młoda ko-

bieta, a tuż za nią nie mniej zdenerwowany mężczyzna w średnim wieku.

- Kto znalazł zwłoki ? spytał komisarz.

- Ja - odpowiedziała - to znaczy my... z tym panem klientem, bo go zaraz zawołałam i on dzwonił na pogotowie i na policję...

Mężczyzna potwierdził jej słowa kiwnięciem głowy.

- Gdzie są zwłoki? Proszę zaprowadzić.

W dużym owalnym pokoju o weneckich oknach leżał na podłodze Otyły, odwrócony na bok mężczyzna. Twarz miał uniesioną ku górze i półotwarte oczy. Szlafrok mężczyzny był rozchylony, co pozwalało dostrzec rany postrzałowe klatki piersiowej, na podłodze widoczna była niewielka kałuża krwi.

Kiedy komisarz pochylił się nad zwłokami, odkrył też siady po kulach na brzuchu zabitego.

O ho ho, wygląda na to, że ktoś władował w faceta cały magazynek. Musiał go bardzo nie lubić - zwrócił się potem do świadków. - Nic państwo nie ruszali?

Nic, broń Boże - odpowiedziała szybko młoda kobieta, a jej towarzysz znowu kiwnął głową.

Widocznie zaniemówił - pomyślał komisarz.

- Zna pani tego mężczyznę?

- Tak, to pan mecenas Jerzy Baran, ja pracuję... pracowałam u niego... jako sekretarka. Przyszłam jak zwykle do pracy tuż przed dziewiątą...

- Dobrze, potem złoży pani zeznania. A ten pan skąd się tu wziął?

- To klient, był umówiony.

- Kto z państwa przyszedł pierwszy?

Spojrzeni po sobie.

- Chyba razem - odpowiedziała kobieta. - Ja otwierałam drzwi do kancelarii, a ten pan wchodził do budynku.

- Dobrze, złoży pani zeznania na komendzie - przerwał jej komisarz i łagodniej dodał: - Jak się pani trochę uspokoi.

Dziewczyna nie wyglądała na morderczynię, a sytuacja, w której się nieoczekiwanie znalazła, wyraźnie ją przerosła.

Nazywała się Katarzyna Wójcik i jako pierwsza zeznawała w sprawie morderstwa radcy prawnego Jerzego Barana.

(nagranie)

Nazywam się Katarzyna Wójcik, lat dwadzieścia siedem, stan cywilny: panna, zawód: sekretarka.

Pana mecenas Jerzego Barana poznałam sześć lat temu... To znaczy, najpierw poznałam panią Ninę, która przychodziła do mojej ciotki... Zofii Wójcik...

Pani Nina Sworowicz jest znaną pisarką a moja ciotka to konserwatorka zabytków i pani Nina przynosiła do jej pracowni obrazy do konserwacji... a właściwie ramy, żeby je odświeżyć... No i wspomniała, że jej mąż, pan mecenas Baran, szuka sekretarki...

Potem z prasy się dowiedziałam, kiedy wychodziły te wywiady z panią Niną że oni się nie chajtnęli, ale ona mówiła o panu mecenasie „mój mąż”, a on o pani Ni-

nie „moja żona”. „Proszę mnie połączyć z moją żoną” - mówił pan mecenas. Często ze sobą rozmawiali, czasem z dziesięć razy dziennie, i na stacjonarny, i na komórkę... Jakby nie mogli bez siebie wytrzymać tych parę godzin... Tak sobie myślałam...

Ale przedtem mnie to nie dziwiło, że są razem, bo pani Nina tak wyglądała, jakby była młodsza od pana mecenasa... Może przez te swoje kilogramy pan mecenas miał taki poważny wygląd... Więc jak ja potem przeczytałam w gazecie, ile pani Nina ma lat i ile pan mecenas ma lat, po prostu nie mogłam w to uwierzyć... myślałam, że to jakaś ścierna... I teraz też nie mogę uwierzyć... Co się stało, kto miał taką złość do pana mecenasa, że zrobił coś aż tak potwornego...

Jaki to był związek? Ja widziałam dwoje kochających się ludzi... oni ze sobą tak ładnie rozmawiali... No tak jakoś wesoło... było mi przyjemnie na nich patrzeć, jak byli razem... No potem, potem to już nie było przyjemnie, jak przyszłam na Freta, żeby oddać pani Ninie klucze do mieszkania...

Aha, mam mówić po kolei, dobrze. No i jak pani Nina powiedziała mojej cioci, że potrzebna jest sekretarka do kancelarii prawnej, ciocia na to, że jej bratanica, czyli ja, właśnie szuka pracy. Miałam ciężko. Rodzice zrobili mi bydło, więc się od nich wyniosłam. Przez pół roku byłam sekretarką pana mecenasa Mrowca, ale umarł na zawał. I zostałam bez kasy. I wtedy pani Nina powiedziała, żebym zadzwoniła do pana mecenasa, i dała mi jego telefon. Zadzwoniłam. Wtedy jeszcze kancelaria była na Starym Mieście, przy ulicy

Freta, na drugim piętrze. Cieszyłam się, bo to czadowe miejsce... Lubiłam tam przychodzić, bardziej niż na Różaną. Niby też elegancko, ale to całkiem co innego. Stare Miasto to Stare Miasto, a Mokotów wiocha... Nie, przez te lata nie zauważyłam żadnej zmiany w ich zachowaniu, ciągle ich łączyłam, albo on do pani Niny dzwonił, albo ona do niego... I pan mecenas się często śmiał do słuchawki, słyszałam przez drzwi... i mówił „cześć, kochanie”... potrafili tak sobie słodzić godzinami. Tak było do kwietnia dwa tysiące szóstego roku, i nagle w maju cisza. Myślałam, że pani Nina wyjechała daleko, ale nawet kiedy ona gdzieś wyjeżdżała, to często ze sobą rozmawiali... A teraz nic, jakby ktoś kabel przeciął... A w sierpniu pan mecenas nam wyskoczył z informacją że kancelaria się przenosi... Pod koniec miesiąca była ta przeprowadzka... Zjawiła się ekipa w kombinezonach, ja ich wpuszczałam, wynieśli wszystko, biurka, komputery... Potem pan mecenas przyszedł i kazał mi opróżnić szafy biblioteczne, to były szafy antyczne, rzeźbione... Spytałam, w co pakować książki, a pan mecenas na to, żeby nie pakować, tylko złożyć je na podłodze pod ścianą. Wydało mi się to dziwne, bo dookoła było pełno kurzu i śmieci. Jak zaczęłam te książki wyjmować, zobaczyłam, że to książki napisane przez panią Ninę, i przetłumaczone, najwięcej wydań niemieckich, ale i francuskich, i hiszpańskich, i innych... Pomyślałam wtedy, że coś tu jest nie halo, że te egzemplarze się przecież poniszczą takie piękne wydania, w twardej okładce. I w miękkiej, nawet większość w miękkiej...

ale w końcu to nie była moja sprawa... Ci ludzie wynieśli szafy i myślałam, że już po przeprowadzce, a tu pan mecenas kazał poodkręcać kontakty, poobcinać czujki od alarmu. Elektryk nawet powiedział, że jak się te czujki obetnie, nowy lokator będzie musiał pruć ściany, a pan mecenas na to, że to już zmartwienie nowego lokatora... No a potem dostałam polecenie od pana mecenasa, aby pojechać z kluczami na Freta i oddać te klucze pani Ninie, która też tam przyjdzie. Ale miałam je oddać dopiero, jak spiszemy liczniki od elektryczności, zimnej wody i gazu, pani Nina ma podpisać protokoły i dopiero można jej oddać klucze. No to już było dla mnie pokręcone... Pani Nina przyszła z córką, z panią Gabriellą. I kiedy zobaczyły puste mieszkanie, z tymi dziurami w ścianach... Usłyszałam, jak córka mówi do pani Niny:

- Zostawił po sobie spaloną ziemię.

A potem przeczytałam wywiad pani Niny w jednej z gazet i to normalnie był dla mnie kolejny szok, bo dowiedziałam się, że mieszkanie na Freta było jej i dom w Brwinowie też. Oni tam razem mieszkali, pan mecenas bardzo narzekał na dojazdy, że korki... No i że ona ten dom na niego przepisała, żeby pan mecenas mógł wziąć kredyt hipoteczny na kancelarię, właśnie tutaj, na Różanej...

W Brwinowie byłam tylko raz, zawoziłam panu mecenasowi jakieś papiery... Dom był naprawdę piękny, taki dworek z kolumnami. I wewnątrz ładnie urządzone... A na Różanej pan mecenas zajmuje całe piętro, w jednej części ma mieszkanie, w drugiej kan-

celarię... O ile wiem, on to kupił tanio, bo był jakiś bałagan w papierach, coś z księgami wieczystymi. A poprzednie właścicielki, dwie Niemki, chciały się pozbyć kłopotu... Pani Nina z panem mecenasem rozmawiali na Freta, że warto to kupić, bo tutaj jest ciasno, a jak kancelaria ruszy, i tak trzeba będzie pomyśleć o czymś większym. Pani Nina dowiedziała się od znajomej o tej okazji. Pan mecenas coś marudził, że jest goły i go nie stać, a pani Nina na to:

- Weźmie się kredyt.

W tym mieszkaniu pana mecenasa byłam tylko raz, kiedy zachorował, robiłam mu zakupy... Takie mi się wydało trochę ponure, bo bez remontu się pan mecenasa wprowadził...

Więc ten wywiad... Nie mogłam w nocy spać, tylko myślałam, co ja mam z tym zrobić... Pani Nina była taką miłą osobą moja ciocia znała ją tyle lat i lubiła bardzo... dostawała od pani Niny książki z dedykacją... Rano pojechałam do cioci, żeby się poradzić.

- Może to nie jest prawda - powiedziałam. - Pan mecenasa chyba by nie mógł być taki.

Na to moja ciocia:

- Jeśli chodzi o pieniądze, każdy mógłby być taki.

- Sorry, ale ja na pewno nie - zaprotestowałam.

- Jeszcze tego o sobie nie wiesz.

Ciocia kazała mi siedzieć cicho i pilnować swojej pracy.

- To są prywatne sprawy pracodawcy - powiedziała. No niby tak, więc po co pani Nina to ujawniała? Ale córka pani Niny przyszła po obraz, który leżał w pra-

cowini już z pół roku, i wyjaśniła nam, że ktoś im doradził, żeby całą sprawę nagłośnić. Może wtedy konkubent, czyli pan mecenas, się przestraszy i pójdzie na ugodę. Ale z tego, co wiem, to pan mecenas się nie przestraszył... No, pani Nina wytoczyła mu sprawę o zwrot majątku, ale ta sprawa jest jeszcze w pierwszej instancji... wyroku nie było i chyba już nie będzie, bo z kim się ma pani Nina sądzić, z umarłym?

Nie, nic mi nie wiadomo, żeby pan mecenas był potem w związku, na pewno mieszkał sam, tylko córki do niego przyjeżdżały... Coś tam aplikanci plotkowali, że ma jakąś laskę, ale ją ukrywa... Mogła to być prawda, bo często go łączyłam z jedną prawniczką z Gdańska. I słyszałam, jak się z nią wita: „noo, cześć”. To już nie było „cześć, kochanie”, ale mówione tym samym nasłodzonym głosem... no, takim męsko-damskim... I ona kilka razy była w kancelarii, trochę sztywna jak dla mnie, ani się nie uśmiechnęła, bizneswoman w kostiumie... On się do niej zwracał „pani mecenas”, ale to było na pokaz, przed obcymi, na sto procent. Kiedyś zanosila do gabinetu herbatę, to siedzieli oboje przy stoliku, głowa przy głowie. Na mój widok zaraz się pan mecenas od niej odsunął...

A tego dnia... po dziewiątej godzinie przyszedłam do kancelarii. Od razu zauważyłam, że drzwi do mieszkania pana mecenasa są uchylone, ale tam nie zaglądałam. Zaraz potem przyszedł pierwszy umówiony klient, a że pan mecenas się nie pokazał, zadzwoniłam na zwykły telefon, a potem na komórkę. Pan me-

cenas nie odbierał, mimo że słyszałam, jak ta komórka u niego w mieszkaniu dzwoni. Więc tam w końcu weszłam. -I to; co zobaczyłam... aż mi teraz brakuje tchu, przepraszam... No więc pan mecenas leżał na podłodze, w szlafroku, przekręcony na bok... Myślałam, że może zasłabł, ale zobaczyłam krew i... film mi się urwał. To ten pan klient zadzwonił po pogotowie i po policję, byliśmy tylko we dwoje na piętrze, ja i on... Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Komisarz Zawadka wezwał swoich podwładnych na naradę. Nie był szczególnie podekscytowany tą sprawą, pewnie to jakiś napad w celach rabunkowych, chociaż na pierwszy rzut oka nic nie zginęło.

- Albo niezadowolony klient - rzucił któryś z chłopców.

- No, tylko bez takich - osadził go komisarz. - Co już wiemy o sprawie?

- Kancelaria miała głównie zagranicznych klientów, między innymi prowadziła obsługę dużego niemieckiego koncernu. Obroty ten Baran miał spore, ale wszystko zgodne z dokumentacją.

- To się jeszcze okaże - mruknął.

- Jeden trop to sprawy kancelarii - referował dalej Aksamitny, tak go przewalili koledzy, bo głos miał niemal kobiecy, wybitnie niepasujący do jego postury. Ale za to zdolności nieprzeciętne, komisarz nauczył się liczyć z jego zdaniem. - Jest też ta pisarka... tylko po co by miała zabijać kolesia w trakcie rozprawy sądowej?

- Zraniona kobieta jest zdolna do wszystkiego
- wtrącił któryś.

- Trzeba ją przesłuchać w następnej kolejności
- zawyrokował komisarz.

- Ustalono, że strzały padły z pistoletu P-64, kaliber 9 milimetrów, w ciele ofiary znaleziono sześć kul.

- Czyli cały magazynek - pochwalił się Zawadka. - Ma się to oko. No i wiadomo, kierunek Ukraina. Może to zabójstwo na zlecenie?

- Raczej nie - pokręcił głową Aksamitny. - Wygląda na to, że strzelał amator, z bliskiej odległości.

- I nikt nic nie widział? Nie słyszał? - wypytywał dalej komisarz.

- Nie, ten dom ma tylko dwóch właścicieli, a ci z pierwszego piętra gdzieś wyjechali.

- A z parteru?

- Parter jest niezamieszkały. Dom stoi w pewnym oddaleniu od reszty budynków na tej ulicy. Jest przedwojenny i ma solidne mury, sąsiedzi mogli nie słyszeć strzałów. A z innej beczki: pan radca był żonaty, nie rozwiódł się przez te sześć lat, które spędził w ciepłym gniazdku pani pisarki. Z żoną utrzymywał stały kontakt, tak jak z trzema swoimi córkami. Był podobno wyjątkowo troskliwym ojcem.

- To się jeszcze okaże - powtórzył komisarz swój ulubiony zwrot.

Następnego dnia Zawadka wychodził właśnie od fryzjera, kiedy zadzwoniła komórka:

- Co jest?
- Przesłuchaliśmy tę pisarkę, panie komisarzu, i przyznała się - zameldował Aksamitny.
- Jak to przyznała się?
- No, oświadczyła, że to ona zabiła Jerzego Barana, i powiedziała, że oczekuje aresztowania, odmówiła też składania wszelkich wyjaśnień.

Skoro tak, o wyjaśnienia poproszono jej córkę, Gabrielę Sworowicz.

Do pokoju przesłuchań weszła niezbyt wysoka szatynka, dość skromnie ubrana.

- Od czego mam zacząć? - spytała komisarza Zawadkę.
- Najlepiej od początku - odparł. - Skoro Nina Sworowicz milczy, pani musi opowiedzieć nam wszystko, co pani wie o życiu swojej matki.

(nagranie)

Nazywam się Gabriela Sworowicz-Olszewska, mam trzydzieści dziewięć lat, stan cywilny: wdowa, zawód: pedagog.

Według Freuda nikt nie jest bardziej bezbronny wobec cierpienia niż ten, kto kocha... to by pasowało do naszej mamy Niny, jak ją nazywała w dzieciństwie moja starsza o cztery minuty siostra. Na złość, że mama nie pozwala mówić do siebie po imieniu. „Jak tak, to będzie mamą Niną i już” - zawyrokowała.

Więc mama Nina była bezbronna wobec tego, co ją spotkało. W jednej chwili runęły dwa filary jej życia: miłość do mężczyzny i dom, a właściwie to dom

utraciliśmy my wszyscy, cała nasza czteroosobowa rodzina: mama, moja siostra Lilka, jej syn Piotruś, no i ja...

Miałyśmy nie więcej niż osiem lat i siedząc na schodkach werandy, dobijałyśmy targu. Rzecz w tym, że bardzo mi się nie podobało moje imię, a nawet szczerze go nie cierpiałam. Brzmi ono Gabriela, więc w domu nazywano mnie Gapcią a w szkole Gapą. Lilka zgodziła się zostać tą Gapcią za zdjęcie Janusza Gajosa z dedykacją czyli Janka z *Czterech pancernych*, ale niestety zamiana nie doszła do skutku, bo mama nie dała się na to nabrać. Ona jedna nas rozpoznawała, mimo że byłyśmy identyczne, obie skośnookie, ciemnowłose, z grzywką. Tylko charaktery miałyśmy różne. Kiedy robiłam mamie wymówki, że mnie tak dziwacznie nazwała, ucinała krótko, że moje imię jest oryginalne i piękne. Może dla takiej literatki jak ona, ale nie dla moich kolegów i koleżanek, po prostu nabijali się ze mnie.

Jak wiadomo mama jest pisarką i odkąd pamiętam, wszystko kręciło się wokół tego, czy będzie miała natchnienie. Od jej natchnienia zależała nasza codzienna egzystencja. I to było bardzo męczące dla wszystkich domowników, a trzeba dodać, że mieszkał z nami jeszcze dziadzio Aleksander Sworowicz, tata naszej mamy, który, odkąd pamiętam, był już bardzo stary. A właściwie my u niego mieszkaliśmy, bo dom ten dziadzio zbudował przed wojną światową dla swojej rodziny: żony, to znaczy naszej babci, i swoich przy-

szyłych dzieci. Ciocia Zofia, a właściwie Zocha, bo tak o niej mówimy, jest starsza od naszej mamy o całe dwadzieścia lat. Mama była późnym dzieckiem. „Przytrafiła się” -jak czasami dziadzio żartował. Siostry są nawet do siebie podobne, tylko to, co u naszej mamy jest ładne, u ciotki Zochy szpeci: zbyt wydatny nos, wyblakły kolor oczu i grube łydki. Nasza mama ma naprawdę fantastyczne nogi. Lilka uważała, że to wszystko się marnuje, bo długi czas nie widać było na horyzoncie żadnego mężczyzny.

Co do ciotki Zochy, zawsze się strasznie szarogęsiła. Jej to się naprawdę dobrze powodziło, miała prywatny gabinet dentystyczny w Alejach Jerozolimskich róg Poznańskiej i jeszcze podobno miała renomę. Ciagle o tej swojej renomie mówiła, więc sprawdziłyśmy z Lilką w słowniku, że to „sława, rozgłos, wziętość”. Z francuskiego *renomme*. Lilka uczyła się tego języka, ja wolałam angielski. Mama dała nam do wyboru jeden język zachodni, poza tym obowiązkowym w szkole. Więc Lilka wybrała francuski, bo jej zdaniem był elegancki. Wybierała się na filologię romańską, ale jak to w życiu bywa, skończyła zupełnie inne studia i tym ważniejszym językiem stał się dla niej angielski, którym dawniej tak pogardzała.

Wracając do naszego domu, dziadzio zbudował go w Brwinowie, w letniskowym miasteczku pod Warszawą, według projektu znanego architekta Marcconiego. Wszyscy, którzy do nas przychodzili, wychwalali głośno cudowne proporcje naszej willi i w ogóle samą willę. Ja tych zachwyków nie podzielałam, bo

zwyczajnie nasz dom się sypał i widać to było gołym okiem. Nie miałyśmy pieniędzy na remont, dziadzio dostawał małą emeryturę jako profesor uniwersytecki i tylko czasami pisał na zlecenie recenzje prac doktorskich. My się jeszcze uczyłyśmy. Więc biedna mama musiała wszystko sama ciągnąć. Niestety za często to powtarzała i nam z siostrą aż się przewracało w brzuchu, jak tak zaczynała biadolić nad swoim losem. Lilka jej kiedyś poradziła, żeby wyszła bogato za męża i wtedy ten jej mąż wyremontuje nam dom. Ale mama odpowiedziała na to:

- Nie bądź bezczelna.
- Ja tylko jestem praktyczna - odszczeknęła moja siostra - i na pewno lepiej się urządzę niż ty.

A mama na to:

- Zobaczymy.

Jak pokazało życie, było w tym dużo racji. Już we wczesnym dzieciństwie Lilka potrafiła o siebie zadbać, ja zwykle ładowałam się wprost do kałuży, a ona przeciwnie, obchodziła ją bokiem, żeby nie zamoczyć pantofelków.

Poza dziadkiem Sworowiczem mężczyźni w naszym życiu byli nieobecni. Podobno ciotka Zocha miała jakiegoś męża, ale zniknął dosyć szybko, więc go nie zapamiętałyśmy. Niczego też nie było wiadomo o naszym ojcu. Kiedyś Lilka, ta odważniejsza, spytała mamę, dlaczego inne dzieci mają tatę, a my nie. I mama na to odpowiedziała, że jesteśmy jeszcze za małe, aby to zrozumieć, i powie nam, kiedy skończymy szesnaście lat. Nam się to czekanie wydawało za

długie, więc same próbowałyśmy wpaść na jego trop. Ale i dziadzio, i ciotka nabrali wody w usta, a myszkowanie w biurku mamy w poszukiwaniu listów i przeglądanie albumów ze zdjęciami nic nie dało. Znalazłyśmy jakieś fotki kolegów mamy ze szkoły, a potem ze studiów, ale do żadnego z nich nie byłyśmy podobne.

- Może to jakiś cudzoziemiec - zachodziła w głowę Lilka - i dlatego tak zniknął.

- Może Chińczyk albo Japończyk, bo mamy skośne oczy. Sama mówiłaś, że nadawałybyśmy się do roli Madame Butterfly bez charakteryzacji - pociągnęłam tę myśl.

Lilka postukała się w czoło.

- Mało mówisz, Gabrycha, ale jak już się odezwiesz, to nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać.

No więc ten nieobecny w naszym życiu ojciec był jednak obecny w postaci wielkiej niewiadomej. Nie pozostawało nam nic innego, jak czekać na spełnienie obietnicy mamy w dniu naszych szesnastych urodzin. I stało się. Były dwa torty urodzinowe ze świeczkami i zdmuchiwanie tych świeczek. Zjawiała się ciocia Zocha z prezentami, Lilka dostała nową raketę do tenisa, a ja album o rasach psów. Kiedyś coś powiedziałam, że może zostanę weterynarzem i ciotka to zapamiętała. Oczywiście musiała przy okazji swojej wizyty coś niemiłego powiedzieć. Zajrzała w kuchni do chlebownika, tak nazywam pojemnik na chleb, i stwierdziła, że u nas się wszystko marnuje, jakbyśmy się urodziły milionerkami, a potem wyjęła kilka

zeschłych bułek i wrzuciła do swojej torby, dla gołębi, jak powiedziała. Lilka twierdzi, że ciotka chciała jej usunąć stały ząb, całkiem dobry, żeby zaoszczędzić na plombie. Nie wiem, jak z tym naprawdę było, ale Lilka się nie zgodziła na to wrywanie i ciotka, chcąc nie chcąc, jej ten ząb wyleczyła, twierdząc oczywiście, że długo nie posiedzi. Od tamtego czasu minęło sporo lat, a moja siostra jakoś nie chodzi szczerbata.

A teraz najważniejsze. Wieczór, jesteśmy w kuchni: mama, Lilka i ja. Zmywamy po kolacji. Rozmawiamy o tym i owym i Lilka w końcu zagaja:

- Pamiętasz, co nam obiecałaś?

Mama spojrzała na nią.

- Co takiego?

- A to, że jak skończymy szesnaście lat, to nam wreszcie powiesz o ojcu.

Mama od razu posmutniała.

- Czy to ma teraz dla was znaczenie?

- Myśmy czekały! - odrzekła Lilka. - Prawda, Gabrycha?

Skinęłam twierdząco głową.

- Ja byłam taka młoda...

- Wiemy, wiemy, miałaś dziewiętnaście lat, jak nas urodziłaś - przerwała jej Lilka.

- Właśnie, i on nie był starszy.

- A dlaczego nas nie chciał? - to znowu Lilka.

- Bo o was nie wiedział.

I tu mama opowiedziała nam historię swojej pierwszej miłości do chłopaka o imieniu Jakub. Chodzili ze

sobą od podstawówki, no i pod koniec liceum rozpoczęli współżycie, jak mama to nazwała. Oczywiście mieli być ze sobą zawsze i wypowiedzieć sakramentalne: „nie opuszczę cię aż do śmierci”. Ale zaraz po maturze on musiał opuścić Polskę.

- Musiał czy chciał? - upewniła się Lilka.

- Musiał, był rok sześćdziesiąty ósmy i pewni ludzie stali się niewygodni.

- Jacy ludzie?

Mama przez chwilę milczała.

- Żydzi.

Popatrzyłyśmy na siebie z Lilką i obie chyba miałyśmy w oczach ten sam strach.

- Żydzi? - spytała cicho moja siostra. - Ten Jakub był Żydem?

- Był Polakiem żydowskiego pochodzenia.

- A dlaczego ci ludzie musieli wyjechać?

- To była sprawa polityczna, ówczesne władze chciały zbić na tym swój kapitał.

- Że jakiś osiemnastolatek musiał opuścić Polskę? To był ten kapitał? Niepoważne. - Lilka wzruszyła ramionami.

- Było bardzo poważne i zaszkodziło naszej ojczyźnie.

I znowu wszystkie trzy milczałyśmy.

- A dlaczego ty nie pojechałaś z tym Jakubem, skoro się tak kochaliście? - spytała Lilka, zawsze była odważniejsza i mówiła za nas obie.

- Nie mogłam - odrzekła mama. - Odprowadziłam go na Dworzec Gdański, bo z tego dworca wyjeżdża-

ły całe rodziny, którym oświadczono, że już nie są Polakami. Obiecał, że napisze. Ale nie napisał.

- Na pewno by napisał, jakbyś mu o nas powiedziała
- odezwała się z wymówką w głosie Lilka.
- Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jestem w ciąży
- usłyszaliśmy.

Kiedy już byliśmy w łóżkach, stwierdziłam nie bez satysfakcji:

- A widzisz, miałam rację, może nie Chińczyk, ale Żyd.
- Przecież on był tym Żydem na niby, idiotko - odpowiedziała Lilka. - Nie słyszałaś, że naszego tatę wypędzono z Polski!

- Rzecz w tym, panie komisarzu, że ja się nie mogę streszczać. Sam pan powiedział, że jeżeli chodzi o ludzkie życie, każdy, nawet najdrobniejszy szczegół się liczy...

Ale bez przesady - pomyślał.

(nagranie)

Ta rozmowa o naszym ojcu toczyła się tak dawno, w innej rzeczywistości.

Obie z Lilką jesteśmy teraz prawie czterdziestolatkami, a ja dziesięć lat temu zostałam wdową. Nie lubię tak o sobie myśleć, ale w świetle prawa tak właśnie jest. W świetle prawa... Znienawidziłam to określenie, bo pojawił się w naszym życiu człowiek, który w świetle prawa odebrał nam nasz dom rodzinny i nic na to nie mogliśmy poradzić.

Pamiętam letni słoneczny dzień, siedziałyśmy z mamą na werandzie, mama przylepiła listek babki na nosie i. przymknęła oczy. Ukradkiem ją obserwowałam. Była taka ładna, miała delikatne rysy twarzy. Dlaczego nie zdecydowała się na stały związek z mężczyzną? Wiem, że miewała romanse, ale nigdy żadnego ze swoich partnerów nie zaprosiła do domu, nie przedstawiła córkom... Albo tak mi się tylko wydawało, może przed Jerzym Baranem nie było nikogo, może pojawiał się w jej życiu jako spóźniony przechodzień. W marcu następnego roku mama pojechała do Niemiec zbierać materiały do książki...

To był marzec dwutysięcznego roku, panie komisarzu.

- A przepraszam, na jakich latach się zatrzymaliśmy? - spytał.

- Osiemdziesiątych...

(nagranie)

Trzeba przyznać, że w naszej rodzinie wstrząsów nie brakowało. Moja ciotka skwitowała to nawet słowami: „Wszystko w innej kolejności niż u normalnych ludzi...”

Wiosna tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt pięć. Bardzo na nią czekałam. Uwielbiam kwitnące kasztany, ale jeszcze wtedy nie zakwitły, bo jak na maj, było wyjątkowo zimno. W naszym domu też powiało chłodem, a nawet więcej, zrobiło się lodowato. Mama płakała, Lilka płakała, dziadzio się denerwował, bo nie wiedział, co się takiego stało. A stało się to, „że

niedaleko pada jabłko od jabłoni", jak mówiła ciotka Zocha.

I żeby to jeszcze Gapcia - szlochała mama - ale ty, ty, Lilka!

- A ty? - odpowiedziała moja siostra na to.

- Ja... byłam od ciebie starsza !

Więc już wiadomo, o co chodziło. Lilka była w ciąży. Z kolegą z klasy. Wina leżała nie tylko po jej stronie, ale trochę i po mojej. Wszystkie nasze koleżanki już miały „to” za sobą, tylko my jeszcze nie. Ja w ogóle nie miałam chłopaka, może podkochałam się trochę w Gajosie, ale to przecież co innego. A ona się prowadziła za rączkę z jednym takim. Mnie się nie podobał, bo był wysoki jak tyczka i miał pryszcze na twarzy. Lilka jednak stwierdziła, że to młodzieńczy trądzik i przejdzie.

Tego dnia dziadzio wybrał się z wizytą do ciotki Zochy, a mama przebywała w Oborach, w domu pracy twórczej, a właściwie dawnym pałacu hrabiów Potulickich. Władza komunistyczna odebrała im tę posiadłość ze stawami i pięknym parkiem i podarowała Związkowi Literatów, a związek ten zagrabiony dar przyjął. Lilka mi wytłumaczyła, że nazwa pałacu została spolszczona i pochodziła z francuskiego: *belle odeur*, czyli piękne powietrze.

No więc chata była wolna, w związku z tym siostra kazała mi się ulotnić. Wystawiła w oknie doniczkę i powiedziała, że mogę wrócić, jak doniczka z tego okna zniknie. Ale ta doniczka stała i stała, więc kiedy się zaczęło ściemniać, zdecydowałam się wejść do

domu. Lilka była sama i strasznie nie w humorze. Nic mi nie chciała powiedzieć, dopiero kiedy już leżałyśmy w łóżkach, przy zgaszonym świetle, usłyszałam:

- To nie jest miłe, to jest głupie.

I już więcej nie było o tym mowy, chociaż przedtem obiecywała, że opowie mi wszystko ze szczegółami. Jak to nie jest miłe, a nawet jest głupie - myślałam - to dlaczego tyle się o tym mówi. I w życiu, i w literaturze.

Po jakimś czasie zauważyłam, że moja siostra chodzi zgaszona i nawet popłakuje, kiedy myśli, że nikt nie widzi, ale my przecież mamy wspólną sypialnię. Zagadnęłam ją raz i drugi, i w końcu się przyznała, że jej się spóźnia okres.

- He? - spytałam.

- Trzy tygodnie.

Uradziłyśmy, że odwiedzę ciotkę Zochę, niby że chcę sprawdzić stan swoich zębów, i postaram się od niej dowiedzieć, co w takim wypadku robić. Nie cierpiałam tych wizyt, bo po opowieści Lilki o wrywaniu zdrowego zęba bałam się, że ciotce coś takiego i teraz może przyjść do głowy. A ja nie byłam taka wygadana jak Lilka i pewnie nie umiałabym się obronić. Na szczęście znalazła u mnie tylko jedną małą dziurkę w górnej trójce, którą zaraz załatała.

- Wiesz, ciociu - zaczęłam - nasza koleżanka z klasy ma taki kłopot, że jej się spóźnia okres trzy tygodnie i nie wie dlaczego.

- Albo ma zaburzenia hormonalne, albo jest w ciąży - zawyrokowała ciotka. A potem przyjrzała mi się

i spytała ostro: - Czy to nie ty albo Lilka macie ten kłopot?

- A skąd - odparłam szybko - my się jeszcze nie prowadzamy z chłopakami... Więc co ona ma zrobić, ta koleżanka?

- Niech idzie do ginekologa.

- Ale ona się wstydzi.

- To niech odda mocz do zbadania, sprawdzana myszach, czy jest ciężarna, czy nie.

Strasznie mnie to „sprawdzanie na myszach” przynębiło, ale powtórzyłam Lilce słowo w słowo, co ciotka powiedziała.

- Może masz te zaburzenia z nerwów - zakończyłam z nadzieją w głosie.

- Może - powtórzyła jak echo Lilka - ale zanieziesz mocz do lekarzy.

- Ja? Dlaczego ja?

- Bo... jak coś się wydarzy, to powiesz, że to nie twój i że ktoś cię prosił przed drzwiami, żebyś zniosła. I ten ktoś zniknął.

- To ty też możesz coś takiego powiedzieć - broniłam się.

- A jak mnie wezmą na przymusowe badanie i wszystko się wyda?

Teraz dopiero się przestraszyłam, ale zniosłam ten mocz. Podałyśmy nazwisko ciotki Zochy po mężu, bo inne nam nie przychodziło do głowy, i sporo ją odmłodziłyśmy. Wynik zdruzgotał nas obie. Był dodatni.

- Musimy powiedzieć mamie - rzekłam.

- Zwariowałaś! - wrzasnęła na mnie Lilka.

- Przecież mama nas nie zabije.

Lilka potrzebowała kilku dni na podjęcie decyzji. Mama znowu była w Oborach, miała jakąś pilną pracę do oddania, więc wzięłyśmy taksówkę. Zdezelowana łąda okrążyła gazon i zatrzymała się przed oficyną gdzie mama zwykle zajmowała pokój na piętrze. Zobaczyła nas przez okno, zeszła i zapłaciła taksówkarzowi.

- Co miałyście tak ważnego, żeby przyjeżdżać tu taksówką- skarciła nas. - Jest telefon i taniej kosztuje.

- Ale to nie na telefon - powiedziałam. Nasze role z siostrą się zmieniły, teraz ja odpowiadałam za nas obie.

Mamę też to chyba zastanowiło, bo spytała:

- Coś w szkole? Lilka znowu narozrabiała?

Podaliśmy jej wynik badania. Mama tak pobladła na twarzy, aż się przestraszyłam, że zemdleje.

- Czyje to badanie? Bo chyba nie cioci Zosi?

- Lilki - odrzekłam, a moja siostra spuściła głowę.

Mama milczała długą chwilę.

- Jak was chciałam uświadomić, twierdziłyście, że nie zamierzacie rozpocząć życia seksualnego przed maturą.

- Bo nie zamierzałyśmy. Chciałyśmy tylko wypróbować, jak to jest - wybąkałam.

Mama spojrzała na mnie:

- Jak to, to ty też?

- Nie, ja nie. Lilka mi miała opowiedzieć.

- Lilka ci miała opowiedzieć! Tylko jakie będzie zakończenie tej opowieści! A ja wam tak ufałam!

A potem, w Brwinowie, za zamkniętymi drzwiami, ciotka Zocha tak krzyczała, że na ulicy ją było sły-chać.

- Ufałaś im, szesnastolatkom! Toż to jeszcze głupie kozy... Zostawiałaś je same na całe tygodnie, to teraz masz!

- Nie chodziłam na bale, ale ciężko pracowałam - tłumaczyła się mama.

- Trzeba było zatrudnić gosposię. Ktoś dorosły po-winien być w domu.

- Był przecież tatuś.

- Nasz tatuś buja w obłokach od osiemdziesięciu trzech lat, nie wiesz o tym? To matka wszystko trzy-mała w garści, bez niej chodziłby w dwu różnych bu-tach, jednym czarnym, drugim brązowym. Ale tutaj trzeba działać, załatwić lekarza. Nie ma na co czekać. Liczy się każdy dzień.

Mama powiedziała coś tak cicho, że nie usłyszały-śmy. A ciotka grzmiała dalej:

- Pewnie, że o tym myślę, to jedyne wyjście. Wiesz, co by to było dla takiej dziewczynki chodzenie z brzu-chem, a potem poród?! Przecież ona sama jest jeszcze dzieckiem.

- Ale to takie brutalne, to ją może skrzywić na całe życie - broniła się mama.

- Nie ma innego wyjścia. - Ciotka była nieubłagana. Lilka patrzyła na mnie przestraszona.

- Jakiego wyjścia? - spytała.
- Ja nie wiem - odrzekłam szeptem, chociaż raczej się domyślałam, o czym mama i ciotka mówią. Lilka też się chyba domyślała, tylko nie chciała się do tego przyznać.

I wtedy usłyszaliśmy głos dziadzia:

- Przestańcie wrzeszczeć, bębenki od tego puchną. Lilka urodzi mojego prawnuka!

- Ależ to ma związek ze sprawą, to są fakty, które jak kamienie milowe wyznaczyły życiową drogę naszej mamy - nastroszyła się córka Niny S., a komisarzowi Zawadce nie wypadało nic innego, jak tylko się z nią zgodzić.

(nagranie)

Mama leżała na kanapie i nie można jej było namówić, żeby wstała, zaczęła normalnie żyć. Ten stan trwał od wielu miesięcy.

- Jest źle, boję się, że coraz gorzej - mówiłam przez telefon do mojej siostry, która mieszka w Londynie.
- Musisz przyjechać.
- Teraz nie mogę, mam urwanie głowy w pracy-usprawiedliwiała się.
- Jesteś tu potrzebna!
- Wiem, i coś wymyślę. Daj mi mamę do telefonu.
- Nie będzie chciała rozmawiać.
- Spróbuj.
- Przecież już próbowaliśmy - stwierdziłam z irytacją.

- Ale może w końcu się uda, zrozum, to nie jest moje widzimisię, tutaj się daje z siebie wszystko i nikogo nie interesuje, że czyjaś matka przeżywa zawód miłosny.

- Zawód miłosny! Ona po prostu odchodzi, widzę, jak z dnia na dzień jest jej coraz mniej.

- No to zrób coś, jesteś tam na miejscu! - denerwowała się Lilka.

- Co mam zrobić?

- Nie wiem, kup pistolet i zastrzel tego typa albo ja przyjadę i palnę mu w łeb.

- Nie żartuj, Lilka!

- Ja wcale nie żartuję, po tym, co zrobił naszej mamie i nam wszystkim, nie zasługuje, aby żyć.

- Moja siostra? Ona na pewno żartowała, znam ją tak dobrze jak siebie samą i wiem, że nie potrafiłaby skrzywdzić muchy... Ja wtedy krzyczałam do słuchawki: „A co on mnie obchodzi, mnie obchodzi moja matka i o nią się boję”. „Mama Nina jest z twardego materiału” - odpowiedziała moja siostra, po raz pierwszy od czasu, gdy byłyśmy małe, użyła tego zwrotu. Ale chyba za bardzo wybiegłam do przodu...

- Chyba tak - ciężko westchnął komisarz.

(nagranie)

Dużo się działo w naszym domu od pamiętnej rodzinnej debaty za zamkniętymi drzwiami. Przeważył głos dziadzia i zapadła decyzja, że Lilka zostanie młodocianą mamą. Ta decyzja lawinowo pociągnęła za sobą

inne. Lilkę przeniesiono do szkoły wieczorowej, a ja siedziałam teraz w ławce z koleżanką, której bardzo nie lubiłam i chyba z wzajemnością, bo ciągle coś mi ginęło na przerwie, a potem się znajdowało, na przykład w koszu na śmieci. Ale to drobiazg wobec innych przeciwności losu. Lilkę usunięto z harcerstwa, więc i ja na znak solidarności stamtąd odeszłam. Nasza drużynowa namawiała mnie, co prawda, żebym tego nie robiła.

- Nie unos się ambicją, Gabrycha - perswadowała - jesteś dobrą druhną, a twoja siostra nie może być z nami. Widziałaś kiedyś harcerkę z brzuchem?

A jednak odeszłam. Wstępowałyśmy z Lilką do zuchów, kiedy miałyśmy po dziewięć lat. Dziadzio nie był tym zachwycony, mówił, że to czerwone harcerstwo i z tym prawdziwym niewiele ma wspólnego. Ale my byłyśmy dumne z naszych mundurków i zaczytywałyśmy się w *Kamieniach na szaniec*. Lilka uwielbiała „Zośkę”, bo był bardzo przystojny, a mnie pozostał „Rudy”, taki nieduży, piegowaty, ale przecież wspinały. Tak jak nasi idole chciałyśmy brać udział w niebezpiecznych akcjach, więc na początku stanu wojennego z kilkoma koleżankami wybrałyśmy się nocą do Warszawy z wiaderkiem czerwonej farby i pomalowałyśmy Feliksowi Dzierżyńskiemu dłońe na pomniku przy placu jego imienia. Obowiązywała wtedy godzina milicyjna, ale jakby nawet nie obowiązywała, to i tak by nas zgarnęli, bo dwunastoletnie dziewczynki raczej nie mogą szwendać się po nocy. Wylądowałyśmy, jak jedna, w milicyjnej izbie

dziecka i rodzice nas stamtąd odbierali. Po mnie i po Lilkę zgłosiła się mama. Musiała wysłuchać reprimendy milicyjnego psychologa. Ostrzegął, że jeszcze jedno takie wykroczenie i czeka nas dom poprawczy. Od razu mogliby nas tam osadzić, gdyby nie zdrowy rozsądek komendanta placówki, który stwierdził:

- Dzieci mają nasrane w głowach i trzeba raczej zamykać rodziców.
- Pewnie do tego dojdzie - powiedziała mama w drodze powrotnej - zapłacę więzieniem za to, że mam nierozsądne córki.
- Ludzie już siedzą w więzieniach, są internowani
- odcięła się Lilka - a ty dalej piszesz dla telewizji, chociaż twoi koledzy ją bojkotują.
- Piszę, bo nie mam wyjścia. Zarabiam dla was na chleb z masłem.
- Wolę jeść suchy i nie wstydzić się za ciebie - palnęła moja siostra.
- Niech każdy się wstydzi za siebie - odparła na to mama i już do samego domu milczałyśmy.

I potem Lilce było głupio, kiedy milicja odkryła w naszej piwnicy tajną drukarnię i wyprowadzano drukarzy. Dziadzia oszczędzili, gdyż był za stary. Nas, jako niepełnoletnie, też zostawili w spokoju. Ale mamę prowadzili w kajdankach, popychali ją, byli brutalni. W pewnej chwili Lilka wyrwała się pilnującej nas funkcjonariuszce, dobiegła do mamy i całując ją po rękach, zawołała:

- Mamusiu, przebacz mi!

Mama kazała jej zachować spokój.

- Zawiadam ciocię Zosię - powiedziała - i opiekuj się dziadkiem i Gapcią, ona jest słabsza psychicznie od ciebie.

Bardzo mnie zabolalo, że mama tak o mnie myśli. Ale chyba miała rację, bo kiedy mamę i jej kolegów załadowano do milicyjnej budy i ta buda odjechała, strasznie histeryzowałam. Nie można mnie było uspokoić. W końcu Lilka uderzyła mnie w twarz.

- Dlaczego mnie bijesz? - spytałam ze zdumieniem.

- Bo sprawiasz kłopoty - odrzekła twardo - a my ich mamy dosyć i bez ciebie.

Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci, miałyśmy wtedy po czternaście lat i czekały nas egzaminy do liceum. Kto wie, czy to, że nasza mama siedziała w więzieniu, nie pomogło nam w dostaniu się do jednego z lepszych liceów w Warszawie, mimo bardzo słabych wyników z matematyki, i moich, i Lilki.

- Nie lepiej było zdawać tu na miejscu? - wyrażała wątpliwości ciotka Zocha. - Dzień w dzień będziecie musiały dojeżdżać kolejką do Warszawy, a potem jeszcze dwie przesiadki do tramwaju i autobusu. O której trzeba wstać, żeby zdążyć na ósmą o piątej rano?

- O szóstej, ciociu - sprostowała słodkim głosem Lilka.

To był jej pomysł, żeby złożyć papiery do liceum, do którego chodził kiedyś idol Lilki, ja po cichu myślałam podobnie jak ciotka. Moja siostra uważała, że kiedy się chce do czegoś dojść w życiu, trzeba wsiadać na wysokiego konia. A jednak nie dane jej było dojechać

do mety, z hukiem z tego konia spadła i okazało się to bardzo bolesne, nie tylko zresztą dla niej, ale i dla całej rodziny. Lilka, mimo zadziornego charakteru, była bardzo lubiana w szkole i nasza wychowawczyni miała łzy w oczach, kiedy siostra odchodziła stamtąd do wieczorówki. W czasie moich egzaminów maturalnych zjawiła się pod szkołą ze swoim synkiem Piotrusiem w nosidełku na piersi. Nosidełko było nowością. Przywiozła je z zagranicy ciotka Zocha, która zupełnie oszalała na punkcie synka Lilki. Dostawał od niej wszystko, co można było kupić dla małego dziecka za bony w peweksie. Ciotka, widząc go, promieniała, czego nie można było powiedzieć o Piotrusiu, na jej widok natychmiast robił podkówkę.

- Bo za głośno mówisz - tłumaczyła mama żalącej się jej ciotce - małe dzieci tego nie lubią.

Trzeba przyznać, że ciotka zachowywała się bardzo w porządku, kiedy mama siedziała w więzieniu. Odwiedzała nas często, przywoziła zakupy, dofinansowywała nas, a co najważniejsze, czyniła starania, aby wyciągnąć mamę z paki. I ta jej renoma, z której tak się obie z Lilką nabijałyśmy, bardzo tu była pomocna, bo u ciotki leczyli zęby wysoko postawieni funkcjonariusze państwowi, a nawet sam generał Kiszczak. To za jego sprawą mama wróciła do domu po niespełna sześciu miesiącach.

Pewnie, że starałyśmy się jakoś mamie pomóc, mam tu e-maila, którego moja siostra przysłała z Londynu.

Kochana Mamusiu,

wiem, najdroższa moja, jak jest Ci ciężko i jak się obwiniasz o to, że przepisałaś na tego drania nasz dom. Ale my Ci to wybaczamy, wszyscy troje: ja, Gabi i Piotruś. My tylko chcemy, żebyś wróciła do nas i żebyś była taka jak dawniej: piękna, mądra, pełna poczucia humoru. Ty, Mamo, umiałaś ładnie żyć i tego nas nauczyłaś, więc teraz skorzystaj z tej umiejętności, ona gdzieś w Tobie została, musisz ją tylko odnaleźć. Życie toczy się dalej, bez względu na to, co nas spotyka. Należy tylko przetrwać najgorsze, a to się już stało. Nie oglądaj się! Przed nami jest zawsze nadzieja!

*Twoja kochająca córka
Liliana*

Oczywiście odczytałam ten list mamie, panie komisarzu, ale z jej strony nie było żadnej reakcji. Powiedziałam o tym siostrze, gdy zadzwoniła wieczorem. Sądziła, że może leki tak mamę otępiają, i zaproponowała, żeby je zmienić albo w ogóle odstawić. Ale przecież mama już od miesięcy nic nie brała. Mama po prostu nie chciała żyć...

(nagranie)

Mój siostrzeniec Piotruś przyszedł na świat w styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku jako wcześniak i kilka tygodni spędził w inkubatorze. Lilka wróciła do domu. Znowu musiałam się przyzwyczaić do zmiany fizycznego wyglądu mojej siostry. Obie miałyśmy problem z tym, że tak szybko

rosnącym brzuchem. Lilka nie odczuwała swojego macierzyństwa jako czegoś przyjemnego. Ten brzuch był obcy, przerażał ją, a kiedy po raz pierwszy poczuła ruchy dziecka, rozpłakała się.

- Dlaczego ono mnie kopie? - spytała głosem małej skrzywdzonej dziewczynki.

Objęłyśmy się wtedy, mocno przywarłyśmy do siebie i teraz kopało nas obie, wyraźnie te ruchy czułam i dla mnie były jak znak porozumiewawczy, który trafiał wprost do mojego serca, ale dla mojej siostry oznaczało to rezygnację z beztroskich lat młodości.

Mama z niepokojem obserwowała zachowanie swojej ciężarnej córki. Raz nawet podsłuchiłam jej rozmowę z dziadkiem:

- Nie wiem, tato, czy Zosia nie miała racji. Lilka tak ciężko to przeżywa.

- Nie miała racji - odrzekł. - Właśnie ze względu na Lilkę.

To były słowa człowieka, którego oczy wiele w życiu widziały. Dziadzio był filozofem, etykiem i patrzył na świat trochę inaczej niż zwykli ludzie. Był też agnastykiem i nie rozpatrywał kwestii pojawienia się na świecie dziecka przez pryzmat religii. Ale przysłała mi do głowy taka myśl, że dziadzio nas z Lilką mylił, jak mylił swoje buty, ja byłam tym brązowym, a Lilka czarnym. I być może lepiej by jej było bez dziecka. Ono krępowało jej ręce. Tylko czekała, żeby uciec z domu. Piotrusiem zajmowałyśmy się na zmianę - ja i jego młodociana babcia, przecież miała dopiero trzydzieści sześć lat. Mój siostrzeniec od początku

był karmiony butelką i być może dlatego nie nawiązała się więź pomiędzy synkiem i jego mamą.

Któregoś dnia zastałam dziadzia śpiącego w fotelu z otwartą książką i okularami na nosie. Podeszłam na palcach, aby mu te okulary zdjąć, i wtedy dotarło do mnie, że dziadzio nie oddycha.

Został pochowany w grobie rodzinnym w Brwinowie, obok babci, której nie znałyśmy, odeszła na długo przed naszym urodzeniem. Pogrzeb, według życzenia dziadzia, miał być świecki, bez księdza. Przyszły tłumy, aby go pożegnać, w większości jego studenci. Ale w czasie pogrzebu wydarzył się okropny incydent. Jakaś zdewociała idiotka splunęła w stronę trumny i powiedziała:

- Takie coś to trzeba chować pod płótem, a nie na poświęconym miejscu!

I wtedy moja siostra Lilka rzuciła się na nią z pięściami.

Po śmierci dziadzia, który nie zostawił testamentu, jego córki musiały podzielić się majątkiem. No i zaczęły się problemy, bo do podziału było ponad dwustumetrowe mieszkanie w przedwojennej kamienicy w centrum Warszawy i willa w Brwinowie. Ciotka zaproponowała, żeby zachować *status quo*, to znaczy ona zostanie w mieszkaniu, gdzie ma swój gabinet, a my w willi. Mama by nawet na to przystała, ale Lilka, która studiowała w Warszawie i była już zmęczona dojazdami, dowodziła, że wartość mieszkania przewyższa wartość zrujnowanego domu na prowincji.

cji i że ciotka powinna dołożyć nam kawalerkę, ale ona nie chciała się na to zgodzić. Sprawa już miała trafić do sądu, w końcu jednak Lilka się wycofała. Ciotka natomiast postanowiła z własnej i nieprzymuszonej woli wyremontować dach brwinowskiej willi, co było sumą niebagatelną.

Może do tej zgody rodzinnej przyczyniła się trochę zgoda narodowa. Właśnie się zakończyły obrady Okrągłego Stołu i ustalono, że nasz, czyli narodu, będzie premier, a ich, czyli komunistów, prezydent. Miał nim zostać generał Jaruzelski, co bardzo zbulwersowało mamę, ale Lilka, zawsze taka radykalna w poglądach, zaskoczyła wszystkich swoją wypowiedzią:

- A co, wolałabyś, żeby się polała krew?

Od rozstania z Jerzym Baranem? Aż do aresztowania mama przebywała w mieszkaniu na Starym Mieście przy ulicy Freta... To znaczy, nie od razu, bo przedtem była tam kancelaria prawna i Jerzy Baran wyprowadzając się, zostawił ruinę. Mieszkanie nadawało się do generalnego remontu... W tym czasie mama była u mnie, w Podkowie... Po powrocie z pracy zastawałam ją w tej samej pozycji, skuloną na łożku. Siadałam naprzeciw niej w fotelu i obie milczałyśmy.

Wieczorami rozmawiałam przez telefon z siostrą. Wzywałam ją do przyjazdu:

- Musisz mi pomóc, ja już nie daję rady. Wybieraj, albo kariera, albo matka!

(nagranie)

Lilka skończyła studia w Anglii, bo wygrała indeks do Oksfordu. Mimo że tak pogardzała gardłowym językiem, jakim według niej był angielski, opanowała go znakomicie. Mama uważała, że moja siostra ma mały talent do języków. Studiowała filozofię oraz marketing i zarządzanie, co dla mnie stanowiło dziwny splot zainteresowań. Bo co ma wspólnego taki Platon ze złą czy dobrą koniunkturą na rynku pracy i płacy. Moja siostra została w Londynie na stażu, asystując głównemu specjalistce od PR przy samym burmistrzu. A potem dostała posadę rzecznika prasowego w Bank of England, co było niesamowitą karierą jak na tak młody wiek. Miała własne biuro i kilkanaście osób personelu.

Syn siostry? W tym czasie mieszkał z nami w Brwinowie, ze mną i z mamą.

(nagranie)

A co do mamy, nieoczekiwanie jej książki szturmem zdobyły Niemcy. Zaczęło się od powieści *Listy z rampy*, która według niej miała być długim spłaconym przyjaciółce. Ta przyjaciółka, też pisarka, była od mamy dużo starsza. Wtedy, kiedy się poznały, mama jeszcze nie wiedziała, kim chce zostać, ale już chodziła do Domu Literatury na spotkania z pisarzami. Tego dnia swój wieczór autorski miała znana poetka. Mama i jej przyszła przyjaciółka siedziały obok siebie i zaczęły szeptem wymieniać uwagi o tej poezji.

Jakoś nie przypadła im do gustu, więc poszły na lody. Dla mojej mamy ta przyjaźń miała duże znaczenie, bo właściwie chowała się bez matki, a dla tamtej pani to był „powiew młodości”, nie lubiła przebywać z ludźmi w swoim wieku. Niestety przyszedł rok sześćdziesiąty ósmy i pisarka wyemigrowała do Niemiec, wyciągnięto jej bowiem, jak wielu innym, żydowskie pochodzenie. Pisywały do siebie. Dopiero po zmianie ustroju tamta przyjechała do Polski, specjalnie, żeby się z mamą spotkać. Była już bardzo chora. Poszły na spacer do Łazienek, ona mocno wspierająca się na lasce. Miała trudności z chodzeniem.

- Widzisz, kochana Nino, jestem stara i niedołączna, a myślałam, że to się nie stanie nigdy - uśmiechnęła się smutno.

- Ty nigdy nie będziesz stara, Alu - odrzekła mama
- bo masz młode serce.

Przyjaciółka mamy pokręciła głową.

- Ono też już się zestarzało.

I wyjawiała mamie, dlaczego zdecydowała się na tę, w jej wieku i chorobie, ryzykowną podróż. Jako bardzo młoda dziewczyna trafiła do warszawskiego getta. Udało jej się stamtąd wydostać, ale zabrała ze sobą tajemnicę, o której nie wiedziała nawet najbliższa rodzina, mąż i synowie.

- Myślałam, że kiedyś o tym napiszę, nie starczyło mi sił. Ty to napiszesz za mnie!

Mama była przerażona, ale rozumiała, że nie może odmówić takiej prośbie. Tym bardziej że przyjaciółka zmarła kilka tygodni później. Po roku od tamtej

rozmowy ukazała się powieść mamy o dziewczynie, która w getcie zostaje prostytutką, aby ratować od głodowej śmierci siebie i rodzinę.

I właśnie ta powieść miała wszystko odmienić. W Polsce przeszła raczej bez echa, czas przełomu nie był korzystny dla literatury, za to w Niemczech stała się bestsellerem. Pierwszą jaskółką była wiadomość, że *Listy z rampy* będą drukowane w odcinkach we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, bardzo wpływowej niemieckiej gazecie.

Mama niemal z dnia na dzień stała się bogata, co widać było gołym okiem, bo nasza rozpadająca się brwinowska willa dostała nowe życie. Przeprowadzony został generalny remont z wymianą niemal wszystkiego oprócz murów i ciotka Zocha z przekąsem stwierdziła, że ze staruszki zrobiliśmy pannę młodą. A dla nas ten dom był jak rodzinny port, wiedzieliśmy, że cokolwiek się stanie, zawsze możemy tam wrócić. Z tego powodu zresztą dziadzio Alexander tę willę zbudował.

Nie jestem taka genialna jak moja siostra i nie mam chyba „talentu do życia”. Tak kiedyś powiedziała ciotka. Powiedziała, że albo się ma talent do życia, albo nie. Więc ja nie mam. Poprzestałam na małym. Skończyłam psychologię w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej i do dziś zajmuję się dziećmi autystycznymi, tutaj w Brwinowie, w placówce wychowawczej. Lubię swoją pracę. A poza tym tutaj właśnie się zakochałam. I o dziwo z wzajemnością. Moim wybranikiem był kolega z pracy, lekarz pediatra, dziesięć lat

ode mnie starszy. Miał na imię Mirek i był cudowny, naprawdę, chociaż zauważyłam to dość późno, dopiero po kilku latach. A może nawet nie ja go wypatrzyłam, tylko Lilka, która wpadła jak po ogień, dosłownie na jeden dzień, i odwiedziła mnie w ośrodku. Trafiła właśnie na niego, on ją do mnie przyprowadził. Kiedy zostawił nas same, Lilka mówi:

- Szkoda, że muszę wracać, natychmiast bym go ustrzeliła.

- Kogo?

- Jak to kogo - zdenerwowała się moja siostra. - Tego fantastycznego faceta, który właśnie wyszedł.

- Mirka?

- Może Mirka, skoro tak ma na imię. Jest zabójczo przystojny. Nie widzisz tego?

- Nie.

- To chyba ci kupię okulary. Robert Redford przy nim wysiada.

- Nie żartuj sobie. - Ciągle nie dawałam się przekonać.

- Mówię śmiertelnie poważnie, moja głupkowata siostrze. Jeżeli jest wolny, w co wątpię, natychmiast się za niego zabierz, a jak kogoś mają wkraczam do akcji i go dla ciebie odbiję.

Już potem o tym nie rozmawialiśmy, bo zawsze, kiedy Lilka przyjeżdżała, odnawiał się dramat odrzuconego przez nią dziecka. Piotruś właściwie jej nie znał, ale istniała między nimi silna biologiczna więź. Oboje ją odczuwali, nie bardzo wiedząc, co z tym robić. Synek Lilki rozumiał, że to ona jest jego mamą do mnie

mówił Gapcia, długo mnie tak nazywał, chociaż dla innych dawno już byłam Gabi, do naszej mamy też zwracał się po imieniu, bo ona nie chciała być babcia, mimo że bardzo ją do tego namawiałam.

- To dziecko nie wie, kto jest jego ojcem i ma dwie matki zastępcze, ciebie i mnie. Byłoby dobrze, gdyby miał chociaż prawdziwą babcie.
- To musi poczekać, aż się zestarzeję - odpowiedziała mama.

Do tej pory nie miałam żadnych doświadczeń miłosnych. Po prostu mnie to nie interesowało, a może nie odreagowałam jeszcze wpadki Lilki. Przecież to, co bolało ją, bolało i mnie. I chyba odwrotnie, bo chociaż Lilka tego nie okazywała, bardzo była ze mną związana. Szybko wyparła ze świadomości pierwsze traumatyczne doświadczenie i bez najmniejszych oporów wchodziła w związki z mężczyznami, które jednak nie trwały długo.

- Nikomu nie dam się usidlić - zwierzała mi się.
- Seks jest okej, ale są ważniejsze sprawy.
- Nie chcesz się zakochać? - spytałam.
- Nie, teraz nie mam na to czasu. Może kiedyś...

A ja? Ja chyba myślałam, że miłość jest nie dla mnie. Następnego dnia po wizycie Lilki spotkałam Mirka na korytarzu i po raz pierwszy uważnie mu się przyjrzałam. Trochę to jednak trwało, zanim zobaczyłam w nim mężczyznę. Okazało się, że on od dawna widział we mnie kobietę, ale jako człowiek delikatny z natury nie potrafił tego okazać.

- Czułem, że nie jesteś jeszcze gotowa - wyznał.

I pewnie miał rację. Któregoś dnia staliśmy na korytarzu, omawiając jakiś szczególnie trudny przypadek autyzmu u czteroletniego chłopca, a ja dostrzegłam, że Mirek ma rozchyloną koszulę pod szyją. Nagłe pragnienie, aby dotknąć jego skóry, było tak silne, że mnie przeraziło. W pół słowa odwróciłam się i uciekłam, czując jak wali mi serce.

Co się ze mną dzieje - myślałam. Nie potrafiłam jeszcze rozpoznać swoich uczuć, nie rozumiałam tęsknoty, która pojawiła się jak nieproszony gość. Bo za czym ja tak tęskniłam? Chyba za czymś, czego wcale nie chciałam poznać. Ale stało się to, co było nieuniknione, Mirek po prostu mnie objął i pocałował.

Tego dnia wieczorem zadzwoniła Lilka.

- U nas... dobrze... Piotruś już śpi, właśnie skończyłam mu czytać bajeczkę. Wiesz, o słowiku, który spóźnił się na kolację - paplałam nienaturalnym głosem.

- Po co mi to wszystko mówisz?

- Bo spytałaś, co u nas...

- Bajeczki czytasz Piotrusiowi co wieczór, a co poza tym?

Nagle umilkłam. Bardzo chciałam zwierzyć się siostrze, ale nie wiedziałam, jak mam to zrobić. Takich rozmów do tej pory nie prowadziłyśmy. Ona nie opowiadała mi o swoich sercowych podbojach, a ja nie bardzo miałam o czym jej opowiadać.

- Gapiu, jesteś tam?

- Jestem.

- Co się dzieje?
- Pocałowaliśmy się z Mirkiem - wydusiłam wreszcie.
- No, najwyższy czas - odrzekła z ulgą w głosie.
- Ale nie wiem, co dalej...
- To, co przerabiają miliony ludzi na kuli ziemskiej, seks!
- Nie żartuj, Lilka.
- To chyba naturalne, że dwoje młodych, zdrowych ludzi łąduje w łóżku.
- Ale wiesz, jak jest ze mną - wyjąkałam.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz.
- On się zdziwi, że ja... w tym wieku... - plątałam się
- że ja jeszcze nigdy...
- Zostaw to jemu - powiedziała moja siostra.

I miała rację. Wszystko przyszło samo i okazało się czymś tak naturalnym.

Kiedy mój ukochany odprowadził mnie pod dom, wydawało mi się, że po raz pierwszy wchodzę na ganek porośnięty dzikim winem, po raz pierwszy przekraczam próg naszej willi. Byłam kimś nieznanym nawet dla samej siebie, niosłam bagaż tylu doznań naraz i bałam się, że nie potrafię tego udźwignąć.

- Lilka - powiedziałam przez telefon do siostry
- musisz się zakochać, miłość jest cudem!

Lilka się roześmiała.

- Więc mnie przegoniłaś, kochana siostrzyczko, ale w tej sprawie wolę pozostać w tyle.

Opowiadam o tym, aby pan komisarz mógł poczuć atmosferę naszego domu, a także odkrył to, co miało dla nas największą wartość...

(nagranie)

Oczywiście rozporządzanie majątkiem mamy przez pana B. doprowadziło ją na skraj ruiny, ale tak naprawdę ani jej, ani nam wszystkim nigdy nie chodziło o pieniądze. Dawno temu nestor naszej rodziny Aleksander Sworowicz wygłosił przy wigilijnym stole:

- Płakać za rzeczami materialnymi niegodne człowieka!

Wydaje mi się, że dziadek miał na myśli czasy okupacji niemieckiej, potem Powstania, kiedy ludzie tracili cały dorobek, a najważniejszą sprawą było zachować życie... Ale może należałoby i teraz o tym pamiętać. Być może Jerzy Baran na śmierć o tym zapomniał i dlatego po niego przyszła...

Nie, broń Boże, nic nie wiem o jego kontaktach i interesach. Byłam kilka razy w kancelarii na Freta, ale panował tam błogi spokój, aplikanci siedzieli przy biurkach i nie mieli żadnego zajęcia. Specjalnie mnie to nie dziwiło, ten człowiek pojawił się znikąd, jak więc miał konkurować z zasiedzianymi tu z dziada pradziada prawniczymi klanami?

Tymczasem mama zmieniła się nagle w bizneswoman. Postanowiła inwestować pieniądze, które wpływały z Niemiec. Kupiła mieszkanie na Starym

Mieście, z widokiem na najstarszy warszawski kościół, a dalej na Wisłę. Miała zamiar je wynajmować. W drugiej kolejności nabyła drogi samochód, limuzynę marki „Volvo” i tym samochodem udałyśmy się nad morze w poszukiwaniu wykonawcy, który by nam zbudował letni dom. Miałyśmy już działkę; wypatrzyłam ją kilka lat temu.

Byliśmy wtedy z mamą i Piotrusiem na wakacjach w Karwi. Oni zasnęli po obiedzie, a ja wybrałam się na długi spacer brzegiem morza. W pewnej chwili przystanąłam naprzeciw wyjścia z plaży. I tak przypadkiem odkryłam miejsce tuż za wydumą, za pasem starych dębów i ciągnącymi się po horyzont łąkami. Spory kawał ziemi stał się naszym nabytkiem. I tutaj miał teraz stanąć letni dom. Było trochę kłopotu, zanim mogliśmy się do niego wprowadzić, ale taka chwila w końcu nadeszła.

Dom był całoroczny, w stylu staroholenderskim, czyli z pruskim murem, bo tylko taki, z rozporządzenia konserwatora zabytków, można było postawić. Właśnie w tym miejscu kilkaset lat temu osiedlili się Holendrzy, osuszyli łąki, wykopali rowy. Do dziś zachowały się ich zabytkowe śluzy.

Uwielbiałam tam przyjeżdżać. Wieczorami, gdy na łąkach podnosiła się mgła, odbywało się fascynujące widowisko - taniec żurawi. Trudno to opowiedzieć komuś, kto nigdy czegoś takiego nie widział. Długonogie i długoszyje ptaki, trzepocząc skrzydłami, wykonywały przedziwne łamańce we mgle. Otaczała je niczym delikatna, matowa tkanina. Widowisko z po-

graniczą snu, z efektami akustycznymi. Ich krzyk, niosący się od strony łąk, przypominał muzykę techno, która tylko w tym wykonaniu była dla mnie do przyjęcia.

Piotruś nie był ich fanem.

- Znowu wrzeszczą te ptaszyska - krzywił się.

Często na kilka dni dołączał do nas Mirek. Wychodziłszy po niego z Piotrusiem do autobusu. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy znowu się zobaczymy. Gdy nie było go przy mnie, zaczynało mi brakować tlenu. Potrzebowałam tego mężczyzny do życia. Wszystko w nim lubiłam: jego sylwetkę, siwiejące mimo młodego wieku skronie, szerokie brwi, pod którymi skrywały się oczy, zabawny, lekko zadarty nos i miękkie wargi. Stawiał długie kroki, więc ledwo mogłam za nim nadążyć. Tak jak powiedziała moja siostra, Mirek był zabójczo przystojny, i to naprawdę niezrozumiałe, że zwrócił uwagę na kogoś takiego jak ja. Bo mnie się właściwie nie zauważało, ja się wtapiałam w tłum. Czegoś podobnego nie można było powiedzieć o Lilce, która przecież jest łudząco do mnie podobna, jako bliźniaczki mamy identyczne twarze, identyczne sylwetki. Gdybyśmy stanęły obok siebie nago, nikt, poza mamą, by nas nie odróżnił. No tak, ale do Lilki trzeba było dodać staranny makijaż, który codziennie zajmował jej ponad godzinę, modną postrzępioną fryzurę, no i to, co Lilka miała na sobie. Zwykle idealnie skrojony kostium i tak wysokie szpilki, że ja nie byłabym w stanie zrobić w nich kroku.

Ciotka ostrzegała ją nawet:

- Przy takich obcasach za parę lat będziesz miała ha-luksy kwalifikujące się do operacji.

Moja siostra tylko się śmiała:

- Za parę lat? Ja nie robię takich planów, liczy się dzień do wieczora.

- Też coś - wzruszyła ramionami ciotka.

Mirek miał być zawsze. Już to sobie powiedzieliśmy, że chcemy być razem na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie.

- Ale ja bym chciał, żebyś to powtórzyła przed cywilnym księdzem - powiedział mój ukochany. - Bo nie mam niestety rozwodu kościelnego, a unieważnienie ślubu może trwać latami.

- Z Panem Bogiem najlepiej mi się rozmawia na karwieńskiej łące - stwierdziłam. - Nie potrzebuję do tego księdza.

Ślub zaplanowaliśmy na jesień. Mirek chciał, żebym z nim wtedy zamieszkała. Miał tuż obok brwinowskiej willi, przez szosę, w Podkowie Leśnej drewniany parterowy domek po rodzicach, do którego wrócił po rozwodzie z żoną. Zostawił jej w Warszawie mieszkanie, wyszedł z jedną walizką.

O swojej żonie nie mówił. Wiedziałam tylko, że było to studenckie małżeństwo, które trwało kilka lat. I że nie mieli dzieci.

- Moja chatka nie może się równać z twoją rezydencją- powiedział ze smutkiem.

- To nie jest moja rezydencja, tylko mojej mamy - odpowiedziałam. - Ja nie mam nic.

- Jak to - obruszył się. - Przecież masz mnie!

Rozmawiałam o mojej wyprowadzce z mamą i wtedy wyniknął poważny problem: z kim ma mieszkać Piotruś.

- Chyba zabiorę go ze sobą, bo ty tak często wyjeżdżasz - powiedziałam.

Mama pokręciła głową.

- Dla niego to byłaby rewolucja, przyzwyczał się, że jego dom jest tutaj.

- Ale przyzwyczał się także do mnie - odrzekłam.

- Przecież ze mną spędza najwięcej czasu. - Wiem, że to trudne. Może po prostu go spytamy, z którą z nas chce być.

- I to mówi psycholog - zdenerwowała się mama.

- Jak możesz stawiać małe dziecko przed takim wyborem.

- Nie jest już taki mały, ma dziewięć lat.

- I to jest dużo według ciebie? - Mama dostała wypieków.

- Nie jest dużo, ale nie mówimy przecież o niemowlęciu. A poza tym podejrzewam, że po prostu boisz się zostać sama.

Wzruszyła ramionami.

- Świetna teoria, tylko że nie myślę o sobie, ale o moim wnuku.

- Brawo, więc zdecydowałaś się wreszcie zostać babcią- odrzekłam.

W pewnej chwili dotarło do mnie, że zaczynamy sobie wrywać dziecko.

- Jak to widzisz? Jeśli Piotruś zostanie z tobą? - spytałam.

- Zatrudnię gosposię.
- I on będzie siedział całymi dniami z obcą babą?
- A gdzie ty będziesz? Nie wyjeżdżasz przecież na drugą półkulę.

Może to jest rozwiązanie - pomyślałam. - Przecież codziennie mogę się z nim widywać.

Nasz ślub odbył się we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Świadkami byli Lilka i przyjaciel Mirka ze studiów, podobno bardzo zdolny chirurg onkolog, Janek Boczkowski. Od razu spodobał się mojej siostrze. Było mi nawet trochę głupio, bo go na oczach wszystkich podrywała. On to, co prawda, przyjmował z humorem, ale ten jeden raz mogłaby sobie darować. Trzeba przyznać, że w błękitnej, zwiewnej sukience i na niebotycznych obcasach wyglądała bardzo ponętnie. Ja o wiele skromniej w beżowym kostiumiku ze stebnowką. Pewnie większość zaproszonych gości sądziła, że to moja efektowna siostra jest tą szczęśliwą panną młodą. Z pewnością bardziej by pasowała do Mirka, który w garniturze i pod krawatem świetnie się prezentował. Trzeba powiedzieć, że Lilka miała tutaj swoje zasługi, bo ona ten garnitur wybierała, a także dodatki: koszulę, krawat, buty.

- Elegancja mężczyzny to przede wszystkim buty
- powiedziała. - Kobiety zresztą też. - Chciała mnie namówić na szpilki, ale ostro się sprzeciwiłam.

Ceremonia ślubna przebiegła bez zakłóceń. Mirek powiedział „tak”, ja powiedziałam „tak”, potem włożyliśmy sobie obrączki na serdeczny palec i mogliśmy już przyjmować życzenia i kwiaty.

Przyjęcie weselne odbywało się w brwinowskiej willi, pięknie udekorowanej lampionami. Był ciepły dzień, stoły ustawiono w ogrodzie na tyłach domu i trzeba przyznać, że wspaniałości na nich nie brakowało, co było zasługą ciotki Zochy. To ona wszystkiego pilnowała, rozdzielała zadania wynajętym na tę uroczystość kelnerom i wysyłała ich z drinkami i napojami w stronę gości rozproszonych po całym ogrodzie. Byłam jej naprawdę wdzięczna, bo moja najbliższa rodzina, czyli mama i Lilka, czegoś takiego jak pusty kieliszek rozmówcy nie byłaby w stanie dostrzec. Mama wdała się w dyskusję polityczną z profesorem Mirka ze studiów, cenionym kardiologiem dziecięcym, a Lilka, kiedy na przyjęcie przybyła nieco spóźniona żona naszego świadka, zajęła się kokietowaniem własnego synka. Wyglądało, jakby prowadzili między sobą grę. Początkowo na uśmiechy, potem zaczęli się porozumiewać na migi, jednocześnie się przybliżając. W końcu Piotruś znalazł się obok swojej mamy, na chwilę straciłam ich z oczu, a kiedy ich odnalazłam, siedzieli na werandzie przytuleni do siebie. O co tej Lilce chodzi - myślałam z niepokojem. Namiesza dziecku w głowie i wyjedzie. Ale tym razem się myliłam. Lilka miała wobec swojego syna poważne plany. Późnym wieczorem, kiedy goście się rozeszli, doszło do dramatycznej rozmowy. Piotruś już spał na górze, a my siedzieliśmy przy kuchennym stole: mama, Lilka, ciocia Zocha, no i ja z Mirkiem.

- Lilka, kiedy ty właściwie wyjeżdżasz? - zadała na pozór niewinne pytanie mama.

- Pojutrze, ale niedługo wrócę, bo... bo chcę zabrać ze sobą Piotrką.

I cisza. Nikt nic nie mówił.

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała wreszcie mama.

- Normalnie, mam w Londynie duże mieszkanie, pomieścimy się oboje.

- Tak? I on będzie tam na ciebie czekał, aż późnym wieczorem wrócisz z pracy?

- Będzie miał zajęcia, musi podgonić angielski, żeby pójść do szkoły, a weekendy mam przecież wolne.

- Wzruszające! - głos mamy podniósł się o jeden ton w górę. - Weekendy masz wolne! To za mało, by wychowywać dziecko.

Lilka puściła tę uwagę mimo uszu i ciągnęła dalej:

- Wszystko zorganizowałam. Zamieszkają z nami dwie studentki z Polski, które na zmianę będą odbierały Piotrkę ze szkoły i pomagały mu w lekcjach. Ja zwykle wracam około siódmej wieczorem...

- No nie, to jakiś idiotyczny pomysł, kompletnie nie-realny - wybuchnęła mama.

Lilka tak na nią dziwnie popatrzyła i powiedziała:

- To, że matka chce być ze swoim dzieckiem, uważasz za idiotyczne?

Znowu zrobiło się cicho.

- Obudziłaś się rychło w czas, po dziewięciu latach

- odezwała się wreszcie mama.

Ta dyskusja toczyła się między nią i Lilką my byliśmy niemymi świadkami, nawet wygadana zwykle ciotka Zocha nie wtrącała się do rozmowy.

- Tak mi się ułożyło życie - na to Lilka.
- A spytałaś chociaż swojego syna, czy chce z tobą jechać?
- Spytałam.
- I co ci odpowiedział?
- Że chce być ze mną.

Mama zaproponowała, że sfinansuje nam z Mirkiem podróż poślubną do Wenecji, ale podziękowaliśmy.

- Nie chcielibyście popływać gondolą i pokarmić gołębi na placu Świętego Marka? - kusiła.
- Mamy inne plany - odpowiedziałam.
- A mogę wiedzieć jakie?
- Chcielibyśmy spędzić tydzień w Karwieńskich Błotach, bo tylko tyle mamy urlopu.
- Jak na podróż poślubną chyba zbyt skromnie, przecież to tylko osada rybacka - odrzekła mama. - Ale decyzja należy do was.

I ten tydzień był dla nas bardzo szczęśliwy, mimo że lało bez przerwy, a za oknem widoczne były czarne, nisko wiszące nad ziemią chmury, nawet w ciągu dnia trzeba było palić światło. Wreszcie się wypogodziło i mogliśmy pójść nad morze. Bardzo wiało, więc przysiedliśmy za wydumą i osłonięci od wiatru patrzyliśmy na wzburzone fale. Mirek objął mnie, a ja położyłam głowę na jego ramieniu.

- Wiesz, są takie chwile, które chciałoby się zatrzymać - powiedziałam. - Właśnie teraz jest taka chwila.
- Załatwione, daruję ci ją mocą mojej władzy-rzekł z uśmiechem.

- Skąd mogę wiedzieć, czy ją masz?
- Jeśli teraz wyjdzie słońce, możesz być pewna.

Do tej pory było pochmurno, co prawda gdzieś w górze prześwitywał skrawek błękitnego nieba, ale zaraz pod nim gruby wał gęstej mgły zakrywał słońce. Nieoczekiwanie wydostały się spod niego promienie słoneczne, tak oświetlając fale, że morze pokryło się złotą skorupą.

- Widzisz, dokąd sięga moja władza? - szepnął mi do ucha mój mąż.

Wróciliśmy do domu zmarznięci, ale w dobrych humorach. Mirek narąbał drewna do kominka, a ja przygotowałam kolację. Znalazła się też butelka czerwonego wina. I tym winem wznieśliśmy toast za nasze wspólne szczęśliwe życie.

To życie mogłoby takie być. Mogłoby... Ale na początku grudnia Mirek złapał infekcję, co nie było niczym niepokojącym; kiedy się pracuje z dziećmi, stale jest się narażonym na kontakt z wirusami. Tylko że ta infekcja się przedłużała. Mój mąż słabł w oczach, badanie krwi potwierdziło najgorsze: białaczka.

Wysłałam z domu, żeby nie okazywać swojej rozpaczy. Chodziłam uliczkami Podkowy i wygrażałam Panu Bogu, bluźniłam, obrzucałam Go najgorszymi wyzwiskami, a potem stwierdziłam nawet, że w ogóle Go nie ma, że w Niego nie wierzę. Byłam zapuchnięta od płaczu. Nie chcąc w takim stanie wracać do domu, zawędrowałam pod drzwi naszej brwinowskiej willi. Mamy nie było, otworzyła mi gosposia, pani Sima,

która pochodziła gdzieś spod Hajnówki i mówiła z silnym wschodnim akcentem. Lubiłam ją, bo mimo że była prostą kobietą, miała w sobie dużo delikatności. O nic mnie nie pytała, ale po jakimś czasie zapukała do mojego dawnego pokoju na piętrze, w którym się ukryłam przed całym światem, z filiżanką gorącego rosołu.

- Dodałam żółtko - powiedziała - na wzmocnienie. Bo kochanieńka potrzebuje teraz dużo siły.

Tak, oczywiście, od czasu oszustwa Jerzego Barana byłam w stałym kontakcie z siostrą. W sierpniu dwa tysiące siódmego roku przyjechała z Londynu i zatrzymała się u mnie w Podkowie Leśnej. Stwierdziła, że musimy się zastanowić nad planem działania. Powinnyśmy działać dwutorowo. Jedno to wyciągnąć mamę z tego stanu, a drugie - odzyskać dom.

- Więc czekają nas bardzo ambitne zadania - powiedziała z nutką złośliwości. - Tylko że tego raczej się nie załatwi w kilka dni.

- Przyjechałam na cały miesiąc - odrzekła.

(nagranie)

Po odejściu Mirka rodzina mnie pocieszała, że wszystko w życiu ma swój początek i koniec, także ból po stracie bliskiej osoby. Ale ani mama, ani Lilka nie znały mnie tak dobrze, jak ja znałam samą siebie. Wiedziałam, że ten ból nigdy nie minie, że będzie towarzyszył mi już zawsze. Nawet nie chciałam, żeby spełniło się ich proroctwo. Moje cierpienie było jedy-

nym ogniwem łączącym mnie z tamtym życiem, które dzięki temu nie zamieniało się w czas przeszły, było, pulsowało we mnie. Każde zdarzenie, każda rozmowa z Mirkiem. Dlatego mimo propozycji mamy, abym się do niej przenieśli, pozostałam w naszym drewnianym domku, w jego ścianach trwały wszystkie nasze wspólne chwile. To mi dawało siłę. Moje obecne życie nie musiało być przegrane, ja już dostąpiłam łaski miłości. Tak kiedyś powiedziała mama, że miłość jest łaską i nie każdemu jest dana. Żałowałam tylko, że nie zdążyłam urodzić dziecka. Sądziliśmy z Mirkiem, że mamy dużo czasu, a w naszym przypadku był to czas reglamentowany.

Po śmierci Mirka kilka miesięcy spędziłam w Londynie, u Lilki i Piotrusia. On już stał się londyńczykiem pełną gębą. Znał na pamięć wszystkie połączenia autobusowe z ich dzielnicy do centrum, to samo z metrem, nie potrzeba było rozkładu jazdy, wystarczyło spytać Piotra. Mały geniusz. Chociaż wcale nie taki mały, przerósł nas obie o głowę i rósł nadal. Widocznie po swoim ojcu. A co do naszego ojca, doszło do bardzo dziwnego spotkania. Nie wiem, czy to przypadek, czy Lilka poczyniła starania, aby mnie oderwać od mojej tragedii, słowem odnalazł się po latach.

- Nazywa się teraz Jakub Goldbaum - powiedziała.
- Jak się nazywał kiedyś?
- Poznański, bo wiesz, zasymilowani Żydzi przyjmowali nazwiska pochodzące od nazw polskich miast: Poznański od Poznania, Warszawski od Warszawy,

Krakowski od Krakowa. Ale nasz ojciec niestety się „odasymilował”, jest teraz ortodoksyjnym Żydem. Postaraj się do tego przyzwyczaić.

- I czym się wyraża ta jego ortodoksyjność? - spytałam zaskoczona.

- Głównie ubiorem: czarny chałat, czarny kapelusz z rondem i pejsy - tłumaczyła Lilka.

- A ty z nim rozmawiałaś?

- Zamieniłam kilka słów, mój bank przekazał sporą sumę na fundację, w której działa. Ale po polsku nie chciał rozmawiać.

- Bo może to nie jest nasz ojciec? - wyraziłam wątpliwość.

- Jak to nie. Jest naszym ojcem, tylko odmienionym. Żyje w innym świecie niż my.

- Więc po co mamy mu ten świat burzyć?

- Bo dzięki niemu my na nim jesteśmy.

To był argument. Lilka wzięła kilka wolnych dni w pracy i poleciałyśmy do Jerozolimy. Ale spotkanie z naszym ojcem raczej nie było udane. Siedziałyśmy w ogródku pod parasolem i w pewnej chwili zbliżył się do nas mężczyzna ubrany tak, jak to Lilka wcześniej opisała, miał długą czarną brodę, przetykaną srebrnymi nitkami siwizny. Jedno, co mi się wydało znajome w jego twarzy, to lekko skośne, japońskie oczy. Rozmawiali z Lilką po angielsku i prawie nic nie rozumiałam. W pewnej chwili powiedziała po polsku:

- To jest moja siostra, Gabriela, przyleciała z Warszawy.

Skinał tylko głową.

- A czy mówi coś panu nazwisko Nina Sworowicz?
- znowu Lilka.

Nic, żadnej reakcji. Wkrótce nasz odnaleziony ojciec pożegnał się i odszedł.

- Po co mnie tu przywiozłaś? - spytałam niemal wrogo.

- Nasze spotkanie mogłoby się udać, gdyby on nie był taki religijny - odrzekła ze spokojem, ale widziałam, że czuje się głupio.

A ja wpadłam na to, że jeśli mamy tu ojca, powinna gdzieś być i nasza babcia. Nie udało nam się jej odnaleźć, ale zwiedziliśmy to mistyczne miasto trzech religii. Wąskie uliczki i zaułki Via Dolorosa, bazylika Grobu Pańskiego, Meczet Skały górujący nad miastem ogromną złotą kopułą, przed tym meczetem siedział na brzegu fontanny stary Arab i moczył w niej nogi... Zawędrowaliśmy pod Ścianę Płaczu, którą tworzyły olbrzymie bloki jasnego kamienia, pozostałość dawnej świątyni, a ze szczelin wystawały złożone lub zrolowane kartki z prośbami.

Z pewnej odległości obserwowaliśmy modlących się Żydów. W czarnych chałatach i czarnych kapeluszach sprawiali wrażenie, że są władcami ściany, zagarniają ją w posiadanie, podczas gdy gdzieś z boku grupka kobiet nieśmiało odprawiała swoje modły.

Lilka musiała odbierać to podobnie, bo w pewnej chwili powiedziała:

- Sama widzisz, że musimy się bronić.

Jej dusza feministki buntowała się na ten widok.

Ale największym przeżyciem dla nas obu okazała się wizyta w Yad Vashem, zwłaszcza w muzeum Dzieci Holocaustu. Wszystkim zebranym kazano ująć się za ręce, ale jakoś tak się stało, że zgubiłyśmy się pośród tłumu ludzi, więc trzymałam dłonie nieznanym mi osób. Weszliśmy w absolutną ciemność, którą jednak co chwila przesywały błyski światła. Miałam wrażenie, że stąkam po płócie skalnej zawieszanej gdzieś we wszechświecie, chyba nawet w górze migotały gwiazdy, i każdy kolejny krok mógł sprawić, że polecę głową w dół. Kurczowo ścisnęłam te trzymające mnie z obu stron obce ręce. W ciemnościach słyszałam monotony głos wymieniający imiona, nazwiska, wiek, datę i miejsce śmierci żydowskich dzieci z czasu Zagłady. Nagle poczułam się tak, jakbym za chwilę miała usłyszeć swoje imię i nazwisko, datę urodzenia i datę śmierci... Z całych sił zapragnęłam, aby moja siostra Lilka była obok, ale spotkałyśmy się dopiero po wyjściu stamtąd i długo nie odzywałyśmy się do siebie. Jakiś czas później Lilka przeczytała w jednej z angielskich gazet, że w Oksfordzie ma się odbyć wykład wybitnego historyka i publicysty Jakuba Poznańskiego. Podano jego krótki życiorys: mieszka w Jerozolimie, wykłada na kilku uniwersytetach, między innymi na tym w Oksfordzie. Tknięta nagłym przeżyciem poszła na ten wykład, a potem udało jej się zamienić z mocno już starszym panem kilka słów. Poprosiła go o spotkanie ze względów osobistych, a on się jakoś od razu zgodził. Na szczęście ubrany był po europejsku, nie nosił czarnego chałatu, jak nasz

ojciec. Lilka opowiadała mi przez telefon, że na ten widok odetchnęła z ulgą. Najpierw rozmawiali o jego wykładzie, w końcu profesor dał jej delikatnie do zrozumienia, że jest bardzo zajęty i chciałby wiedzieć, czego od niego oczekuje.

- Jestem pana wnuczką - wypaliła bez żadnych wstępów.

Różnych spodziewała się reakcji, tylko nie tej, która nastąpiła po jej słowach:

- Teraz już wiem, dlaczego tak bardzo przypomina mi pani moją matkę! - powiedział po polsku.

Uwierzył od razu we wszystko, co mu opowiedziała. Zadawał mnóstwo pytań, co chwila ocierając oczy chusteczką, no i bardzo pragnął poznać swoją drugą wnuczkę, czyli mnie. Pragnęli tego oboje z naszą babcią i do takiego spotkania doszło. Ja przyleciałam do Jerozolimy z Warszawy, a Lilka z Londynu. Podobno chciała wziąć na to spotkanie Piotrusia, ale. katerycznie odmówił.

- Jeśli chodzi o dziadków, to Nina wyczerpuje limit - powiedział. - Nie lubię, jak się mnie obcałowuje, a pewnie do tego by doszło.

Więc obcałowane zostałyśmy my. Babcia była siwą, zadbaną panią, przyszła na spotkanie w jasnoniebieskiej sukience i na zaskakująco wysokich, zważywszy jej wiek, obcasach. Uśmiechnęłam się w duchu. Teraz już wiem, dlaczego Lilka tak je uwielbia. To rodzinne.

Babcia nie mogła się nami nacieszyć, oczy jej się śmiały.

- Popatrz, Jakubie - mówiła do męża - one obie to skóra zdarta z twojej matki, szkoda, że nie doczekała tego spotkania.

Jedynie na fotografii mogliśmy zobaczyć naszą prababcie. Dziwnie się poczułyśmy. To naprawdę mogła być któraś z nas przeniesiona w inną epokę. „Ona ma moją twarz” - powiedziała Lilka. Wszystko się zgadzało: ciemne włosy, grzywka, a pod nią lekko skośne oczy, tylko ubiór inny, bardzo w stylu retro. Na imię miała Rebeka, a ja pomyślałam, że chętnie bym się z nią na to imię zamieniła, bo nadal bardzo mi się nie podobało moje własne.

Można powiedzieć, że porozumiałyśmy się z naszymi dziadkami ponad głowami rodziców, bo ani mama nie chciała nawiązać z nimi kontaktu, ani ojciec nie chciał nawiązać go z nami, traktując nas jak gojki, czyli obce.

- On nas też tak traktuje - powiedziała babcia ze smutkiem - bo ja nie jestem Żydówką a Jakub jest dla niego za mało religijny.

Po tym wyznaniu babci powiedziałam do Lilki:

- Jeśli ona nie jest Żydówką to według żydowskiej religii nie jest nim także nasz ojciec, po co więc te pejsy i ten czarny kapelusz z dużym rondem? Nie uważasz, że to trochę śmieszne?

- Daj mu żyć, jak chce - skwitowała moja siostra.

I tyle miała do powiedzenia na temat odnalezionej po latach rodziny. Ale ona tak lekko wszystko traktowała. Czasami myślałam, że Lilka idzie, tańcząc, przez życie. I miałam jej za złe, że jest powierzchowna, nie-

zdolna do głębszej refleksji. Jak z tą naszą prababcią. Dręczyło mnie, że będąc tak fizycznie do kogoś podobna, nic o tej osobie nie wiem. Zwierzyłam się z tych myśli Lilce, a ona na to: „Nie masz większych problemów?” A ja właśnie ten problem postanowiłam rozwiązać, więc pojechałam do Łodzi w poszukiwaniu śladów prababci Rebeki. Znalazłam dom, w którym mieszkała, a potem jej grób na małym żydowskim cmentarzu na Kurczakach.

Miałam szczęście, trafiłam na kobietę, która opiekowała się nią do końca. Prababcia wróciła tutaj, aby umrzeć. Wyjechała wraz ze wszystkimi w sześćdziesiątym ósmym, jednak po roku oświadczyła rodzinie, że jej się w Izraelu nie podoba i wraca na stare śmieci.

- Jak to sobie mamusia wyobraża? - spytał jej syn, a nasz dziadek. - Kto tam mamusię wpuści?

- Ten, kto mnie stamtąd wyrzucił - odrzekła.

I przystąpiła do działania. Zaczęła od tego, że napisała list do Zofii Gomułkowej. Dzięki jej interwencji ambasada w Austrii wystawiła naszej prababci paszport, bo przecież stosunki dyplomatyczne z Izraelem były zerwane.

Rebeka, już wtedy dziewięćdziesięciopięcioletnia, wróciła do Polski. Znalazła małe mieszkanie na Bałutach i podobno „w żadnych salonach nie czuła się tak szczęśliwa, jak w tych ciasnych czterech ścianach”. A bywała na salonach, bo przyszła na świat we Francji w rodzinie bankierskiej. I jak na bankierską rodzinę przystało, znaleziono dla niej zamożnego

męża. Tyle że był już stary i garbaty, a ona śliczna, figligranowa i dziewiętnastoletnia. W dodatku zakochana w synu szewca, który był Czechem i „świecił dziurami na tyłku”, jak mówił jej ojciec. Wydawało się, że wszystko stracone, bo pod eskortą rodziny poprowadzono pannę młodą do synagogi, lecz obok w alejce czekał w dorożce jej ukochany Vaclaw. Młodzi uciekli do Polski, gdzie on otworzył warsztat szewski. Było biednie, ale mówił do niej: „Moja kochana Zorz” albo „Babiczko”, a ona się do niego uśmiechała. Mieli kilkoro dzieci, jednak wojnę przeżyło tylko jedno, właśnie nasz dziadek. Jaka ona była, ta prababcia Rebeka, chciałam wiedzieć.

- Wesoła, grywała na pianinie różne kawałki...

Nosiła białe żaboty i koronkowe mankiety, które sama prała. Chłopcy z Bałut za parę złotych przynosili jej z lasu korzeń mydlnicy. Korzeń ten prababcia wkładała do wody, a kiedy namókł, służył jej za mydło. Z takiego prania żaboty wychodziły bielsze niż najbielszy śnieg.

Aż któregoś dnia powiedziała do swojej opiekunki:

- Jutro umrę, połóżysz mi wtedy monety na powiekach.

I umarła.

No więc panie komisarzu... moja siostra Lilka szła w moją stronę, a ja niemal nie mogłam uwierzyć, że

(nagranie)

Nie widziałyśmy się tak długo, a rozmowy przez telefon to przecież- nie to samo, co czyjaś obecność. Przyzwyczaiałam się, że siostra to jest „głos”, a teraz miałam ją na wyciągnięcie ręki. I myślałam, że coraz mniej przypominam jej odbicie, jak o nas mówiono. Miała teraz bardzo krótkie włosy, rozjaśnione na końcach, to się chyba nazywa balejaż. Ubrana była w podkoszulek i obcisłe dżinsy do pół łydki. Na nogach obowiązkowo wysokie szpilki, jak dyktowała moda, ale ona od zawsze przecież nosiła takie buty, nawet nazywano ją na studiach: „Sworowicz wysokie obcasy”. Ja jedna wiedziałam, z czego to wynikało, bo znam moją siostrę tak dobrze, jak samą siebie. To był jej kompleks niskiego wzrostu. Marzyła o karierze modelki, zakochana w ciuchach, dobrych kosmetykach, ale nasze sto sześćdziesiąt osiem centymetrów przekreślało te tęsknoty.

Objęłyśmy się, owiał mnie zapach jej perfum.

- To Christian Dior? - spytałam.
- Sisley. A ty pokaż się, jak wyglądasz. Jak zwykle koszmarna fryzura, muszę się za to wziąć. Ale teraz mama! Jedźmy do niej.
- Może najpierw do Podkowy, odświeżysz się po podróży, odpoczniesz - zaproponowałam.
- Tak się znowu nie zmęczyłam - odpowiedziała.
- Jedźmy do mamy, ona jest najważniejsza.
- Tylko weź pod uwagę, że może cię w ogóle nie zauważyć. Takiej jej nie znasz.
- Jakoś sobie poradzimy.

W głosie Lilki było tyle siły i optymizmu, że mnie to podniosło na duchu.

Może jej przyjazd naprawdę coś zmieni - pomyślałam.

Jak już mówiłam, życie naszej mamy odmienił wyjazd do Niemiec w marcu dwutysięcznego roku. Kiedy stamtąd wracała, też wyjechałam po nią na lotnisko, widziałam ją, jak idzie w moją stronę, i czułam, że coś się tam wydarzyło. Ona inaczej wyglądała, miała inny wyraz twarzy, inny uśmiech, oczy jej błyszcząły.

- Zadowolona jesteś? - spytałam.

- Jestem bardzo, bardzo zadowolona - odrzekła.

- A tak ci się nie chciało jechać.

- Teraz aż w to nie wierzę!

Ta odpowiedź trochę mnie zdziwiła, ale nie zadawałam więcej pytań. W Brwinowie usiadłyśmy na werandzie, pani Sima przyniosła herbatę.

- Wiesz - powiedziała mama - spotkałam kogoś i wygląda na to, że jest to bardzo ważne spotkanie... To mężczyzna, z którym chyba spędzę resztę swojego życia.

Ona zaprogramowała sobie w mózgu, że tak właśnie będzie, i potem już nie potrafiła się z tego wycofać. Wszyscy dokoła widzieli, że ten związek kuleje, ale nie słuchała żadnych ostrzeżeń. Uważała, że wreszcie ułożyła sobie życie i nikomu nie pozwalała tego zniszczyć.

A więc w nasze brwinowskie progi wkroczył Jerzy Baran, czyli Mr Big, jak go przeważała moja siostra, gdy na ekrany wszedł amerykański serial *Seks w wielkim mieście*, i to przezwisko świetnie do niego pasowało. Lilkę zresztą można by nazwać prototypem przynajmniej jednej z tych bohaterek, Mirandy, przez te niebotycznie wysokie obcasy, niezależność, pogardliwy stosunek do mężczyzn. Ja trochę przypominałam, według niej, zakompleksioną Charlotte, a mama chyba Carrie, z tym swoim fatalnym zauroczeniem Mr Bigiem. Tylko gdzie tej aktorce do urody naszej mamy! Już same nogi nie wytrzymały porównania. Wpadałoby w roli czwartej przyjaciółki obsadzić ciocię Zoche, ale jak się miała rozpasana seksualnie Samantha do naszej ascetycznej krewnej? Ciocia na starość stała się kociarą. Karmiła bezpieczne koty, woziła je na sterylizację, a zimą zamieniała się w detektywa i badała, czy w piwnicach okolicznych domów nie pozamykano okienek. Toczyła o to boje z administracjami tych kamienic, groziła im procesem, słowem, sfiksowała już do końca, jak mówiła moja siostra.

Nie powiem, że bym nie była zdenerwowana, kiedy mama wyjechała po Mr Biga na lotnisko. Podświadomie czułam, że wizyta tego człowieka wszystko w naszym życiu zmieni i że te zmiany wcale nie muszą wyjść nam na dobre. A potem ""działam przez okno, jak oboje wysiadają z samochodu. Pamiętam swoje pierwsze wrażenie, a właściwie szok, bo ona opowiadała o nim jako o wspaniałym mężczyźnie, młodszym

od niej, pełnym polotu i inteligencji, a zobaczyłam faceta, któremu marynarka nie dopinała się na brzuchu i który w dodatku wyglądał staro. Przez chwilę myślałam nawet, że może to pomyłka, że partner mamy nie doleciał, a ona kogoś podwiozła po drodze i ten ktoś zaraz się z nią pożegna i odejdzie z naszego życia raz na zawsze. Ale oboje weszli do środka i mama powiedziała:

- Poznaj, Jerzy, moją córkę.
- Miło mi - odrzekł. - Nina opowiadała mi o pani i o pani Lilianie, chciałem was obie poznać.

Ton jego głosu mnie zaskoczył. Była w nim przyjazna nuta, zupełnie jakbyśmy się dobrze znali.

- Jestem Gabriela - odpowiedziałam.
- A ja Juhek. Cieszę się bahdzo. - Nie wymawiał „r”, co było zabawne.

Kiedy wróciłam do siebie, do Podkowy, zadzwoniła Lilka.

- I co, przyjechał, widziałaś go? - gorączkowała się.
- Przyjechał - odrzekłam niechętnie.
- I jak wygląda?
- Jak wuj aszek Wania.
- To znaczy jak? - wypytywała siostra.
- Nie wiem, co ci mam powiedzieć. On jakoś tak nie pasuje do mamy, jest gruby, nie rozumiem, o co tu chodzi.

Cisza w telefonie.

- Musi mieć jakieś zalety - usłyszałam po chwili.
- Jeśli tak, są niewidoczne. Może jedno, ma intrygujący głos i nie wymawia „r”.

- To znaczy?
 - No... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. - Zastanowiłam się. ' - Kiedy coś opowiada, przestajesz dostrzegać tę jego nieciekawą fizyczność.
 - Czyli taki czaruś?
 - Mniej więcej.
 - I mama się dała na to nabrać?
 - Najwidoczniej - odrzekłam kwaśno - ale może to być tylko pierwsze wrażenie, może on zyskuje przy bliższym poznaniu.
 - Pierwsze wrażenie jest zawsze najważniejsze. A poza tym przyjechał i wyjedzie.
- I tu Lilka się pomyliła, bo on już nie miał zamiaru wyjeżdżać.
- Po tygodniu mama zakomunikowała mi, że Jerzy nie wraca do Monachium, gdzie pracował w konsulacie.
- Jak to nie wraca? Przecież urlop mu się kończy
 - zdziwiłam się.
 - Znajomy lekarz załatwi mu zwolnienie - odrzekła mama lekko.
- Patrzyłam na nią zdumiona. Czy to jeszcze była ta sama osoba, którą pamiętałam z dzieciństwa i która nie chciała nas zwolnić z lekcji, jeśli nie było wyraźnej potrzeby?
- Nie wolno nikogo oszukiwać - mówiła.
- A teraz postanowili oszukiwać oboje.
- No, co tak patrzysz - powiedziała zniecierpliwiona.
 - Jerzy mówi, że to stałe praktyki w MSZ-ecie, takie dyplomatyczne zwolnienia, chyba o tym słyszałaś?
 - Nie słyszałam - odparłam sucho.

To dyplomatyczne zwolnienie przedłużyło się do pół roku, a potem Mr Big złożył wypowiedzenie z pracy.

- Jerzy zakłada kancelarię radcy prawnego - oświadczyła mama. - Na Freta.

- Oddajesz mu swoje mieszkanie?

- Powiedzmy, wypożyczam, będziemy mieszkali tutaj, w Brwinowie.

- Ale Freta jest przecież wynajęte i masz z tego nie-
złe pieniądze.

Mama machnęła ręką:

- Nie przedłużę wynajmu.

Powiedziałam o tym Lilce przez telefon.

- To są ich sprawy - stwierdziła - nie powinniśmy się wtrącać.

- Ale...

- Jakie masz wątpliwości?

- Ciebie tutaj nie ma, a ja to obserwuję z bliska. Mama jest jak ćma, która leci w ogień. Nie poznaję jej, ona nigdy taka nie była, zupełnie jakby pan B. ją zahipnotyzował.

- Pewnie chodzi o seks - snuła domysły moja siostra.

- Jaki to może być seks z takim cielskiem?

Lilka roześmiała się.

- No proszę, cóż za stwierdzenia w ustach mojej siostry.

Obserwowałam, co się działo za szosą w brwinowskiej willi, i byłam coraz bardziej zaniepokojona. Pojawiały się bowiem nowe fakty, które źle mnie usposabiały do tego człowieka. Pierwszym zgrzytem

okazała się wizyta jego najstarszej córki, wtedy była jeszcze przed maturą. Od niej się dowiedziałam, że ma dwie siostry, jedną w wieku Piotrka, drugą dwa lata młodszą. Zanim Mr Big związał się z mamą, już raz odszedł z domu i zamieszkał z inną kobietą, potem wrócił, tuż przed wyjazdem do Niemiec. Chciał wyjechać tam z rodziną, aby dziewczynki nauczyły się języka. Bardzo się broniły przed tą przeprowadzką. W swoim mieście, Białymstoku, miały koleżanki, żyły własnym życiem. Ale zmusił je do wyjazdu. Osiem miesięcy później do Monachium przyjechała moja mama, zaczął się jej romans z ich ojcem i ten ojciec miał znowu zniknąć z ich życia. Pobyt dziewczynek w Niemczech został gwałtownie przerwany, wróciły z matką do Polski. Dopiero po roku Mr Big zaczął się z nimi spotykać, tyle potrzebowały czasu, żeby mu wybaczyć. Przez ten rok nie podchodziły do telefonu, nie odpowiadały na jego listy. Ta najstarsza, Ola, z którą miał najlepszy kontakt, przyjechała do Brwinowa.

Siedzieliśmy przy kolacji. Córka Jerzego Barana starała się być miłą, początkowo odpowiadała grzecznie na pytania, którymi zasypywała ją moja mama, też zdenerwowana jej wizytą.

- Ola to od Aleksandry, prawda? Mój ojciec miał na imię Aleksander, to imię powtarzało się w naszej rodzinie... pradziad też się tak nazywał... chciałam, żeby i wnuk je odziedziczył, ale córka się nie zgodziła... Jeszcze jej nie poznałaś, oboje mieszkają Londynie...

- Ja nie jestem Aleksandra, tylko Olga - przerwała jej wreszcie dziewczyna. - Tak głupio mnie nazwali, jak Ruską... A mój ojciec, ty go jeszcze nie znasz, to straszny drań. Poczekaj pięć lat!

- No co ty opowiadasz, Ola - zaprotestował. - Powiedz, o co ci chodzi, i nie wyżywaj się na mnie.

- Chodzi o to, że jesteś palantem! - Zerwała się od stołu i wybiegła.

Trzeba powiedzieć, że on nie miał mądrej miny.

- Z nią tak zawsze - tłumaczył. - Jest wybuchowa, ale w gruncie rzeczy to dobre dziecko.

Mama wtedy nie dała wiary jej słowom.

- Mówi tak, bo jest zazdrosna - stwierdziła.

I było w tym trochę racji, bo dziewczyna zachowywała się jak zraniona kobieta. Nawet o tym spostrzeżeniu powiedziałam jej ojcu.

- Nic dziwnego - odparł - moje córki tak naprawdę nigdy nie miały matki, a ja nie miałem żony, więc ona, najstarsza, starała się zastąpić w domu kobietę.

- Może powinienś w tym domu zostać - powiedziałam nieśmiało.

Pokręcił głową.

- Żona niszczyła mój autorytet w oczach dzieci. Wmawiała im, że nic nie robię, tylko wyleguję się na kanapie. Taki poddawany kastracji ojciec nie może w pełni realizować swojej misji ojcostwa.

Wtedy po raz pierwszy pojawiło się hasło: kanapa. Na razie była to kanapa Mr Biga, on się na niej rozciągał, kiedy wracał z Warszawy, potem na tej samej kanapie leżała zwinięta w kłębek nasza mama.

Zwróciłam uwagę na jej nienaturalne zachowanie, kiedy pojawiał się w domu. Krążyła wokół tego sybaryty, coś mu przynosiła, coś od niego odbierała. Tu obrane jabłko, tu pusta filiżanka po kawie, tu ciastko. Mr Big, jak mały chłopiec, uwielbiał słodczyce, zawsze musiał je mieć pod ręką, na początku podejrzewałam nawet, że może cierpi na cukrzycę. Ale to było zwykłe łakomstwo. Stąd widocznie brała się jego tusza. Wszystkie potrawy musiały ociekać tłuszczem, do śniadania tylko tłusta szynka albo boczek. Do obiadu mile widziana golonka albo żeberka wieprzowe. Dania niespotykane wcześniej na naszym stole. I te zastraszające ilości jedzenia, znikające z jego talerza. Mnie to trochę przerażało, ale mama zdawała się tego nie dostrzegać.

- Czuję, że w domu jest mężczyzna - mówiła. - Ten dom jest inny.

To na pewno - myślałam z przekąsem. Nie podejrzewałabym siebie o tyle złośliwości, oczywiście nieujawnionej. Ja tylko obserwowałam i wyrażałam swoje niepokoje przed Lilką, która jednak je bagatelizowała. A już wprawiła mnie w zdumienie, kiedy po wizycie mamy i Jerzego Barana w Londynie powiedziała:

- Nie jest tak tragicznie, jak to przedstawiasz, trochę rozumiem mamę. W tym cielsku, jak to określiłaś, jest sporo erotyzmu.

Lilka po prostu Mr Biga lubiła i taka jest prawda. Rzadko miała okazję go widywać, ale kiedy się spotykali, mieli mnóstwo wspólnych tematów. Ona jako

nowoczesna bizneswoman i on radca prawny rozkręcający swoją kancelarię. Na razie kancelaria dochodów nie przynosiła, ale w przyszłości miało się to zmienić.

- Jerzy mówi, że jest moim najlepszym zabezpieczeniem - odpowiadała mama na moje uwagi, że inwestuje w kogoś, kto jeszcze się nie rozwiódł.

A nie rozwiódł się, bo stale pojawiały się jakieś przeszkody. Na początku jego żona postawiła warunek, że da mu rozwód, jeśli przepisze na nią swoją część domu w ich mieście. Oczywiście nie zgodził się na to. Potem twierdził, że trzeba poczekać, aż najstarsza córka zda maturę, a najlepiej, żeby Ewa, ta średnia, też zdała maturę, bo wtedy pozostanie tylko jedna nieletnia, Kasia. Ale kiedy ta średnia dorosła, okazało się, że wkrótce mają wejść znaczne ulgi przy rozwodach, więc trzeba się wstrzymać z pozwem, po co przepłacać. I tak minęło sześć lat, czyli tyle, ile trwał związek naszej mamy z Mr Bigiem.

No tak, siostra pojawiła się w sierpniu dwa tysiące siódmego roku. Zgodnie z jej życzeniem najpierw pojechałyśmy do mamy.

(nagranie)

Mama na jej widok wyraźnie się ucieszyła, wstała z kanapy, zaproponowała coś do picia.

- Zrobię herbatę - powiedziałam i zaczęłam się krzątać po kuchni, a ponieważ kuchnia jest połączona z pokojem, słyszałam, o czym rozmawiały. Lilka opo-

wiała o Piotrze, o tym, że studiuje reżyserię i chce w przyszłości robić filmy.

- To trudny zawód - powiedziała mama. - Niesie wiele rozczarowań.

- On o tym wie, ale taka była jego decyzja.

- W ogóle zawody artystyczne niszczą... i... są niezdrowe...

Biedna mama, chcąc jakoś usprawiedliwić przed nami swoje życiowe niepowodzenie, zwała to na niezdrowy zawód, jaki sobie wybrała.

Lilka kucnęła przy niej.

- Mamusiu, jesteś cudowną osobą, wrażliwą pełną światła. Napisałaś tyle książek, masz wiernych czytelników, oni czekają na twoją nową powieść.

- O kim mam napisać? - spytała z goryczą. O kobiecie, która niczego się nie nauczyła na swoich błędach?

Na to Lilka:

- Już Sokrates twierdził, że błąd jest przywilejem filozofów, a tylko głupcy nie mylą się nigdy.

- Ja się nie pomyliłam - odpowiedziała mama. - Ja dałam się oszukać!

To pierwsze wspólne lato mama spędziła z Mr Bigiem w Karwieńskich Błotach. Nie chcąc im przeszkadzać, siedziałam w Podkowie, ale miałam co robić. Wzięłam się za ogródek, wypielłam rabaty nasturcji, żółtych i pomarańczowych, o kielichach jak z najcieńszej, zmacerowanej skórki. To były ulubione kwiaty Mirka, nazywał je podkowieńską secesją.

Nad morzem pojawiłam się tylko raz, w ostatni sierpniowy weekend.

W następnym roku Mr Big wybrał się z córkami do Egiptu. W Karwieńskich Błotach spędził dosłownie kilka dni, przywożąc tam najmłodszą córkę, Kasię. Nawet wspólnie wybraliśmy się na wycieczkę na Mazury. Kolejne lato miało się okazać latem pożegnalnym.

Mama zatelefonowała do mnie.

- Wiesz - powiedziała - Jerzy ma jakieś sprawy do załatwienia w swoim mieście, będę tu kilka dni sama. Może byś wpadła?

- Dobrze, przyjadę - zgodziłam się od razu.

- Odbiorę cię z Władysławowa, żebyś nie musiała się tłuc autobusem - powiedziała wyraźnie ucieszona.

Czekała na mnie na peronie, opalona, w białej, płóciennej sukience z odsłoniętymi ramionami i w rzeziennych sandałkach na bosych stopach. To zdumiewające, czas jakby się dla niej zatrzymał: miała młodą twarz, młodą skórę. Chodziła szybkim, sprężystym krokiem i śmiała się, jak ktoś młody.

Przy kolacji powiedziała:

- Staramy się z Jerzym zaplanować nasze wspólne życie. On się musi dopasować do mnie, ale też ja do niego... I widzisz, Jerzy nie lubi zimnego morza, nigdy tu nie przyjeżdżał, nawet jako student. Wakacje zawsze spędzał za granicą... daleko, w tropikach... On to kocha, rafy koralowe, nurkowanie...

I tu wysłuchałam wzruszającej historii, jak to Mr Big, student pierwszego roku prawa, zawędrował do Au-

stralii. Musiał zdobyć fundusze, żeby zwiedzić ten wielki kraj, więc obierał świńskie łby, co było zajęciem okropnym. Te łby zanurzano w kadziach pełnych wrzątku, bo inaczej mięso nie odeszłoby od kości. Trzeba było wyciągać je stamtąd za pomocą drewnianych szczypiec i obierać gołymi rękami, na których po kilku godzinach robiły się pęcherze. Chętnych do takiej pracy było niewielu, więc płacono nieźle.

Mama opowiadała o tym tak, jakby to był jakiś nadzwyczajny wyczyn.

- Rozumiem, że twój Jerzy zarobił na podróż po Australii - skwitowałam opowieść.

- Dlaczego mówisz „twój” Jerzy? - zaperzyła się.

- No bo mój na pewno nie.

- Dziwną prowadzimy rozmowę, czasami mam wrażenie, że go nie lubisz - powiedziała urażona.

- Ja go po prostu nie znam - odrzekłam.

Ale trochę go już zaczynałam poznawać; sporo do myślenia dał mi pewien na pozór nieważny fakt, który mogłabym potraktować jako słabostkę Mr Biga albo rodzaj dziwactwa, gdyby nie to, że oszukiwał moją mamę. Mama rozpętała akcję antynikotynową, obawiając się o zdrowie ukochanego, który niestety sporo palił. Wspierały ją w tym jego córki i w końcu udało się wymóc na nim obietnicę, że rzuci papierosy. No i rzucił, mama chodziła wokół niego na paluszkach, podtykała mu miętowe cukierki, które podobno łagodziły skutki nikotynowego głodu.

Minęło pół roku. Wybraliśmy się we trójkę na kilka dni do Karwieńskich Błot. Wczesnym rankiem, idąc

na spacer, natknęłam się na Mr Biga. Ukryty za budynkiem gospodarczym palił papierosa. Oboje nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, więc nie powiedzieliśmy nic. Musiało go to jednak dręczyć, bo w jakiś czas potem mama zawiadomiła mnie, że Jerzy niestety powrócił do nałogu.

- No popatrz, wytrzymał tyle czasu i wszystko na nic! - powiedziała zmartwiona.

A teraz oświadczyła, że Jerzy stanowczo źle się czuje nad Bałtykiem i wręcz nie lubi tu przyjeżdżać.

- To w ramach przystosowywania się może polubi - rzekłam zdjęta złym przeczuciem.

- Dlaczego on ma się do mnie przystosowywać? - mama na to.

- A dlaczego ty do niego? - odpowiedziałam pytaniem.

- Bo ja chętnie zmienię swój osiadły tryb życia i poglądam te wszystkie cuda, te ciepłe morza i rafy...

W głosie mamy brzmiała fałszywa nuta, już wiedziałam, dlaczego tak obrazowo mi o tym wszystkim opowiada, a wkrótce moje obawy się potwierdziły.

- Lilka i Piotruś mieszkają za granicą - usłyszałam - i nie bywają tutaj, wygląda na to, że ja też przestanę tu bywać, dlatego zamierzam sprzedać Karwieńskie Błota...

Jej słowa zawisły w powietrzu.

- Zapomniałaś o mnie - odezwałam się wreszcie.

- No, przecież nie będziesz tu siedziała sama, w takim dużym domu. A jak zechcesz przyjechać nad morze, to jest teraz tyle różnych pensjonatów i na pewno

wyjdzie taniej - mówiła jakoś tak pośpiesznie, widocznie oczekiwała ataku z mojej strony.

Ale nie zamierzałam jej atakować.

- To jest twój dom i zrobisz z nim, co zechcesz - powiedziałam - tylko... może trochę poczekaj, zanim go sprzedasz.

- Na co mam czekać? - spytała wyraźnie niezadowolona.

- Chociażby na to, jak się wam ułoży z Jerzym.

- Nam się już ułożyło - odrzekła ostro. - Nie mówiłam ci, ale tęskniłam za miłością. Przed samym wyjazdem do Niemiec zwróciłam się do Pana Boga. I jak widzisz, zostałam wysłuchana.

- Więc skoro się nawróciłaś, zacznij chodzić do kościoła.

- Może tak zrobię - powiedziała obrażona. Podejrzała, że nie traktuję serio jej słów.

I chyba miała rację, bo jeśli Mr Big miał być tym prezentem od Pana Boga, mógłby przybrać doskonalszą formę.

Spędziłam w Kamieńskich Błotach jeszcze kilka dni, a właściwie się z nimi żegnałam. Chodziłam brzegiem morza na długie samotne spacery. Odczuwałam smutek także i z tego powodu, że spędziłam tutaj tydzień miodowy z Mirkiem. Nigdzie nie czułam się tak wolna i szczęśliwa. To było naprawdę wyjątkowe miejsce. Nie ma nad Bałtykiem drugiej tak pięknej, szerokiej plaży, takich porośniętych trzcinami wydm. Takich łąk i porannej mgły nad łąkami...

Po powrocie do domu zadzwoniłam do Lilki.

- Wiesz, że mama chce sprzedać Karwieńskie Błota?
 - spytałam bez wstępu.
 - Nie wiem - była wyraźnie zaskoczona.
 - Uważam, że popełnia błąd, że będzie tego żałowała.
 - Ale to jest jej dom i może z nim zrobić, co zechce.
 - I nie będzie ci żal?
 - Ja nie jestem taka sentymentalna jak ty - odpowiedziała moja siostra.
- Bardzo szybko znalazł się kupiec na tę posiadłość.

Po przyjeździe z Londynu Lilka zatrzymała się u mnie w Podkowie. Jeszcze tego samego wieczoru, siedząc w kuchni przy stole, omawiałyśmy strategiczny plan działania. Mówiła głównie ona.

- Mam wyrzuty sumienia, że się wyłączyłam ze spraw mamy, ale nie sądziłam, że to aż tak źle wygląda - tłumaczyła się.
- Usiłowałam ci o tym powiedzieć.
- Z daleka ma się inną optykę. Myślałam, rozstali się, inni też się rozstają, teraz już prawie nie ma długich związków. Ale zrób herbatę i do dzieła. Nastawiłam czajnik, przygotowałam filiżanki.
- Chcesz czarną czy owocową? - spytałam.
- A masz zieloną?
- Mam.
- To poproszę, ona rozjaśnia myśli.

Tak, panie komisarzu, będę opowiadała, jaką herbatę piłyśmy z moją siostrą tamtego wieczoru. Chociaż

może się to panu nie podoba, nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę może się okazać ważne...

Zielona herbata - pomyślał z dezaprobatą - to nie herbata, to jakieś zielsko!

(nagranie)

Ustaliśmy, że Lilka przejrzy dokumenty, czyli sześć-cioletnie administrowanie Mr Biga sprawami mamy. Przecież otrzymał od niej wszelkie pełnomocnictwa.

- Ufam Jerzemu bardziej niż sobie - powtarzała przy każdej okazji.

No i skończyło się tak, jak się skończyło. A nawet gorzej, bo o pewnych sprawach nie miałyśmy z Lilką pojęcia.

Moja siostra zmusiła mamę, żeby wzięła wyciągi bankowe z tych sześciu lat. Były to całe księgi, nad którymi Lilka spędzała dni i noce.

Nastrój miała bojowy.

- Poczekaj, łobuzie - mówiła - wydawało ci się, że twoją przeciwniczką jest słaba kobieta, która nie będzie umiała się bronić. Ale ta kobieta ma bardzo sprytną córkę!

- Ma dwie córki - sprostowałam.

- W tej sprawie ma tylko jedną!

Mieszkałyśmy z mamą przez drogę, jednak widywałyśmy się tylko wtedy, kiedy Mr Biga nie było w domu. Oczywiście oni mnie do siebie stale zapraszali, ale nie lubiłam tam chodzić. Nie lubiłam oglądać mamy w roli zakochanej kobiety, a może inaczej, nie lubiłam

jej oglądać zakochanej w Mr Bigu. Ja się po prostu o nią bałam! Bałam się, że ten jej stan nieprzytomności umysłu nie może trwać wiecznie, że wydarzy się coś takiego, co ściągnie ją na ziemię i będzie to dla niej bardzo bolesne.

- Jest w tym mężczyźnie coś śliskiego - mówiłam do siostry. - Ja mu nie dowierzam, a poza tym nie lubię ludzi, którzy nie patrzą w oczy.

- W każdym facecie coś znajdziesz, jak się uprzesz - odpowiadała Lilka. - Daj im spokój, są dorośli.

Niby przyznawałam jej rację, ale myślałam w duchu, że mama przestała się zachowywać jak osoba dorosła. Mama wierzyła bezkrytycznie w każde jego słowo.

- Powiedział, że nigdy mnie nie zostawi. Nawet jak będę stara i chora - mówiła z przekonaniem.

- A dlaczego masz być chora? - starałam się ją stuzić.

- No... bo przecież starzy ludzie chorują.

Miała potrzebę opowiadania o swoim szczęśliwym związku. Słuchając jej, coraz częściej odnosiłam jednak wrażenie, że jest to opowieść o trójkacie, bo stale pojawiała się ta żona, czyli uosobienie wszelkiego zła i nieszczęść, jakie na obecnego partnera mamy spadały.

- Rozmowa z Jerzym Baranem? Tak, pamiętam dokładnie tę datę i trudno mi ją będzie zapomnieć. To było trzeciego września dwa tysiące siódmego roku... Czy mogę skrócić swoje zeznanie? Nie, nie mogę, panie komisarzu, bo wtedy pewne fakty staną się niezrozumiałe...

Już są niezrozumiałe - pomyślał ponuro.

(nagranie) ~

Moja siostra sprawiała wrażenie pewnej siebie, a jak było naprawdę? Kiedyś byłyśmy tak ze sobą związane, że porozumiewałyśmy się bez słów. Ale teraz nic właściwie o niej nie wiedziałam: jak spędza wolny czas, z kim się spotyka, na co chodzi do kina. Parę razy próbowałam czegoś bliższego się o niej dowiedzieć, ale stosowała uniki, zbywała mnie żartem.

I nagle odsłonił się przede mną kawałek jej życia. Była wtedy w Warszawie, a ja właśnie wróciłam z pracy i przebrana w domową sukienkę wzięłam się za sprzątanie. W pewnej chwili usłyszałam dzwonek przy furtce, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam eleganckiego, wysokiego mężczyznę. Przyjechał taksówką. Tak jak stałam, w tym swoim roboczym ubraniu, wyszłam przed dom. Sądziłam, że to jeden z akwizytorów, którzy dosyć często mnie ostatnio nachodzili, ale kiedy podeszłam bliżej, zrozumiałam, że się myliłam. Mężczyzna miał taki wyraz twarzy, jakbyśmy się dobrze znali, ja natomiast byłam pewna, że widzę go po raz pierwszy w życiu.

- Czy pan ma do mnie jakąś sprawę? - spytałam wreszcie.

- Nie mówię polski-wyjąkał.

I znowu wpatrywał się we mnie, a potem wyjął z portfela zdjęcie.

- *She is my sister Lilka!* - powiedziałam.

Na jego twarzy pojawiła się ulga.

- *Are you twins?*
 - *Yes, we are twins* - powtórzyłam i natychmiast do niej zatelefonowałam.
 - Jest tu twój znajomy - powiedziałam, a potem oddałam mężczyźnie komórkę. Lilka coś tam perorowała, on tylko przytakiwał, wreszcie zwrócił mi telefon.
 - To kolega z pracy - wyjaśniła moja siostra - zaproponuj mu kawę i niech sobie radzi. Zatrzymał się w hotelu.
 - Ale... dlaczego przyjechał?
 - Przyjechał, bo widocznie tego chciał - odrzekła.
 - To nie twój problem.
 - Raczej mój - odrzekłam sucho. - Mamy kłopot z porozumiewaniem się i w ogóle sytuacja jest niezręczna.
 - Daj mi Johna - ona na to - powiem, żeby wrócił taksówką do Warszawy. Nie jest dzieckiem, poradzi sobie.
 - Powinnaś się z nim spotkać.
 - Spotkam się, ale wieczorem, teraz jestem zajęta. Umówiłam się z konsulem generalnym, była szefową pana B. Może dowiem się czegoś ciekawego - odparła.
 - A nie możesz tego przełożyć i przyjechać tutaj?
 - nalegałam.
 - Nie mogę i nie stwarzaj problemów tam, gdzie ich nie ma - zniecierpliwiła się.
- Skończyło się na tym, że taksówka czekała, a ja i pan John wypiliśmy kawę, wymieniając uprzejme uśmie-

«

chy. Na kilka jego pytań zdołałam odpowiedzieć. Wyjaśniłam mu, że wychowywałyśmy się z Lilką w innym domu, 'który już nie istnieje. Tak właśnie powiedziałam: *this house does not exist any more*. A przecież nie była to prawda. Ten dom miał się dobrze, stał w całej swojej okazałości niecały kilometr od miejsca, w którym piłam ze znajomym Lilki kawę.

Lilka nie wróciła na noc, pojawiła się dopiero pod wieczór następnego dnia. Zaczęła od zrelacjonowania rozmowy z panią konsul.

- Ciekawych rzeczy się dowiedziałam o panu J. B.

- A nic mi nie powiesz o twoim znajomym z pracy?
-przerwałam jej.

Lilka skrzywiła się lekko.

- Nie bardzo jest co opowiadać. Przyjechał i jutro wyjedzie.

- Więc on nie wyjechał, a ty jesteś tutaj? Gdzie nocowałaś? W hotelu, z nim? - spytałam ostro. - To jest facet na jedną "cc, według ciebie?

- Nie wchodzi z butami w moje życie - odrzekła.

- No tak, bo mnie się nigdy nic nie mówi - wybuchnęłam. - Chuchałam, dmuchałam na mamę przez cały rok, a ona traktowała mnie jak pielęgniarkę.

- Mama jest w złym stanie, wiesz przecież.

- Wiem, tylko z tobą może rozmawiać o tym, co ją boli. Byłam w kuchni, ale słyszałam, jak ci się zwierzała. Kiedy ją przekonywałaś, żeby odpuściła tę sprawę z Mr Bigiern, powiedziała, że to jedyny mężczyzna, z którym planowała starość.

- Przede wszystkim nie nazywaj tak tego pana - odrzekła Lilka - to była jego ksywka w innym życiu. Mr Big nie był oszustem matrymonialnym.

- Tak? - roześmiałam się. - Więc to cielsko nie jest już pełne erotyzmu?

- Przestań!

Kiedy leżałyśmy w łóżkach, przy zgaszonym świetle, Lilka nieoczekiwanie zaczęła:

- Z Johnem to jest skomplikowane... on mnie bardzo kocha. A ja jego może trochę, ale nie umiem z nim być...

- Wydaje mi się miły. I przystojny.

- Chyba nie nadaję się na stałą partnerkę. Zawsze uciekam.

- Nawet nie wiedział, że masz siostrę bliźniaczkę. Był zaskoczony. Może powinnaś zacząć mu o sobie opowiadać?

- Nie potrafię - ucięła.

Potem był ten weekend. Lilka zadzwoniła do mnie do pracy i oświadczyła, że przywozi mamę na sobotę i niedzielę do Podkowy.

- A mama wie o tym? - spytałam, niemal pewna, że ten pomysł zrodził się przed chwilą w jej głowie.

- Wie.

- I chce tu przyjechać?

- Przecież ci powiedziałam. Przywiozę ją.

Byłam tak zaskoczona, że nie próbowałam jej od tego odwieść. A to nie był dobry pomysł, żeby przywozić

mamę właśnie tutaj. Lilka oczywiście tego nie rozumiała, parła do przodu, nie zważając na to, co się wokół niej dzieje. " Tak było z Piotrusiem, którego najpierw porzuciła, a potem odzyskała. Wystarczył jeden jej uśmiech. Podejrzywałam, że podobnie było z Johnem. Musiało mu bardzo na niej zależeć, skoro przyjechał za nią do obcego kraju. I pewnie gotów był jej wiele wybaczyć. A teraz próbowała swoich sztuczek z mamą, nie licząc się z konsekwencjami. Przecież to będzie dla mamy bardzo bolesne. Świadomość, że jest kilka kroków od swojego domu, do którego nawet nie może wejść.

Stał opuszczony, okiennice były zamknięte, dawno nieprzycinane winoroślą wypuściły dzikie pędy, które z daleka wyglądały jak drapieżne macki. Bardzo mnie ten widok przygnębił, a przecież nie spędziłam tam całego życia, jak mama. Ale czy Lilka mogła to zrozumieć? Moja siostra miała grubą skórę, co oczywiście czyniło jej życie łatwiejszym. Tyle że naszej mamy nie pozwolę skrzywdzić.

Wszystko to wygarnęłam przez telefon.

- Skończyłaś? - spytała krótko.
- Skończyłam — odrzekłam lodowato.
- Więc tyle ci powiem, najważniejsze, żeby wywabić ją z domu.
- Ale nie tutaj! To jak sypanie soli na ranę.
- Gdziekolwiek! Rozumiesz?! - wrzasnęła Lilka.
- To dlaczego nie do pensjonatu nad zalewem?
- Bo tam jest za dużo ludzi!

I przyjechały.

W sobotni wieczór siedziały na werandzie. Ja w kuchni zmywałam naczynia po kolacji, okno było otwarte na oścież.

- Gabi mówiła mi, że szukał cię jakiś Anglik - usłyszałam głos mamy.
- No tak - odrzekła z ociąganiem moja siostra. - Zaniepokoił się, że się nie odzywam.
- To kolega z pracy? - wypytywała mama.
- Jest jednym z dyrektorów banku, moje biuro podlega właśnie jemu.
- Ale chyba nie z tego powodu się tu zjawił?
- No nie... musimy o tym mówić, mammo?
- Chciałabym się czegoś dowiedzieć o twoim życiu.
- A ja bym chciała tego samego od ciebie.
- O mnie wiesz wszystko, zachowałam się nierozsądnie.
- Bo ty jesteś ta romantyczna, mammo. A ja ta rozsądna.
- Jak panna Austin? Została starą panną. Mam nadzieję, że tobie to nie grozi. Będzie ci smutno bez mężczyzny. Teraz jeszcze możesz tego nie wiedzieć.
- A tobie jest smutno?
- W moim życiu nie ma już miejsca na takie pytania - usłyszałam i serce mi się ścisnęło.

Tamtego dnia od rana czułam napięcie, co się natychmiast przeniosło na moich podopiecznych. Dzieci autystyczne potrafią być jak sejsmografy, które wychwytyją najmniejsze drgania w przyrodzie. Niby żyją w swoim

własnym świetle, ale przenika do niego o wiele więcej, niż nam się wydaje. Więc sześćioletni Adaś wlepił we mnie oczy i widziałam w nich lęk. Starałam się do niego uśmiechać, ale to było bardzo trudne.

Po powrocie z pracy zastałam Lilkę na leżaku w ogrodzie. Wygrzewała się na słońcu. Nie dostrzegłam u niej śladu zdenerwowania. Ja przeciwnie, pociły mi się ręce, więc ciągle myłam je nad zlewem. Lilka udawała, że tego nie widzi. Na chybcika zjadłyśmy pierożki tortellini z serem i poszłyśmy na dworzec. Do Warszawy jechałyśmy kolejką, bo moje cinaquento znowu było w warsztacie.

Ten dworzec w Podkowie Leśnej Główniej jest jak przeniesiony z lat dwudziestych ubiegłego wieku. Dworzec Iwaszkiewiczowski - mówiła mama, wielbicielka pisarza. I ja się dołączałam. Lilka wolała literaturę obrazkową. Ostatnio jej faworytami byli bracia Wachowscy i ich *Matrix*.

Siedziałyśmy w kolejce przy oknie. Patrzyłam na swoją siostrę. Uśmiechałyśmy się do siebie i jakby czas się nagle zatrzymał.

Dwie nastolatki jadą do szkoły. Lilka maluje rzęsy tuszem zwędzonym mamie, a ja czytam *Jądro ciemności*, bo właśnie odkryłam Conrada. Nie wiemy jeszcze, jakie czeka nas życie, co się w tym życiu wydarzy złego lub dobrego. Ale postanawiamy nie rozstawać się nigdy, bez względu na wszystko. Los zdecydował inaczej. Lilka wyjechała na studia za granicę i tam zapuściła korzenie. Zabrała ze sobą swojego syna, co było dla mnie ciężkim przeżyciem. Zupełnie jakbym

straciła dziecko. Ale przecież nie mogłam jej zabronić, to ona była matka.

Byłyśmy w stałym kontakcie telefonicznym, a mimo to niewiele o niej wiedziałam. Co myśli, co czuje, czy uważa swoje życie za udane. Była w ciągłym ruchu, załatwiała tysiące spraw, musiała panować nad pracownikami. To ją na pewno absorbowowało. A gdzie miejsce na życie prywatne? Lilka jest zatwardziałą singielką, jak jej idolki z *Seksu w wielkim mieście*, ale przecież smutno żyć bez miłości. Ja przynajmniej mam wspomnienia, ona nie poznała wielkiego uczucia, co prowadzi do ubóstwa serca.

- Ubóstwo serca! - Lilka wzruszyła ramionami.
- Też wymyśliłaś. Wolę mieć ubogie serce niż stać się uboga, jak nasza mama. Dotąd nie może się pozbierać po wielkiej miłości.

- Nie każdy mężczyzna to Jerzy Baran.

- Każdy - odpowiada. - Faceci to męciaki i tyle.

- Męciaki? Co to znaczy? - spytałam.

- To inny gatunek niż my, i wcale nie jest pewne, czy ten gatunek to *homo sapiens*. Oni reagują jedynie na bodźce.

- Uważaj, bo nie znajdziesz sobie nikogo na życie
- przestrzegłam siostrę.

- Nie szukam nikogo takiego - odpowiedziała. -
Ktoś na życie to model dwudziestowieczny, a wiek dwudziesty pierwszy należy do nas, kobiet. Śmiało
zmyrzamy naprzód zaopatrzone w wibrator.

Widząc moją minę, Lilka się roześmiała.

- Chcesz to ci pożyczę pouczającą książeczkę o znanym tytule *Straszne skutki awarii wibratora*.

- Dziękuję, pozostanę przy Conradzie.

- Znowu czytasz Conrada? - zdziwiła się moja siostra. - Może byś się chociaż przerzuciła na Rotha, też wspomniały pisarz, a nie lamusowaty.

- Conrad też nie, w naszej bibliotece jest zaczytywany.

- I kto go tak czyta, ci twoi podopieczni?

Siedziała naprzeciwko mnie i patrzyła w okno. Pewnie przygotowywała sobie przemowę do Jerzego Barana, której ja miałam być niemyim świadkiem.

- Nie wolno ci się odzywać, żeby nie wiem, co się działo - upominała.

- A co się może dziać? Chyba się nie pobijecie.

- Przydałoby mu się lanie - odrzekła - ale tu trzeba dyplomatycznie, trzeba go przechytryć.

- To może być bardzo trudne, przechytrzenie to jego zawód - powątpiewałam.

- Mój też.

Umilkła i spoglądała w okno. Ale ta jej gadanina mogła oznaczać, że ona też się denerwowała przed spotkaniem z panem B.

Byłyśmy spóźnione, więc prawie biegłyśmy ulicą na Mokotowie, dookoła piękne stare wille. Na jednej z rich tabliczka: „Jerzy Baran. Kancelaria Radców Prawnych”.

- Powinno być napisane: Kancelaria Oszusta Wszech Czasów - stwierdziła Lilka.

- Wtedy pies z kulawą nogą by tu nie przyszedł - odpowiedziałam.

- Przeciwnie, ustawiałyby się kolejki, ty naiwniaczko!

Weszliśmy na drugie piętro.

Pan mecenas siedział, rozwalony, za biurkiem, które należało kiedyś do naszego dziadka.

- Co mogę dla pań zrobić? - spytał, kiedy zajęliśmy miejsca naprzeciw niego.

- Wyprowadzić się z naszej willi! - wypaliła Lilka.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Chciałbym paniom zwrócić uwagę, że to moja willa.

- Pan ją wyłudził od zakochanej kobiety! I ma to swoją nazwę, której oszczędzę tu obecnym.

- To jest pani prywatna opinia. Mam inną.

- A możemy ją poznać? - spytała lodowato moja siostra.

- Jak najbardziej. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem, obie strony oświadczyły, że nie mają wobec siebie żadnych roszczeń.

- Pan i ja dobrze wiemy, jak było! - nie rezygnowała Lilka. - Gdyby pan był przyzwoitym człowiekiem, nie zgodziłby się pan na taką darowiznę, bo druga strona była od pana słabsza i uzależniona do tego stopnia, że oddałaby panu wszystko, co ma, gdybyśmy z siostrą nie zaprotestowały. Niestety uczyniłyśmy to zbyt późno.

- To też jest pani opinia.

- Drogi panie mecenasie - odparła tym razem słodko Lilka - zostawmy te przepychanki słowne. Czy jest pan gotów wyrównać straty, jakie poniosła przez pana nasza mama? Jeśli *nie*, spotkamy się w sądzie.

- W takim razie oczekuję pozwu - odparł.

Na schodach Lilka powiedziała:

- Ten cały Jerzy Baran to zły dżin, którego mama uwolniła z butelki.

- Nie wiem, dlaczego mama to zrobiła... Ostatnio wydawała się spokojniejsza, uśmiechała się nawet. Tak jakby powracała do nas z dalekiej podróży... Nie wiem, dlaczego strzeliła do Jerzego Barana... naprawdę nie wiem...

Śledztwo toczyło się dalej, ale według komisarza Zawadki najwyraźniej nie posuwało się do przodu. Co kilka dni jego ekipa się spotykała, czasami w tych naradach uczestniczył prokurator.

Do tej pory przesłuchano trzech świadków: sekretarkę denata, jedną z córek Niny S. i tę prawniczkę z Gdańska.

- Twarda laska, szefie - powiedział Aksamitny o prawniczkę. - Jeśli nawet wpakowała w koleśka sześć kul, zna swoje prawa i z pewnością nie da się jej podejść z zaskoczenia. Cały czas twierdziła, że to znajomość czysto zawodowa, ale kiedy ją trochę przycisnęliśmy, przyznała się, że wyjeżdżali z Baranem dwa razy na Sri

Lankę i raz na Bali, i już tak się nie upierała, że były to wyjazdy służbowe.

- Ciekawe, kto płacił za te wojaże? - wtrącił któryś.

- Z pewnością nie ona, to nie pani pisarka, która z miejsca wręczyła koleśowi klucz do sejfu - podsumował Aksamitny.

- A chociaż warta grzechu? Ty ją przesłuchiwałeś - zadał mu pytanie jeden z kolegów.

- Nie wiem, nie gustuję w papugach - odrzekł wyniośle.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, wyraźnie nastroje w ekipie nie były najlepsze.

- No to jak na razie dętka - ktoś podsumował.

- Nie taka znowu dętka - włączył się Aksamitny.

- Jest kilka tropów. Wiadomo już o jednej większej sprawie budzącej spore wątpliwości.

Jerzy Baran otrzymał pełnomocnictwa od ludzi, którzy walczyli o odszkodowania za budynki i grunty zajęte bezprawnie przez komunistyczne państwo, między innymi chodziło o działki w centrum Białegostoku. Parę dobrych lat temu pan radca wziął wysokie załączki na poczet tych spraw, wybudował za to okazały dom w Białymstoku, ale nic nie udało mu się załatwić. Niektórzy klienci zaczęli okazywać z tego powodu niezadowolenie, a jeden żądał nawet zwrotu pieniędzy, podobno groził, że naśle na mecenasa Czczeńców, którzy już będą wiedzieli, co mają robić.

- Myślicie, że to była egzekucja? - rzucił któryś pytanie w powietrze.

Na to Aksamitny:

- Należy oczywiście poczekać na wynik sekcji zwłok, ale ja już na początku mówiłem, szefie, że to strzelał amator, jakiś popapraniec, który pierwszy raz w życiu trzymał broń. Rozrzut był taki, że pewnie rączka mu latała. Żaden Czeczen by się tak nie zbłąźnił, to wszystko fachowcy pierwszej klasy!

A moim zdaniem, strzelała kobieta - pomyślał komisarz, ale nie powiedział tego głośno, bo miał za mało danych.

Kiedy został sam, postanowił przesłuchać jeszcze raz nagranie z przydługiej spowiedzi życia córki Niny S., i zrobić z niego odpowiednie notatki. Taki miał zwyczaj, notował to, co go zainteresowało w zeznaniach świadków.

„kup pistolet i zabij tego typa” - to słowa Liliany Sworowicz do siostry po rozstaniu ich matki z denatem.

rok 1983 po aresztowaniu matki Liliana uderza siostrę w twarz, aby przerwać jej histeryczny atak. Przejmuje niejako pałeczkę, ma wtedy 15 lat.

porzuca syna i wyjeżdża na studia do Anglii, potem zabiera go, nie liczy się z cudzymi uczuciami.

sprytna córka kontra łobuz.

Notatki, które komisarz poczynił, jemu samemu wydały się dziwne, ponieważ nie dotyczyły osoby *zecznej*, ale pojawiającej się w zeznaniach. Czyżby brał pod uwagę, że to Liliana Sworowicz mogła popełnić zbrodnię? Mało prawdopodobne. Ale jej matka wyrażnie kogoś kryła, a dla kogo jest się w stanie poświęcić siebie, jeśli nie dla własnego dziecka? Mogło też być tak, że Nina S. była zleceniodawczynią zabójstwa, dopiero potem przyszyła refleksja.

Coś mu tu jednak nie pasowało, ona zbyt szybko się przyznała. Naprawdę był w kropce. Zeznania córki niczego nowego do śledztwa nie wniosły, to opowieść o trzech samotnych kobietach. Czy któraś z nich była morderczynią? Bardzo wątpliwe. Nina S. walczyła w sądzie o zwrot domu, który dla niej miał wartość niewymierną. Był jej rodzinnym gniazdem, więc po co miałyby popełniać zbrodnię? Z miłości? Chyba jej już ta miłość przeszła, po tym, czego się dowiedziała o Jerzym Baranie.

Myślał o tym wszystkim, robiąc herbatę w swoim mieszkanku w jednym z natolińskich bloków. Był ciągle sam, mimo że zbliżał się do pięćdziesiątki i chyba odczuwał nawet pierwsze oznaki kryzysu wieku średniego. Przestał już czekać, że pewnego dnia w drzwiach jego komisariatu stanie jakiś Raskolnikow, a on niczym Porfiry Pietrewicz rozwinie swoje talenty krasomówcze i wdrapie się na najwyższe szczyty policyjnej psychologii. Ten Porfiry stał się jego kompleksem. Dobrze znana obła sylwetka pojawiała mu się przed oczami, ilekroć spotykało go jakieś wyjątkowe upokorzenie, na

przykład wezwanie do pijackiej burdy, gdzie jeden drugiego dźgnął śmiertelnie nożem.

Komisarz usiadł wreszcie przy stole i wziął do ręki gruby zeszyt, który jako dowód rzeczowy zabezpieczono w mieszkaniu Niny S.

Ona sama nie chciała mówić, więc niech przemówią jej notatki, czy, jak wolała ich autorka, „Dziennik”...

Dziennik Niny

4 lipca 1967 roku

Chcę zostać pisarką! Wiem to na pewno! Podjęłam ważne życiowe postanowienie przy moich ulubionych lodach malinowych.

Siedziałyśmy w ogródku kawiarnianym pod parasolem, ja i moja nowa przyjaciółka - Alicja Konopnicka. Jej prawdziwe nazwisko brzmi inaczej, to pseudonim literacki. Pseudonim żart. Spotkałyśmy się dzisiejszego popołudnia przypadkiem, a może nawet nie przypadkiem, może to los podesłał mi tę cudowną osobę.

W Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu odbywał się wieczór znanej poetki, którą porównywano do Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Na spotkania z nią zawsze przychodziły tłumy, głównie młodych ludzi. Niemal na pamięć znałam jej wiersze i kiedy tylko mogłam, biegłam, żeby jej posłuchać. Wszystkie

miejsca na sali były zajęte, wiele osób stało pod ścianami i w drzwiach otwartych na korytarz. Obok mnie siedziała niemłoda już, dosyć otyła kobieta i cały czas gryzła ciasteczka, szeleszcząc celofanową torebką. Ludzie sykali, a ona zrobiła do mnie oko. Wyglądała jak łobuziak, więc parsknęłam śmiechem. Ta pani pochyliła się do mnie i szepnęła:

- Trudno przeżywać poezję w tłoku, chyba się zmyjemy?

I zaprosiła mnie na lody.

- Chciałabym być jak ona - powiedziałam - poczuć choć przez chwilę, że jest się tak bardzo uwielbianym...

- Najlepiej być sobą - odpowiedziała ta pani. - A z uwielbieniem różnie bywa.

Pracowała w „Szpilkach”, w piśmie satyrycznym, więc można powiedzieć, że jej sposobem zarabiania na życie był dowcip. Ale książki pisała dość ponure, najczęściej o wojnie, bo i czasy, w których dorastała, były ponure. Jej ojciec, przedwojenny adwokat, bronił komunistów, został napadnięty przez studentów-endeków i pobity do nieprzytomności, nigdy nie wrócił do zdrowia. Matka Alicji, przyzwyczajona do życia w luksusie, nie mogła zrozumieć, że to życie się bezpowrotnie skończyło, ciągle płakała, a zaraz potem wybuchła wojna i wszyscy Polacy mieli kłopoty, a rodzina Alicji jeszcze większe, przez swoje żydowskie pochodzenie.

- Nauczyłam się radzić sobie sama - powiedziała moja przyjaciółka - i na nikogo się nie oglądać. To pierwsza życiowa zasada.

- A druga? - spytałam.

Roześmiała się.

- Druga to umieć cieszyć się życiem, co, kiedy się ma siedemnaście lat jak ty, nie jest trudne, ale kiedy się ma tyle co ja, to już gorzej.

- A mnie się wydaje, że pani też ma siedemnaście lat - odparłam.

Ona na to:

- W takim razie przejdźmy na ty. Jestem Ala.

- A ja Nina.

- Nina, bardzo ładne imię. I ty jesteś ładna, a nawet więcej, ty jesteś, moja Ninko, jak wiosna, masz we włosach brzoszowe gałązki z pączkami zielonych listków.

Tak to jakoś naturalnie powiedziała, że dotknęłam swoich włosów, i obie się roześmiałyśmy.

Chcę być taka jak ona! Chcę zostać pisarką i postanowiłam też pisać dziennik, żeby wypróbować pióro. Powinnam się przedstawić, bo tak chyba wypada. Chcę pisać dla jednego czytelnika, jak Ala. Ona mówi, że pisze dla jednego czytelnika, a jeśli książka będzie dobra, to się ten czytelnik rozmnoży.

- A jeśli nie będzie dobra? - pytam.

- To sobie pójdzie i już...

Mam nadzieję, że mój czytelnik sobie nie pójdzie, albo nie tak od razu.

Dokonuję prezentacji: nazywam się Nina Sworowicz, mieszkam z moim tatą Aleksandrem Sworowiczem w Brwinowie i w przyszłym roku zdaję maturę. Będę też zdawała egzaminy na Wydział Filologii Pol-

skiej i Słowiańskiej w Uniwersytecie Warszawskim. Tata to podkreśla: w uniwersytecie, a nie *na* uniwersytecie. Bardzo się z moim ojcem przyjaźnimy, chociaż często wybuchają między nami kłótnie, bo i on, i ja jesteśmy strasznymi bałaganiarzami i ciągle coś nam ginie. Tata wmawia mi, że gdzieś posiałam jego *Ucztę* Platona, a ja, że przez pomyłkę zabrałam mój zeszyt do geografii. On jest profesorem na Wydziale Filozofii i chyba jest bardzo lubiany, bo na jego wykładach są zawsze tłumy. Studenci przychodzą nawet do nas do domu. Niektórzy bardzo przystojni, ale ja już mam chłopaka, znamy się od podstawówki i chcemy być na zawsze razem. Oczywiście najpierw musimy skończyć szkołę i dostać się na studia. Jakub chce studiować fizykę, bo ma ścisły umysł. Jest piękny. Wszystko mi się w nim podoba, jego wiecznie opadająca na oczy czupryna i gest, jakim ją odgarnia. Zupełnie jak Alain Delon. Na razie muszę przerwać swoje zwierzenia, bo przyszła moja siostra Zosia i wołają mnie na dół.

2 sierpnia

Byłyśmy dzisiaj z Alana długim spacerze nad Wisłą.

Powiedziałam jej, że bardzo bym chciała tak podchodzić do życia jak ona, lekko, z przymrużeniem oka. Odrzekła, że życie nie zasługuje na to, aby je traktować poważnie. Trochę mnie to zdziwiło, bo przecież nasze życie to my sami. Ala pokręciła głową:

- Nie - powiedziała - życie to fakty, czyli to, co się nam przydarza. I zapamiętaj, że to nie fakty nas niszc-

czą, tylko znaczenie, jakie im przypisujemy. Gdybym tego nie wiedziała, już dawno by mnie nie było.

Czułam, że chciała mi przekazać coś ważnego, ale do mnie to nie docierało. Potem w domu jeszcze nad tym rozmyślałam i w końcu postanowiłam porozmawiać z tatą.

- Wiesz, moja przyjaciółka twierdzi, że nie fakty nas niszczą, ale znaczenie, jakie im przypisujemy. Jak ty to rozumiesz?

- Po pierwsze, ktoś już wpadł na to przed twoją przyjaciółką ona tylko go zacytowała - odrzekł. -A po drugie, rozumiem tak, jak zostało powiedziane. Na przykład zabrudziłaś sobie nową sukienkę i albo będziesz z tego powodu nieszczęśliwa, albo pomyślisz: dam sukienkę do pralni i plama zniknie.

- A jeśli nie zniknie? - spytałam.

- Jeśli nu; zniknie, znowu będziesz miała dwa wyjścia: albo uznasz to za drobniaczek, albo będzie cię to dręczyło i na długo odbierze ci humor.

Jakoś mnie mój tato nie przekonał, pomyślałam, że rozmawia ze mną jak z dzieckiem. A moja przyjaciółka miała problem i nie umiała mi przekazać czegoś, co było dla niej bardzo ważne. Czułam to, bo wobec bliskich mi osób mam niezwykłą intuicję. Kiedyś podeszła do mnie na ulicy nieznajoma kobieta i zaczęła rozmowę.

- Ty jesteś spod znaku Ryb, prawda? - Skinęłam głową. - Gdybyś nad tym popracowała, miałybyś dar jasnowidzenia — usłyszałam.

Nie chciałabym mieć takiego daru. To musi być okropne, wiedzieć, co się z nami stanie w przyszłości.

Gdybym na przykład wiedziała, że umrę za dwa lata, nic by mi się nie chciało robić. A tak muszę wkuwać matkę, chociaż jej nie cierpię. *Ale per aspera ad astra*, jak twierdzi tata.

24 grudnia

Dzisiaj jest Wigilia. Jak co roku poszliśmy całą naszą rodziną, czyli tato, Zosia i ja, na cmentarz, do mamy. Zapaliliśmy znicze i pomedytowaliśmy, ja i Zosia przeżegnałyśmy się na zakończenie, a tata nie, bo jest agnostykiem. Często powtarza swoje ulubione: *Primus in orbe deosfecit timor!* Co znaczy: Bogów na świecie najpierw stworzył strach!

Kiedy byłam całkiem małą, rozmawiałam z mamą, zadawałam jej pytania i byłam rozczarowana, że mi z nieba nie odpowiada. Nawet sobie czasami popłakałam. Mama umarła, jak miałam sześć lat, i właściwie mało ją pamiętam, bardziej znam z fotografii niż z tego czasu, kiedy z nami była. Chodzą mi po głowie różne wspomnienia: mama siedzi przed lustrem i czesze włosy, a potem odwraca się i uśmiecha do mnie. Ten obraz najczęściej się powtarza i jest niemy; nie słychać jej głosu, chociaż coś mówi. Bardzo bym chciała wiedzieć, co mama mówi. Ale szybko znika. Kiedyś spytałam tatę, czy mnie kochała. Odpowiedział, że najbardziej na świecie.

- A z nieba też mnie kocha? - chciałam wiedzieć.

Tata milczał długo i odrzekł:

- Nieba nie ma.

Patrzyłam na niego przerażona.

- Jak to nie ma, przecież ja widzę, że jest, są na nim chmurki.

- Chmury to zjawiska atmosferyczne, nasza Ziemia jest częścią kosmosu.

- Gdzie w takim razie mama jest teraz? - dopytywałam się.

- Mamy nie ma nigdzie - odrzekł.

Uciekłam z płaczem i zaszyłam się w kącie za szafą, moja siostra Zosia wyciągnęła mnie stamtąd.

- Czemu się mażesz? - spytała.

- Bo tata powiedział, że nie ma nieba i naszej mamy też.

Zosia na to:

- Dla tych, co nie wierzą, nie ma, a dla tych, co wierzą, jest.

Trochę mnie to uspokoiło.

- A jak ja wierzę, to nasza mama jest w niebie?

- Jasne - odrzekła moja siostra.

Co myślę o tym teraz? Czy wierzę w niebo i obecność tam mamy? Nie wiem... Ale uważam się za katoliczkę, zostałam ochrzczona, głównie za sprawą mamy, która była wierząca. Więc może naprawdę przebywa w jakimś niebie. Podobno była bardzo dobrym człowiekiem, pomagała innym. W czasie wojny w naszym domu mieścił się szpital dla rannych żołnierzy, a po Powstaniu przebywało tu wiele rodzin, które uciekały z płonącej Warszawy. Był taki ścisk, że nie dało się przejść obok śpiących na podłodze ludzi. Za domem, w ogrodzie, stał kocioł i wydawano z niego zupę. Mama zarządziła, że nikomu, kto przyjdzie głodny,

nie wolno odmówić łyżki stawy. Tak mi to przekazała pani Anielcia, gosposia, która była u rodziców jeszcze przed wojną, a potem po śmierci mamy zajmowała się mną, bo Zosia już była wtedy dorosła. Studiowała medycynę.

- Pani profesorowa to był chodzący anioł, a może i święta - powtarzała przy każdej okazji, wznosząc oczy ku górze. Widać Anielcia też wierzyła w niebo.

Wigilia w naszym domu zawsze jest taka smutna, chociaż w rogu pokoju stoi pięknie ubrana choinka, a na stole - same dobre rzeczy. To dzięki Zosi, która zawsze wie, gdzie można zamówić karpia w galarecie i ciasta domowe. Ale w domu nie pachnie świętami jak u innych. Nic się w kuchni nie gotuje i nie piecze, tylko podgrzewa potrawy „na wynos”.

Za mało nas przy stole, a poza tym tata nie chce łątać się opłatkiem.

- Po co robisz takie demonstracje - Zosia zgłasza pretensje do taty.

To nie demonstracje, to zasady - odpowiada.

- Masz małą córkę, która może nie zrozumieć twoich zasad!

Na to tata:

- Zrozumie, jak podrośnie!

- Że miała nieczułego ojca?

Że jej ojciec nie był obłudny.

Dopisek: Wigilia 1989

Ale racja była chyba po stronie Zosi, bo małe dziewczynki oczekują pewnych rytuałów, to im daje poczucie

bezpieczeństwa. A w moim dzieciństwie i dorastaniu dodatkowo zabrakło przecież najważniejszej postaci: matki.

„W domu nie pachnie świętami jak u innych”. Właśnie tego zapachu komisarz nie znosił. W jego domu rodzinnym pachniało świętami aż za bardzo. Pochodził z małego miasteczka na Mazurach, gdzie były one wyjątkowo celebrowane. Matka godzinami wystawała w kolejkach, a potem mełła mak, piekła ciasta, smażyła ryby. Słynne były jej wędliny własnej roboty. I wszystko po to, aby zjechała się rodzina, cztery starsze siostry komisarza, z mężami i dziećmi, i zasiadła przy stole. Z małymi przerwami trwało to trzy dni. W ich domu święta to było przede wszystkim żarcie, które matka donosiła z kuchni. Widział, jak bardzo jest zmęczona, i starał się jej pomóc, ale protestowała. Nigdy nic nie chciała dla siebie i przyzwyczała innych, że istnieje wyłącznie po to, aby im usługiwać i dogadzać. Kochał matkę i bardzo go to irytowało, szczególnie stosunek do niej starszych sióstr.

- Gdybyście mogły, to byście jęzajeżdżyły-powiedział kiedyś ze złością,

2 stycznia 1968

Tata pozwolił mi urządzić Sylwestra w naszym domu. Było kilku moich kolegów i kilka koleżanek, no i Jakub oczywiście. Kiedy zegar wybił dwunastą powiedzieliśmy sobie, że będziemy razem na zawsze, żeby nie

wiem, co się stało. Jakub obiecał nawet, że jakby nagle kula ziemską się rozpekła na połowy i ja bym została po jednej, a on po drugiej stronie, to by skonstruował statek kosmiczny, żeby mnie odnaleźć.

- A wiesz, ile na taki statek potrzeba forsy? Skąd byś ją wziął? - spytałam przytomnie.

A Jakub na to:

- Obrabowałbym bank.

Na szczęście żaden kataklizm nam nie grozi, poza tym, że czeka nas oboje matura, a potem egzaminy na studia. Jak to przyjemnie będzie móc powiedzieć: jestem studentką!

Dzisiaj widziałam się z Alą, złożyłyśmy sobie lekko spóźnione życzenia noworoczne. Ona oczywiście życzyła mi zdania matury i wymarzonego indeksu, a ja jej, żeby zawsze była taka, jaka jest, żeby się nie zmieniała. A ona powtórzyła to dziwne zdanie, że nie fakty nas niszczą, ale znaczenie, jakie im przydajemy. Tym razem poprosiłam, żeby mi to dokładniej wyjaśniła.

- Ja tylko chcę, żebyś o tym pamiętała - odrzekła.

Była jakaś smutna, pomyślałam, że może jest chora. I przypomniało mi się, co mi powiedziała ta obca kobieta na ulicy, że mogłabym zostać jasnowidzką i przekazywać ludziom energię, która uzdrawia. Zupełnie bezwiednie pochyliłam się do Ali przez kawiarniany stolik i położyłam jej dłoń na piersi. Trwałyśmy tak chwilę, a potem ona powiedziała:

- Ninko, jesteś cudotwórczynią, zdjęłaś ze mnie cały ciężar życia.

Może żartowała, ale głos miała bardzo poważny. W ogóle ta nasza przyjaźń nie jest taka zwyczajna, bo dziewczyny kolegują się ze swoimi rówieśnikami, a mnie i Alę dzieli dużo lat. I nie jest tak, że szukam w niej matki. Nie wiem, czy z matką mogłabym być tak bardzo szczerą, a Ali mogę opowiedzieć o wszystkim, nawet o tym, że byłam z Jakubem i że na początku to mi się bardzo nie podobało, a ona odpowiedziała, że mało której kobiecie to się na początku podoba, ale taki początek jest bardzo ważny. Od tego zależy, jak się będzie te sprawy traktowało później.

- Mój początek był zły i dlatego długo miałam z tym problem - zwierzyła mi się. Potem poszliśmy na spacer. Był lekki mrozek i śnieg skrzył się w słońcu. Idąc, trzymałyśmy się za ręce.

- Kiedy wreszcie pokażesz mi swoje opowiadanie? - spytała Ala.

- Jeszcze go nie napisałam - odrzekłam.

- No to na co czekasz? Daję ci czas do przyszłej niedzieli.

Siedzę teraz nad pustą kartką i nic mi nie przychodzi do głowy. Ale przecież obiecałam Ali, a prędeziej wolałabym umrzeć niż sprawić jej zawód.

12 stycznia

Bardzo niemiłą miałam wczoraj rozmowę z Zośką. Wparowała do mojego pokoju bez pukania, a tego nie lubię.

- Co to za stara baba, z którą spacerujesz za rączkę po Warszawie? - spytała.

- Jak ona jest stara, to ty jesteś przedpotopowa!
- odgryzłam się.

No i moja siostra wygłosiła całe kazanie, że czuje się za mnie odpowiedzialna, że zastępuje mi matkę i chce wiedzieć, co ja robię i z kim się spotykam. A ja na to, że późno się obudziła, bo za kilka miesięcy będę pełnoletnia i mogę się na nią wypiąć. Az kim się spotykam, to moja sprawa.

- Bardzo się mylisz - na to Zocha. - Może ta baba, to ktoś z sekty albo jakaś zбочzona.

- Ta baba to znana pisarka! - wycodziłam przez zęby.

- Tak? A jak się nazywa?

- Konopnicka.

Zośka zrobiła się purpurowa na twarzy.

- Chcesz mi powiedzieć, że Konopnicka zeszała z pomnika w Ogrodzie Saskim?

- To Alicja Konopnicka, nieuku, a nie Maria! wrzasnęłam, a Zośka spuściła z tonu.

- Alicja-powtórzyła niepewnie.

- Tak, Alicja. I oczywiście nic jej nie czytałaś?

- A co ona pisze?

- Jak to co, powieści, felietony, teksty piosenek dla Sławy Przybylskiej, wystarczy ci? Ja też będę pisała, więc łataj ludziom dziury w zębach i nie wtrącaj się do artystów.

- No, ty jeszcze nie jesteś artystką.

- Skąd wiesz? Może już mi się coś udało stworzyć?

Mówiłam prawdę. Któregoś dnia pożyczyłam maszynę do pisania od taty dla ścisłości, tata nic nie

wiedział o tej pożyczce - i jednym palcem wystuka-
łam całe osiem stron. Skąd się to opowiadanko wzięło
w mojej głowie, nie wiem. Było tam i już.

A teraz mój czytelniku, przetrzyj oczy:

Ingles

Czuł, jak serce mu bije

O pokrytą igliwem leśną ziemią.

Ernest Hemingway, *Komu bije dzwon*

Najważniejsze jest nie musieć. Ot, iść sobie połą drogą. Po lewej stronie las, po prawej łąka Grzęgotów. Ładna ta ich łąka, zawsze najwięcej na niej kaczońców, szczególnie w rowie, bo tam najpóźniej wysycha.

I teraz to właściwie mogłaby już obciąć włosy, tak krótko jak potrzeba. Nikt się nie będzie dziwił.

Wszystko powinno się było odwrócić pięć lat temu, kiedy to do niej przyszło. Ale wiedziała, że taki dzień nadejdzie, że należy tylko przeczekać. I nie omyliła się.

Zrzucić sandały, iść po rozgrzanym piasku. Piasek przesypuje się miękko pod stopami. Wtedy przychodzi do niej to właśnie. Zapach wrzosu, słońce na twarzy, słońce prosto w oczy, tak że trzeba mocno zacisnąć powieki. I wszystko jest wtedy czerwone, pomarańczowe, złoto-czerwone od słońca. I twarz Inglesa, twarz Inglesa...

Grzęgota rzucił grabie na ziemię i rozejrzał się po łące.

- Nie da rady, nie zgrabim wszystkiego - powiedział do syna.
- Jakbym się sparli, tobym i zgrabili.
- Patrzajcie, ludzie, Władek za robotą się upomina, w kominie to zapisać.
- Padać ma, mówiły we wsi.
- Idziemy, idziemy, książkę trzeba czytać - poganiał ojciec.

Władek zarzucił grabie na ramię i ruszył przodem. Weszli w pierwsze opłotki, kiedy się odezwał do ojca:

- Tato z tym czytaniem to do reszty zgłupiał, całym jak ta Marta.

Nie bądź taki za mądry. Ojca masz słuchać, a źle na tym nie wyjdiesz - odparł.

- Ee tam. Ludzie jak szalone przy sianie robio, żeby przed deszczem zdążyć, a my książkę czytamy. Gdzie tu logika?

- Jakby poszło po mojemu, to i siana nie żał stracić.

Władek nic na to nie odpowiedział, splunął tylko w pokrzywy przy rowie i do chałupy skręcił.

Poszedłby sobie na wieś, ale ojciec zaraz książkę z kuferka wyjął, co ją tam na noc chował, i kazał czytać dalej.

- Tylko powoli, nie śpiesz się, żebym wszystko jak trzeba zrozumiał - upomniał syna.

- Na czym stanelim? - spytał Władek.

- Przecie założyłem stronę - powiedział, sadowiąc się wygodnie w kuchni na skrzyni.

W ubraniu położyła się na łóżku. Po suficie łąziły spasione muchy, świecące opiętymi, żółtawymi odwłokami. Jedna z nich oderwała się nagle od belki i zrobiwszy małą rundkę w powietrzu, usiadła na samym środku lepu.

- Masz, cholero - ucieszyła się Marta.

Mucha bzyczała niemożliwie. A potem próbowała za wszelką cenę uwolnić się z pułapki. Nogi grzęzły w lepkiej mazi. Brnęła tam i z powrotem, tam i z powrotem, od krańca do krańca lepu.

- Twarda jesteś - pokręciła głową Marta. Wstała z łóżka i delikatnie ująwszy muchę za skrzydełka, pomogła jej się uwolnić.

- Leć sobie, daruję ci życie!

Podeszła do okna. Ludzie wracali z sianokosów. Baby coś tam podgadywały, ale zobaczywszy Martę w oknie, nagle ucichły.

Po chwili któraś powiedziała:

- I co ona z tymi pieniędzami zrobi!

Zdjęła z wieszaka płaszcz i wyszła na drogę.

Zmierzchało. Od łąk szedł wieczorny chłód pomieszany z zapachem skoszonej trawy.

Po godzinie ojciec zamknął oczy i głowa zaczęła mu opadać na piersi, ale kiedy Władek umilkł, zaraz powiedziało.

- Cóżś przestał? Ja słucham.

Władek westchnął i zaczął czytać dalej.

Marta doszła do mostku, za którym ciągnęła się łąka Grzęgotów. U nich jednych nie była jeszcze cała skoszona. W niektórych miejscach trawa sięgała jej po pas. Grube źdźbła czepiały się płaszcza i okręcały wokół nóg. Położyła się na ziemi, odchylając głowę. I przyszedł zapach rozgniatanych wrzosów. Słońce zaczęło świecić prosto w oczy, musiała więc mocno zacisnąć powieki. I wszystko było czerwone, pomarańczowe, złotoczerwone od słońca. A nad nią twarz Inglesa i ciężar jego ciała, i jego dłonie...

Wstała, szcękając zębami, w pogniecionym, zmoczonym rosą płaszczu. Dlaczego? Dlaczego jest ciągle sama.

Czytali do południa, a potem Władek rozciągnął się na ławie i powiedział:

- Fajrant!
- Dziś musim zakończyć - zaperzył się ojciec.
- Kiedy my już zakończyli.
- Jak to zakończyli? - zdenerwował się. - Przeczytaj no ostatnie zdanie.
- Czuł, jak serce mu bije o pokrytą igliwem leśną ziemię.
- I pisze koniec? - spytał, nie dowierzając synowi.
- Nie pisze, ale jest kreska. Zreszto wiadomo, że koniec.
- A to i czemu?
- Czemu! Czemu! Przyjdzie oficer, on do niego strzeli, a jego zatłuko żołnierze.

- Przecie tego nie napisali.
- Tato, w książkach nie piszo wszystkiego, trzeba się czasem domyślić.

- Ale jej chyba nie na zatłuczenie ten Ingles potrzebny - rzekł wyraźnie zmartwiony.

- Co tato gada?

- Jakbyś nie wiedział, że Marta czeka na Inglesa, a ty jej jak nic na tego Inglesa się nadasz.

Władek zaniemówił.

- A mnie to na co? - wyjąkał wreszcie. - Wszyscy wiedzo, że ona trochu przygłupia.

- Ale spadek dostała!

- Jak tatowi tak na tej forsie zależy, to niech tato sam do niej idzie. Też przecie kawaler.

- Nie kawaler głupku, tylko wdowiec.

Władek nic już nie odpowiedział, tylko czapkę z kołka zdjął i za drzwi.

Głupiego nie przekona - pomyślał, a potem wyjął z szafy lustro i zaczął się sobie przyglądać. Przydałoby się wasy podczernić...

Poszukał czernidła. I zaraz wyglądał młodziej. Ściągnął teraz koszulę i wypiął pierś.

- Posiwiataś - pokiwał głową.

Myślał, że może włosy na piersi też podfarbować, ale dał spokój. Przymierzył marynarkę, za ciasna się jakaś zrobiła, więc włożył czarny golfsyna. I wyszedł z domu.

Zaczęło padać, siano jak nic zgnije, ale gdyby z Martą dobrze poszło, byłaby większa korzyść. Chlewnie zaraz by murowaną postawili, hodowlę można byłoby

powiększyć nawet o połowę. I stodoła stara, tylko pa-trzeć, jak dach pójdzie.

I tak do gminy doszedł, gdzie Marta ciągle mieszkała, chociaż materiały na budowę domu były zwie-zione.

Mocował się ze sobą przed drzwiami i jakoś nie mógł się zebrać, żeby wejść. Kiedy jednak pomyślał, że tyle siana się zmarnuje, złość go wzięła i w drzwi zaczął pukać.

Po jakimś czasie usłyszał kroki na schodach, a po-tem Marta spytała:

- Kto?
- Ingles - odrzekł.

Chwilę było za drzwiami całkiem cicho, wreszcie zgrzytnęła zasuwka.

Grzegota wszedł do sieni.

Patrzyli na siebie. Marta stała w smudze światła padającej z półotwartych drzwi na górze. Włosy miała ścięte krótko, na zapałkę. Była zdziwiona, że to właśnie Grzegota. Ale kiedy tak mu się przyjrzała, dostrzegła, że ma mocne, szerokie ramiona i jak na swój wiek jest szczupły i sprężysty. Podobał jej się w tym czarnym golfie. Tak, on mógł być Inglosem.

- Idziemy na górę - powiedziała szeptem.

Pierwsze, co zrobił, to przekreślił kontakt. A potem, w ciemności, jednym ruchem ściągnął sweter i pod-szedł do dziewczyny.

Dotknął jej pleców. Wydały mu się szczupłe jakies. Zawadził o wystającą łopatkę i coś go takiego schwy-ciło za gardło.

<

A ona odwróciła się. Miała całą twarz w mroku, tylko włosy lśniły połyskliwie. Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Sam nie wiedział, kiedy wyszeptał:

- Króliczko.

- Króliczku - poprawiła Marta, ale chyba jej nie usłyszał.

Bo oboje na pewno przestali być sobą, tylko Marta wiedziała to wcześniej, a on dopiero teraz, kiedy tak stała w ciemności i włosy jej lśniły.

Zamknęła oczy i pochyliła się, a potem uklękła przed Grzegotą i przywarła twarzą do jego kolan. Czuł przez spodnie jej gorący oddech. Palce jej niecierpliwie błądziły po nim. Spieszyła się. Uderzał ją w nozdrza zapach rozgniatanych wrzosów i słońce zaczynało świecić wprost na powieki.

- Chodź Ingles, no, chodź, chodź - szeptała nieprzytomnie.

I poczuł, jak pękające gałązki wrzосу ranią mu ciało, wbijają się w skórę, sprawiają ból. Nicość otwarła się przed nim i pędził bez ratunku.

Kątem oka dostrzegł, że i z Martą to się dzieje. Głowę miała odrzuconą do tyłu i uderzała nią w przygięte gałązki wrzосу. Zauważył pulsującą żyłkę na jej szyi i chciał dotknąć tego miejsca ustami, ale już nie zdążył. I jego, tak jak Martę, oślepiło słońce, zaczął zwijać się jakoś i drzeć konwulsyjnie, a ona trzymała go mocno.

Potem bał się otworzyć oczu. Był teraz pewny, że to nie wrzosowisko na górskiej polanie w Hiszpanii, ale podłoga na górcie w gminie. Nie wiedział, co na to

wszystko Marta. Wstydził się jej i swojej nagości. Kiedy się poruszyła, wtulił głowę w ramiona, jakby chowając się przed ciosem.

Ale ona mówiła coś cicho. I zrozumiał, że prosi, aby ją gładził po głowie.

Krótko ścięte włosy układały się miękko pod jego palcami, a on czuł, że gdyby teraz zażądała, zrobiłby dla niej wszystko, umarłby, sprzedał ziemię, poszedł do roboty na cudzym.

Ale ona niczego takiego nie chciała. Powiedziała tylko, że zimno i najlepiej schować się pod kołdrę.

Leżeli w mroku. Marta z głową na jego piersi.

Powinien był dokładnie wypytać ją o ten spadek, ale wydawało się to takie nieważne. Mogłaby nic nie mieć, jak przedtem, kiedy była w gminie za bibliotekarkę.

Chcąc jednak być w porządku przed Władkiem, powiedział:

- Chlewnie nową trzeba by postawić.
- Postawimy - szepnęła.

Pokazałam swój „zadany” utwór Alicji, a ona zaniósła go wprost do redaktora naczelnego „Twórczości”.

Podobno powiedziała:

- Jarosław, musisz to przeczytać.

I przeczytał. Miałam wielką treść przed spotkaniem z pisarzem, prosiłam nawet Alę, żeby ze mną poszła.

- Nie potrzebujesz niańki - odrzekła - poradzisz sobie.

Nie było rady. Stałam przed człowiekiem o niezwykle mądrych oczach. Uśmiechnął się do mnie, a ja

“

przez moment chciałam mu powiedzieć, że ze sobą są, siadujemy, bo Stawisko oddalone jest o żabi skok od Brwinowa, ale nie powiedziałam z obawy, że mógłby to potraktować jako zbytnią poufałość.

Poprosił, abym usiadła.

- Czy wiesz, dziecko, co stworzyłaś?

Milczałam onieśmielona.

- Coś bardzo oryginalnego. Opisałaś miłość konstruktywną i jakże lojalną. Zobaczysz, że oni postawią tę chlewnię.

Pomyślałam, że sobie żartuje, a on ciągnął dalej:

- Dawno nic mi się tak nie podobało, jak twoje opowiadanie. I nie czuję tu palca Hemingwaya, ale raczej wpływy literatury iberoamerykańskiej. To mała forma, takich tekstów nie drukujemy w naszym miesięczniku, ale dla pani zrobimy wyjątek. I proszę pisać, pisać!

Wysłałam oszołomiona tym, co usłyszałam, a kiedy trochę ochłonęłam, ogarnęła mnie dzika radość.

30 stycznia

Zaraz po szkole spotkałam się z Alą, opowiadała mi ploteczki z redakcji, mają tam sekretarkę, niewiele starszą ode mnie, ale jej zaletą są długie nogi i głównie z tego powodu dostała pracę. Ich naczelny jest wyjątkowo niskiego wzrostu i dlatego uwielbia wysokie dziewczyny. Swojej protegowanej wybaczają najgorsze nawet gafy, kiedyś, żeby nie robić dziewczynie przykrości, wypił posoloną kawę. Gorzej, że taką samą kawę dostał jego gość i rozpowiedział to na mieście.

Zaśmiewamy się z Alą i nagle widzę w drzwiach kawiarni swoją siostrę. Rozgląda się, jakby szukała stolika, a potem idzie prosto w naszą stronę.

- Co za spotkanie - mówi - może przedstawiśz mnie swojej znajomej?

Piorunuję ją wzrokiem, a ona słodkim głosem do Ali:

- Jestem siostrą Niny.

No to Ala na to, że bardzo jej przyjemnie.

- Może pani się do nas przysiadzie?

Ta:

- Z chęcią.

I z miejsca zaczęła śledztwo. Ale moja przyjaciółka nie dała się na to nabrać i Zosia dużo się nie dowiedziała.

- Słyszałam, że pani pracuje w „Szpilkach”?

Ala:

- Tak.

Moja siostra:

- Zabawne pisemko, czasami je przeglądam, jak pacjenci zostawiają poczekalni... Szczególnie śmieszna jest ta rubryka „Satyra w krótkich spodniach”...

- Spodenkach - poprawiła Ala z uprzejmym uśmiechem.

- Właśnie, w spodenkach - podchwyciła moja siostra. - Przecież mali chłopcy noszą spodnie, a nie spodnie... Nina mi wspominała, że ma zadebiutować w prasie...

Ala:

- Nina jest bardzo utalentowana.

I dodaje:

- To zostawiam panie, bo jestem umówiona.

Ja na to, że też jestem umówiona.

Zośka:

- Ja się umówiłam tutaj, ale ten ktoś nie przyszedł
- a nos jej się wydłużył jak u Pinokia.

4 marca

Jest! Jest! Pan Jarosław Iwaszkiewicz dotrzymał słowa i w ostatnim numerze „Twórczości” ukazało się opowiadanie Niny Sworowicz *Ingles W.* Z tej okazji kole-dzy mnie wyciskali, a pani Zawadzka, nasza polonistka, powiedziała na lekcji, że wita przyszłą pisarkę.

Kuba, mój chłopak, chodzi dumny jak paw. Nawet jego mama, która niezbyt mnie lubi, do tego nawią-zała.

Gratuluje ci, Nino, ale ty chyba nie pochodzisz ze wsi?

A na to ojciec Kuby:

- Krysiu, Reymont nie pochodził ze wsi, a dostał Nobla za *Chłopów*.

- Nina też dostanie - podsumował Kuba - tylko musi się trochę zestarzeć, bo młodych nie nagradzają.

A w domu? Położyłam tacie „Twórczość” na biurku, ale chyba nie zauważył mojego opowiadania.

17 lipca

Długo nie zaglądałam do swojego „Dzienniczka”, miałam powody. Wczoraj wyjechał na zawsze mój ukochany Kuba. Nie rozumiem, dlaczego tak się stało. Tuż po swoich urodzinach obudziłam się w innym świecie, a ten świat wydał się groźny i nieznany. Na ekranie telewizora zaroilo się od ludzi, którzy do tej pory byli niewidoczni, pracowali w fabrykach, kopalniach, hutach. Ci ludzie mieli złe, zacięte twarze i trzymali transparenty z dziwnymi hasłami: „Pisarze do pióra”, „Studenci do nauki”, „Sjoniści do Sjonu”. Spytałam tatę, kim są ci syjoniści, ale tylko machnął ręką i zakazał otwierać telewizor. Zrobiło się bardzo cicho w naszym domu, bo nie wolno było też włączać radia.

- Myślisz, że w taki sposób od tego uciekniesz?
- spytała Zosia tatę. - Że jak przekręcisz gałkę, to koszmar zza okna zniknie? On niestety jest.

- Owszem jest - na to tata - ale cóż ja mogę, że lud protestuje. Lud zawsze był narzędziem w rękach tyranów.

- Ten sposób myślenia doprowadził Hitlera do władzy!

Tata nic już na to nie odpowiedział i zamknął się w swoim gabinecie.

A Kuba przez dwa tygodnie nie pojawiał się w szkole i w ogóle się do mnie nie odzywał, telefonu w jego domu nikt nie odbierał. W końcu odważyłam się i stanęłam pod drzwiami mieszkania na Chopina (tata upomina, żeby tak pisać nazwisko kompozytora, nie jak chcą komuniści, spolszczając). Otworzyła mama Kuby.

- Syn... źle się czuje - powiedziała takim tonem, jakby dawała mi do zrozumienia, że nie jestem mile widzianym gościem. -

Już miałam odejść, kiedy Kuba wyjrzał ze swojego pokoju i mnie zaprosił. Jak tylko zamknął drzwi, rzuciliśmy się do siebie. Obejmowaliśmy się, płacząc.

- Dlaczego się nie odzywałeś? - spytałam z żalem.
- Nawet zapomniałeś o moich urodzinach!

- Nie zapomniałem, ale nie chciałem cię narażać.

- Ale ja chcę się narażać! - zawołałam. - I nasi koledzy też! Czekamy na ciebie!

I na drugi dzień Kuba przyszedł do szkoły. Kiedy się pojawił w drzwiach naszej klasy, wszyscy wstaliśmy i zaczęliśmy klaskać. Na to weszła nasza wychowawczyni i spytała surowo:

- Co to za hałasy?

A my chórem:

- Kuba wrócił!

Na to pani Zawadzka:

- Skoro jesteśmy w komplecie, możemy zaczynać lekcję.

Ale to był dopiero początek, na uniwersytecie zaczął się strajk włoski, w którym brał udział kuzyn mojego chłopaka. Wybraliśmy się z Kubą go odwiedzić, właśnie wchodziliśmy na uniwersytecki dziedziniec, gdy wtargnęli tam jacyś mężczyźni i zaczęli bić każdego, kto się nawinał. Zrobiła się z tego prawdziwa bitwa, bo studenci też nie stali jak owieczki. Ja ciągnęłam Kubę w stronę bramy, byliśmy już blisko, kiedy taki typ o twarzy boksera, miał chyba kiedyś złamany nos, zła-

pał mojego chłopaka za ramię i zaczął go walić pałką. Uczepiłam się rękawa tego potwora i próbowałam go od Kuby odciągnąć, ale zamachnął się i odrzucił mnie do tyłu. Upadłam na plecy, na szczęście miałam grubą kurtkę, a zaraz kilku studentów przyszło nam z odsieczą. Uciekliśmy za bramę. Kubie krew leciała z nosa i z rozciętej wargi. Najbliżej było z Krakowskiego do mojej siostry, więc tam pobiegliśmy. Zosia powiedziała, że Kuba może mieć złamany nos i powinien go zobaczyć chirurg. Zaraz zadzwoniła do swojego kolegi. Pocieszyła nas, że to i tak szczęście, bo mój chłopak mógł stracić oko.

- Dzieci, nie mieszajcie się do tego, zostawcie to dorosłym - usłyszeliśmy.

- To dorośli pobili Kubę! - zawołałam.

Więc matura odbywała się w cieniu tych wypadków, nikt się nie cieszył po zdanych egzaminach, nikt nie skakał z radości. A ja miałam rozpacz w sercu, bo już wiedziałam, że cała rodzina Kuby opuszcza Polskę, i on też. Jego ojciec stracił pracę, wykwaterowano ich z mieszkania z widokiem na Dolinę Szwajcarską do odrapanego bloku na Woli. Tam są tylko dwa pokoje i ciemna kuchnia, a ich pięcioro. W dodatku winda ciągle się psuje, więc babcia Kuby, o romantycznym imieniu Rebeka, jest uwięziona, bo ma słabe nogi.

Chodziliśmy z Kubą nad Wisłą i trzymając się za ręce, głośno myśleliśmy, co zrobić, żeby Kuba nie musiał wyjeżdżać. Zostań, prosiłam, jak twoi rodzice tak postanowili, niech jadą sami, a ty zamieszkasz w Brwinowie, zdasz na politechnikę, ja na uniwersytet

i będziemy sobie studiować. Wiesz, jakby było fajnie razem dojeżdżać do Warszawy kolejką! Kuba się uśmiechał, ale nic nie odpowiadał. Przecież nie można wiecznie trzymać się rodziców - mówiłam. A poza tym moglibyśmy się odwiedzać. Potrząsnął głową: „Ani oni by tu nie mogli przyjechać do nas, ani my do nich. Moja rodzina dostanie paszporty w jedną stronę”.

Lekturę „Dziennika” Niny S. przerwał komisarzowi dźwięk domofonu.

- Tak? - odezwał się zdziwiony, bo godzina była dość późna.

- To ja, szefie - usłyszał głos Aksamitnego.

- Stało się coś? - spytał, otwierając drzwi.

- Nie, nic się nie stało, pomyślałem, wpadnę, zobaczę, co u szefa. Może jakieś piwko?

Zawadka uśmiechnął się:

- Wiesz przecież, że u mnie możesz dostać tylko herbaty.

Aksamitny sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął puszkę piwa.

- Ja jestem samowystarczalny.

Usiedli przy stole.

- Z którego jesteś rocznika? - zadał pytanie komisarz.

- Z osiemdziesiątego trzeciego, szefie.

- Dziecko stanu wojennego. A mnie od biedy można by przypisać do marca.

- Do marca? - zdziwił się gość.

- No, marca sześćdziesiąt osiem, chyba o tym słyszałeś?
- Słyszeć słyszałem, weszliśmy z bratnią pomocą do Czechosłowacji. Ojciec mi opowiadał, że jak się dowiedział z radia, to normalnie płakał jak dziecko...
- Ten sześćdziesiąty ósmy wielu ludziom pokomplikował życie.
Aksamitny przyjrzał się komisarzowi.
- Co to szef tak historycznie?
- A... bo wiesz, czytam „Dziennik” Niny S. i właśnie doszedłem do marca i co po tym marcu. Ojca jej córek wyrzucili z Polski.
- Za co?
- No... za żydowskie pochodzenie.
- Czyli syjoniści do Syjonu? - uśmiechnął się ze zrozumieniem Aksamitny, po czym zgniótł puszkę po piwie i wrzucił do śmieci.
- A ty co sądzisz o tej pisarce? - spytał komisarz.
- Dlaczego według ciebie się przyznała?
Aksamitny zamyślił się.
- Kobięca logika jest inna niż nasza, szefie, pewnie do czegoś jej to było potrzebne. Może pani Nina chciała sobie posiedzieć w celi, żeby potem napisać książkę?
- A może chroni którąś z córek?
- Też chyba nie. Żeby stanąć naprzeciw człowieka i strzelić, to trzeba być twardym w środku. A one są miękkie, za miękkie, szefie. I matka, i córka.
- Ale jest przecież jeszcze ta druga - zauważył komisarz.

- Niby jest, ale co ona nam powie? - rzekł z powątpiewaniem podwładny. - Na mojego nosa trzeba szukać gdzie indziej. Ten koleś to był niezły cwaniak, dla kasy sprzedałby własną matkę, niejednemu mógł się narazić.

- Przecież wykluczyłeś egzekucję!

- No raczej tak, ale szukałbym w jego kontaktach zawodowych. Kruk krukowi oka nie wykolę, ale kulkę pod żebro może wsadzić. I na to mi wygląda.

15 sierpnia

Jestem studentką! Kiedy tylko odnalazłam swoje nazwisko na liście, od razu zadzwoniłam do Ali.

- Musimy się zobaczyć - powiedziała.

- Chcesz mnie zaprosić na lody malinowe? - spytałam żartem, ale odrzekła z powagą, że musimy porozmawiać.

Nasza rozmowa oznaczała kolejne rozstanie. Ala jest Żydówką i uważa, że po tym, co spotkało bliskich jej ludzi, nie może tutaj zostać. Jej osobiście represje nie dotknęły, ale synowie mieli kłopoty i zdecydowali się na wyjazd.

- Dlaczego opuszczają mnie wszyscy, których kocham! - zawołałam ze łzami, a potem odwróciłam się i uciekłam.

Usłyszałam, jak Ala woła:

- Napiszę do ciebie.

Ale Kuba też obiecał, że napisze, jak tylko dojedzie na miejsce, a nie mam od niego żadnej wiadomości. Pewnie podobnie będzie z Alą.

Zostałam sama na świecie, a ten świat jest zły, zły, zły!

24 grudnia

Wigilia. Ale jeszcze smutniejsza niż zwykle, bo Zosia ze swoim narzeczonym wyjechała na narty, a tata ma grypę i leży w łóżku. Sama poszłam na cmentarz zapalić świeczki na grobie mamy. Już tak dawno jej z nami nie ma, że pamięć o niej wyblakła jak stara fotografia. I już z nią nie rozmawiam, nie opowiadam o sobie. Z nikim o sobie nie rozmawiam, odkąd Ali tu nie ma. Nie napisała. Może oboje z Kubą pogrzebali pamięć o mnie, jak i o tym kraju? Powinnam im to wybaczyć. Kubie muszę wybaczyć dużo więcej, ale czy to sprawa wybaczenia? To jest coś, co spadło na mnie niczym lawina, powaliło na łopatki, omal nie rozbiło mojego życia na kawałki, których już nigdy nie dałoby się pozbierać.

- Jak to możliwe, że nic nie wiedziałaś? - pytała ze zdumieniem moja siostra. - Cztery miesiące nie mieć okresu i nie domyślać się, że się jest w ciąży! To trzeba być Niną Sworowicz!

- A właśnie, że miałam okres! - broniłam się.

- I co z tego? Dwoje smarkaczy zabawiło się w dorosłych i czym się to skończyło? Widać na załączonym obrazku! - grzmiała Zośka. - Jak masz zamiar powiedzieć o tym ojcu?

- Nie wiem - odrzekłam - i żałuję, że powiedziałam tobie. Potrafisz tylko krzyczeć.

Odwrociłam się i wybiegłam. Ona otworzyła drzwi na schody i coś za mną wołała, ale się nie zatrzymałam.

Nie wiem, jak znalazłam się na dworcu i jak wsiadłam do pociągu. Ten pociąg ruszył, a ja nawet nie wiedziałam, w jakim jadę kierunku. Na szczęście miałam przy sobie pieniądze i mogłam wykupić bilet u konduktora. Musiałam nieźle wyglądać, skoro zlitował się i nie doliczył mi kary. Powiedział, że to nocny pociąg do Władysławowa. W przedziale oprócz mnie nie było nikogo, więc położyłam się na ławce i od razu zasnęłam. Obudziły mnie promienie porannego słońca, które świeciło mi wprost na twarz. Usiadłam, mrugając powiekami. Nie bardzo rozumiałam, jak się tu znalazłam, a kiedy to sobie uświadomiłam, ogarnął mnie lęk. Może ojciec i Zosia powiadomili milicję o moim zaginięciu i zaraz zostanę aresztowana. A niby dlaczego - przemknęło mi przez myśl. - Jestem pełnoletnia i mogę robić, co chcę. Ale tata może się przecież niepokoić.

Prosto z pociągu poszłam na pocztę i zamówiłam rozmowę.

- Gdzie ty jesteś? - spytała Zosia wystraszone głosem. — Już chciałam cię szukać w Wiśle.

- Nad morzem.

Przez chwilę w słuchawce było cicho.

- Skąd się tam wzięłaś?

- Wsiadłam do pociągu.

- Wracaj, Nina. Zastanowimy się, co robić.

Odwiesiłam słuchawkę i wolnym krokiem opuściłam budynek poczty. Idąc tak noga za nogą, zawędrowałam na plażę.

Był silny wiatr i fale przypominały olbrzymie, wznoszące się bloki, które opadały z hukiem w bryz-

gach piany. Usiadłam na piasku, z kolanami pod brodą, i nagle moje problemy wydały mi się czymś tak nieznanym wobec tego żywiołu...

Nie ruszałam się stamtąd, nie odczuwałam głodu ani pragnienia, była tylko ta wielka, wzburzona woda. Po zmroku zrobiło się chłodno, przecież już zaczynała się jesień. Trzęsłam się, zęby mi szczykały, ale dotrwałam do wschodu słońca. Z sinej mgły wyłoniło się złociste koło, niczym sceniczny reflektor, oświetlając wszystko. Na tej scenie byłam ja, piaszczyste wydmy i morze, teraz spokojne, jak olbrzymie jezioro. Ten spokój, ten niezwykle ład, zapanował i we mnie.

Wstałam z piasku, otrzepałam ubranie i ruszyłam na dworzec.

W Brwinowie czekali na mnie ojciec i Zosia. Byłam jej wdzięczna, że wzięła to na siebie i zawiadomiła tatę, jak się sprawy mają. A miały się tak, że czekało mnie macierzyństwo, co do tego wszyscy byliśmy zgodni. Za późno na jakiegokolwiek inne decyzje. Zosia uważała, że w tym stanie nie powinnam rozpoczynać studiów, ojciec przeciwnie. Powinnam chodzić na wykłady, bo to mi tylko dobrze zrobi, a egzaminy mogę przenieść na sesję jesienną.

- Tato - powiedziała moja siostra - to nie jest Akademia Sztuk Pięknych, żeby tolerowano Madonnę z Dzieciątkiem, to uniwersytet w zacofanym kraju.

A jednak rozpoczęłam studia w październiku i postanowiłam chodzić na wykłady, jak długo się da. Wydawało się, że moje życie weszło w dawną koleinę i tak

“

się już potoczy, ale wkrótce, podczas badania, pan doktor obwieścił:

- Wyraźnie słyszę drugie serduszeko.

- Chyba Stwórca nie ma nad nami litości - skwitowała to Zosia.

Wyglądała na tak zgnębioną, że udzielił mi się jej nastrój i nawet sobie popłakałam. Ale wieczorem przyszedł do mojego pokoju ojciec, usiadł na brzegu łóżka, czego nie robił nigdy przedtem.

- Wiesz, co powtarzała moja mama, a twoja babcia? Że jak się rodzą dzieci, trzeba się cieszyć - powiedział.

Ale ja się nie cieszę, ja się wyłącznie boję. Boję się bólu. Boję się, że nie będę umiała pokochać swoich dzieci. One jeszcze się nie urodziły, a już odebrano im połowę miłości. Nie będą miały ojca.

Koniec lata 1969

Gapcia i Lilka skończyły wczoraj pół roku. Tata żartował, że w związku z tym należałoby zapalić jedną świeczkę. Ale na początku nikomu nie było do śmiechu. Miałam cesarskie cięcie i rana długo nie chciała się zagoić, a przecież w domu pojawiło się dwoje niemowląt i wszystko trzeba było robić podwójnie. W dodatku miałam za mało pokarmu, więc dziewczynki dokarmialiśmy butelką. To było bardzo pracochłonne zajęcie, gdyż w mleku w proszku nie mogło być grudek, co doprowadzało tatę do rozpacz. Głównie on to mleko przygotowywał, karmił swoje maleńkie wnuczki, przewijał je, wstawał do nich w nocy. Jedy-

nie przy kąpeli asystowała mu Zosia. Przez pierwszy miesiąc przyjeżdżała codziennie. Potem ja już wstałam i pomagałam tacie. Byłam jednak słaba, szybko się męczyłam. Ale ani przez chwilę nie miałam o to żalu do małych istotek, które tak skomplikowały życie naszej rodzinie. Tata też nie, tylko narzekał, że mu się te wnuczki mylą.

A teraz tak sobie wszystko zorganizowaliśmy, że nie ma mowy o jakimś bałaganie czy zdenerwowaniu. Dziewczynki rosną w oczach.

Właśnie siedzę w ogrodzie obłożona książkami, bo jednak chcę podejść do jesiennej sesji. Moje córeczki śpią obok w podwójnym wózku, który przysłał nam z Kanady były student taty.

- Takie smarkule - stwierdził ich dziadek - a już mają limuzynę, której mógłby im pozazdrościć nawet król Maroka!

- Dlaczego właśnie król Maroka? - zdziwiłam się.

- Żeby było oryginalnie - odrzekł na to.

Wigilia 1970

Moja wigilijna opowieść trwa... Mimo tragicznej sytuacji w kraju - zabici robotnicy w Gdańsku - staramy się, aby w domu zapanował świąteczny nastrój. Ze względu na dziewczynki. Dom ożył, bo moje córki mają niespożyte siły, szczególnie Lilka, nie można jej spuścić z oka. Od rana do wieczora słychać tupot nówek. No cóż, nie powiem, bywa to bardzo męczące i szczerze mówiąc, z ulgą się stąd ulatniam. Nie wiem,

czy jestem dobrą matką, ale na pewno jestem matką zmęczoną. Chwytam się różnych zajęć, żeby podreperować domowy budżet, biorę korekty i ślęczę po nocach za grosze. A rano na zajęcia. Pani Stasia, nowa opiekunka, która mieszka nieopodal, często zabiera dziewczynki do siebie, „żeby pan profesor miał trochę spokoju”.

Utrzymanie naszej starej willi właściwie przekracza możliwości finansowe i moje, i ojca, a Zosia nam nie pomaga, dla zasady. W jakiejś rozmowie zasugerowała, aby sprzedać dom, póki jeszcze stoi, i kupić za to przyzwoite mieszkanie. Obruszyliśmy się oboje. To nasze gniazdo! Bez niego byłibyśmy jak bezdomne ptaki. Moja siostra uniosła wysoko brwi: „Wasze gniazdo jest dziurawe i trzeba wygrać w totolotka, żeby załatać dziury”. Może i ma rację, czasami czuję się jak kapitan na tonącym okręcie, ale z pewnością zejść z niego ostatnia.

Ten nasz okręt ma czerwony dach z lukarnami, wsparty na kolumnach ganek i okna przypominające szeroko otwarte oczy. Czasami te oczy przykrywają drewniane okiennice pomalowane na jasnozielony kolor. Z tyłu, od strony ogrodu, jest jeszcze przestronna weranda z różnokolorowymi szybkami i głównie na niej skupia się życie domowników. Tutaj lubi przesiadywać tata, tutaj ja coś sobie piszę, tutaj uwielbiają się bawić moje córki. 🍷

A wewnątrz... po wojnie parter został przebudowany, przedziela go hol, po jednej stronie jest salonik, gdzie zwykle pijemy z tatą popołudniową herbatę,

a po drugiej stołowy, oddzielony od kuchni bufetem. Na parterze znajduje się jeszcze gabinet ojca, który od czasu urodzin moich córek służy mu także za sypialnię. Drewniane schody z kutą w secesyjne wzory balustradą, poręcz jest jesionowa, udająca heban, prowadzą na górę. Tam są trzy pokoje: zielony, który zajmują ja, żółty, sypialnia moich córek, i dawny pokój Zosi, teraz garderoba. Łazienki są dwie, duża na dole, z wanną, i mniejsza z prysznicem na piętrze.

Koleżanka ze studiów wspomniała, że dorabia jako modelka. Też postanowiłam spróbować, mimo że jestem trochę za niska. No, ale zawsze mogę stanąć na palcach! I stanęłam przed obliczem guru Mody Polskiej, korpulentnego babsztyła, w turbanie na głowie, o przenikliwych oczach. Nic się przed nią nie dało ukryć.

- Brakuje ci dwóch centymetrów - powiedziała - ale przyjmę cię na próbę, bo widzę, że ci zależy. Lubię ludzi zdecydowanych.

Trafiła jak kulą w płot. Jestem chyba najbardziej niezdecydowaną osobą na świecie. Po prostu prowadzę grę z własnym losem, a czy wygram, to się okaże.

Zosi i jej antypatycznego męża nie będzie na Wigilii, wyjechali na narty. Tylko tata, dziewczynki, no i ja zasiądziemy do wieczerzy. Dzięki pani Stasi coś się na wigilijnym stole znajdzie, nawet „wystany” przez nią karp. Ta dzielna kobieta wytrzymała wiele godzin pod Halą Mirowską, zajmując kolejkę o piątej rano. Karpie rzucili koło południa. Jakiś starszy mężczyzna zasnął, przyjechało pogotowie, ale zastali nieboszczyka. Ktoś go przykrył gazetami...

Maj 1971

Nie wiem, czy uda mi się pogodzić studia dzienne z nawalem zajęć, jakich się chwytam: wyjazdy na pokazy mody, korekty z wydawnictwa, z których boję się zrezygnować, bo gdyby coś nie wyszło z moją karierą modelki, zostałabym na lodzie. Zresztą... słowo „kariera” jest chyba nie na miejscu, to zwyczajna chałtura. Niektóre z moich koleżanek, te wybrane - główna ich zaleta: długie nogi -jeżdżą na pokazy do innych demoludów i nawet nieźle zarabiają, a ja z resztą dziewczyn, jako gorszy sort, tłuczemy się wynajętymi autobusami po bezdrożach i chodzimy po wybiegach w wiejskich świetlicach albo remizach strażackich. Forsa z tego jest marna, a zmęczenie gigantyczne. Szkoda, że nie mam zamiłowania do dłubania w cudzych zębach, jak siostra, wtedy ja i moja rodzina opływalibyśmy w dostatki. Atak, cóż... „bida z bidą drogą idą” -jak mawia pani Stasia.

Październik 1971

Jesień słotna i błotna w tym roku. W czasie jednego z wyjazdów ugrzązł w błocie nasz wehikuł. Było już niestety po pokazie i na widzów, którzy, przybywając tłumnie do zakładowej świetlicy, przynieśli ze sobą trunki, raczej nie można było liczyć. Stali się za bardzo kontaktowi. Pan dyrektor czynił wysiłki, żeby przywołać do porządku traktorzystę i ten w końcu usiadł za kierownicą, ale skutek był taki, że wraz ze swoim pojazdem wylądował w rowie. Trzeba było czekać do rana.

Po raz pierwszy nie wracałam z takiego wyjazdu na noc, ale na szczęście w pegeerowskim biurze czynny był telefon i mogłam powiadomić ojca.

- A jak tam dziewczynki? - spytałam.

- Dziewczynki wiedzą, że mają matkę latawicę - padła odpowiedź.

Po raz pierwszy ojciec ustosunkowywał się do sposobu życia, jaki ostatnio prowadziłam. Wydało mi się to niesprawiedliwe. Z konieczności zostałam przewodnikiem stada, bo on się usunął, zamknął w swoim gabinecie. Ja bym też tak chciała. Jakie to byłoby wspaniałe móc czytać, co się chce i kiedy się chce.

Leżałam w ciemnościach na żelaznym, koszarowym łóżku, przykryta szorstkim, przesiąkniętym oborą kocem, tuż obok rozmawiały szeptem dwie moje koleżanki. Dzieliły się wrażeniami z licznych randek, ale nie było w tym słowa o miłości, mówiły głównie o doznaniach cielesnych.

Przyszło mi do głowy, że ja na ten temat miałabym niewiele do powiedzenia. Nie umawiałam się z nikim, nie miałam na to ani czasu, ani ochoty. Zresztą, nie potrafiłabym traktować tego tak lekko jak one, w końcu moje pierwsze doświadczenia seksualne skończyły się, jak się skończyły. Może z tego powodu mężczyźni budzą we mnie odmienne uczucia niż w moich koleżankach. Ale czy one są szczęśliwsze?

Dopisek: rok 1998

To trochę tak, jakbym ominęła ważny okres w życiu młodej dziewczyny, okres flirtów, poznawania swojego ciała przez dotyk.

4 czerwca 1974

A więc stało się, obroniłam pracę magisterską: „Humor w pamiętnikach Paska”. Nie powiem, żebym była miłośniczką literatury staropolskiej, ale na to seminarium zapisało się tak niewielu studentów, że pani profesor przymykała oko na moje nieobecności. Robiłam jej statystykę. Zostałam panią magister. I co z tego wynika? Nic. Co prawda pani profesor kusi mnie asystenturą ale to nie dla mnie. Nie jestem typem naukowca, chcę sama tworzyć. Powolutku się do tego przymierzam. Teraz, kiedy odchodzi mi wkuwanie do egzaminów, może znajdę na to czas. Rzadziej już jeżdżę na pokazy mody, ale nie chcę z nich rezygnować, bo zawsze parę groszy się przyda.

Lipiec 1975

Obiecałam córkom, że kiedy zdam ostatnie egzaminy, wyjedziemy gdzieś razem. Wybrałyśmy się na Mazury. Kolega szkolny taty (jakie to zabawne, że dwóch starszych panów chodziło kiedyś do szkoły i siedziało w jednej ławce) jest tam dyrektorem stadniny i dziewczynki mogłyby się *uczyć* jazdy konnej. Lilka szalała ze szczęścia, a Gabi, ostrożniejsza, chyba się trochę obawiała. Potwierdziły to pierwsze lekcje, po prostu

nasza Gapcia bała się wsiąść na kucyka, a jak zaczęliśmy ją namawiać, rozpłakała się.

- Dajmy jej spokój - powiedział pan Karol. - Nic na siłę.

Natomiast Lilka jakby się urodziła w siodle. Już by chciała jeździć samodzielnie, a nie być prowadzana na lonży. Pan Karol ją mitygował.

- Wszystko w swoim czasie.

Bardzo nam tam było przyjemnie, można powiedzieć, że we trzy grzałyśmy się w ciepłe tego niezwykłego człowieka. Wiem od ojca, jak dramatyczne były koleje jego losu. Kilkanaście lat spędził w sowieckim łagrze, a kiedy wrócił, po pięćdziesiątym szóstym roku, nie odnalazł już nikogo ze swojej rodziny, połowę wymordowali Niemcy, połowę Rosjanie. Tata powiedział, że los pana Karola jest kwintesencją naszego losu narodowego i należałoby mu wystawić pomnik. A na to reżolutna Lilka:

- Dziadziu, żywym nie stawia się pomników!

Ale jak pana Karola poznała, bardzo go polubiła, asystowała mu od rana do wieczora, a już największym szczęściem była dla niej wspólna przejażdżka konna.

Kiedy leżałyśmy w łóżkach, usłyszałam w ciemności:

- Szkoda, że pan Karol nie jest naszym dziadziem, wtedy niczego bym się nie bała.

- A czego ty się boisz, kochanie? - spytałam.

- Nie wiem, ale z panem Karolem bym się nie bała.

5 stycznia 1978

Jesienią zeszłego roku zadzwoniła do mnie koleżanka i powiedziała, że szykuje się pokaz specjalny. Szefowa urzędu obławę na dziewczyny, bo większość z jej stajni jeszcze nie wróciła z tury po NRD. Podobno miała nam ekstra zapłacić.

- A gdzie ten pokaz, w Berdyczowie? - spytałam.

- Co ty, w Iglicy! - odrzekła. Tak nazywałyśmy Pałac Kultury.

Pierwszą osobą, którą spotkałam w garderobie, był pan Marek, aktor. Prowadził różne imprezy, między innymi pokazy mody. Jeździł z nami po polskiej prowincji, ale wcale mu z tego powodu nie było przykro. „Wolę z wami tłuc się autobusem niż latać samolotem z idiotkami, których jedynym atutem są nogi” - powtarzał. Większość z nas, „autobusowych”, studiowała, a rozrzut był duży - od Akademii Sztuk Pięknych po Akademię Medyczną. Wszystkie chciałyśmy dorościć, ja, bo miałam dzieci, koleżanki głównie na ciuchy i kosmetyki.

Lubiłyśmy pana Marka, rozśmieszał nas już samym wyglądem szlachcica na zagrodzie. Dziś przypominał nastroszonego suma.

- Coś nie tak z tym pokazem? - spytałam.

W milczeniu wskazał stojak z luksusową damską bielizną: były tam halki, biustonosze, koronkowe majtki, jedwabne pończochy z wymyślnymi podwiązkami.

- Przyjrzyj się - powiedział - bo nieprędko takie cuda zobaczysz, *madę in Paris*.

- A gdzie są modele, które mamy prezentować?

- To są wasze modele.

Myślałam, że żartuje, ale on nie żartował. Ten przygotowywany naprędce pokaz miał uświetnić zjazd partyjnych oficjeli. W rzeźnię oświetlonej sali ustawiono dla nas wybieg. Przez szparę w kurtynie widziałam samych mężczyzn, rozwalonych w wyścianych fotelach, wydali mi się jacyś wymięci i chyba podpici.

- I co ja mam tym burakom wyjaśniać? - mówił rozżalony pan Marek. - Będę im nawijał o trendach w paryskiej modzie? Ich co innego interesuje...

Zaczęły się schodzić moje koleżanki i wszystkie bez wyjątku wyglądały na zaskoczone.

Podeszłam do naszej szefowej.

- Nie mam zamiaru obnażać się przed taką widownią- powiedziałam ostro.

Uniosła wysoko wyskubane brwi.

- Nikt ci nie każe wychodzić nago. Masz zaprezentować produkt, to wszystko.

- Dla kogo? Dla tych śliniących się typów?

- Do tej pory śmierdząca gnojem publiczność ci nie przeszkadzała.

- Wolałam taką- odrzekłam.

Roześmiała się głośno, a potem tym swoim nieznośnym sprzeciwu głosem powiedziała:

- Wiesz, ile dziewczyn marzy, żeby zająć twoje miejsce? Nie podoba się, to do widzenia!

Odróciłam się bez słowa. Ze zdenerwowania pomyliły mi się korytarze, nie mogłam trafić do windy. W pewnej chwili z toalety wyszedł jakiś mężczyzna.

Był wysoki, chudy, dość elegancko ubrany. Wyraźnie odbiegał wyglądem od reszty widzów zgromadzonych na sali. Uśmiechnął się przyjaźnie, więc ja też się uśmiechnęłam.

- Chyba się zgubiłam - rzekłam niepewnie.

Byliśmy sami w labiryncie korytarzy.

- Znajdziemy drogę - odpowiedział. Miał niski, przyjemnie brzmiący głos.

Ruszyłam za nim bez żadnych złych przeczuc, zeszliliśmy pół piętra w dół. Tam mężczyzna otworzył drzwi prowadzące do pomieszczenia bez okna, gdzie stały wielkie odkurzacze, szczotki, leżały sterty ubrań ochronnych. Przez chwilę myślałam, że się pomyliłam, jak ja wcześniej, ale wyraz jego twarzy nagle się zmienił. To nie był już ten sympatyczny pan, którego spotkałam na górnym piętrze. Wepchnął mnie do środka. Próbowałam się bronić i była w tym straszna pretensja do siebie, że jestem taka słaba i tak szybko ulegam jego sile. Kilka razy uderzył mnie w twarz, a potem było to wtargnięcie, które niemal rozrywało mi wnętrzności. Chciałam krzyknąć i nie mogłam. Wszystko istniało we mnie osobno: ręce, uda, brzuch, i wszystko bardzo bolało. Ten mężczyzna wreszcie podniósł się, zapiął spodnie i wyszedł.

Jakoś odnalazłam drogę powrotną do garderoby.

Na mój widok rysy twarzy szefowej stężały.

- Co się stało? - spytała i zaraz dodała szybko: - Wyszłaś stąd jako osoba prywatna, zerwałaś kontrakt, moja firma za nic nie odpowiada.

- Chcę do domu - odpowiedziałam.

Ona przyjrzała mi się uważnie, a potem wydała polecenie jednej z moich koleżanek, żeby odprowadziła mnie do taksówki.

W oknach brwinowskiej willi było ciemno, ojciec i dziewczynki już spali. Nie zapalając światła, dotarłam do łazienki. Zdjęłam ubranie, próbując jakoś się obmyć nad wanną, wtedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich moja dziewięcioletnia córka. Była boso, w długiej koszulce nocnej.

Patrzyłyśmy na siebie.

- Ktoś cię skrzywdził, mamusiu...

Sierpień 1980

Nawet nie zauważyłam, kiedy dziewczynki stały się podlotkami. Teraz dopiero widać, jak bardzo się od siebie różnią. Lilka ma mnóstwo szalonych pomysłów i trzeba jej pilnować, aby nie puściła z dymem naszego domu. A Gapcia to jest gapcia po prostu, jakby się ją postawiło w kątku, toby tam już została. Ma takie dobre serce, pochyli się nad każdym żuczkiem na drodze, którego Lilka przez nieuwagę mogłaby rozdeptać. Czasami się zastanawiam, która z nich przejęła więcej cech ode mnie, a która od ojca, ale prawdę powiedziawszy, one są jakies tylko swoje i nie przypominają żadnego z nas.

A ich ojciec... Często mnie o niego pytają i nie wiem, co odpowiadać. Czy naprawdę jest nim chłopak z wiecznie opadającą na czoło czupryną? Byliśmy tacy niedojrzali, ani on, ani ja nie nadawaliśmy się na rodziców.

A teraz jestem samotną matką i całkiem nieźle sobie radzę. Oczywiście pomagają mi bardzo ojciec i sio-

stra, ale staram się, abym to ja miała decydujące zdanie w sprawie moich dzieci. Na początku ten podział nie był wcale taki oczywisty. Tata wyraźnie wyszedł z roli dziadka i chciał zastępować dziewczynkom oboje rodziców, a ze mnie uczynić ich starszą siostrę. Mnie się to nawet zaczynało podobać, ale Zosia uważała, że nie jest to dobre przede wszystkim dla moich córek. One muszą wiedzieć, kto jest kim, szczególnie w sytuacji, gdy w ich dzieciństwie zabrakło ojca, dowodziła.

- Nasz tatuś jest uroczy, ale nie zna się na wychowaniu małych dziewczynek - mówiła - zbyt wcześnie wprowadza je w świat ludzi dorosłych, traktuje jak równe sobie i w ten sposób pozbawia dzieciństwa.

I chyba miała dużo racji, bo zauważyłam, że moje córki używają innego języka niż większość dzieci. Szczególnie Lilka lubiła się wymądrzać, w jej ustach zwroty „proszę ja ciebie” albo „azaliż nie jest to prawdą”, brzmiały co najmniej dziwacznie i zaczynałam się obawiać, że kiedy pójdzie do szkoły, dzieci będą się z niej śmiały. Aby wydostać dziewczynki spod kurateli taty, posłałam je do przedszkola. I to chyba pomogło. W bardzo krótkim czasie moje córki stały się tym, kim powinny, nawiązały przyjaźnie z rówieśnikami, skakały na skakance i grały w klasy. Zosia przywiozła im z zagranicy lalkę Barbie i pełno strojów dla niej, Lilka i Gapcia godzinami potrafiły się nią bawić. I o dziwo, nie było przy tym kłótni, siedziały na podłodze wśród tych fatałaszków i uzgadniały między sobą, którą bluzkę wybrać, do której spódnicy. Pomyślałam,

że oglądam dwie małe kobiety, odkrywające tajniki mody.

Nie wiedziałam, jak tę separację przyjmie tato, ale on dość bezboleśnie powrócił do swojej poprzedniej roli, przesiadywał teraz w gabinecie, często się zamyślał, przestał też zwracać uwagę na takie drobiazgi, czy wkłada buty do pary. Zosia nawet żartowała, że niczym rzymska wilczyca wykarmił ludzkie szczenięta i z powrotem zaszył się w swojej kniei.

No a teraz szkoła, odrabianie lekcji i tak dalej. Ale tata już się nie wtrąca, ja sprawdzam zeszyty dziewczynek.

Nadal adiustuję cudze teksty, które dostaję z zaprzyjaźnionego wydawnictwa. Któregoś dnia sekretarka podała mi kopertę.

- List? - spytałam zdziwiona.
- Do pani. Z Niemiec - odrzekła.

Ala napisała po latach. Tak mnie to poruszyło, że wkleiłam list do „Dziennika”.

Kochana Nino,

wybacz, że milczałam tak długo, przez cały ten czas uciekałam od samej siebie i od wszystkiego, co było mi bliskie. To jedyny sposób, aby przetrwać, taka wszechobecna amnezja, zakaz wspomnień i życie z dnia na dzień.

Moje życie nie oszczędziło mi nawet tego, że ja, oświęcimska Żydówka, znalazłam się w Niemczech, na ich garnuszku. A żeby absurd był jeszcze większy, mieszkam na piętrze katolickiego domu parafialnego,

w którym na dole odbywają się modły i śpiewy nie do mojego Boga...

Muszę przyznać, że znalazłam tu wielu przyjaciół, ludzi, którzy pomagali mi i pomagają, ale widzę popiół na ich głowach i to mi bardzo przeszkadza.

Mimo zakazu wspomnień często wracałam do naszych wspólnych wędrówek Krakowskim, Alejami i to było jak ożywczy wiatr na mojej pustyni. Wielu ludzi i wiele spraw zostało z niej wymiecionych, ale Ty, Nino, nadal jesteś dziewczynką z brzoźowymi gałązkami we włosach i tę dziewczynkę chciałabym do siebie zaprosić.

Mieszkam w Kolonii, nawet ładnym mieście, położonym, jak Warszawa, nad rzeką ale to miasto nic mnie nie obchodzi i ta rzeka też.

Od jakiegoś czasu starałam się o Twój adres, bo nie wiem, gdzie teraz mieszkasz, i odkryłam Twoje nazwisko na przysłanej mi z Polski publikacji. Przyznam, że wołałabym zobaczyć je na Twojej własnej książce. O tym też porozmawiamy.

Jeżeli nie zapomniałaś jeszcze starej przyjaciółki, przyślę Ci pieniądze na bilet i z radością będę Cię oczekiwała na pięterku w domu parafialnym.

Twoja Ala

Postanowiłam do niej pojechać. Dziewczynki były na tyle duże, że spokojnie mogły zostać z dziadkiem, tym bardziej że zawsze była w odwodzie pani Stasia.

Ala oczekiwała mnie na dworcu, zobaczyłam ją z daleka. Przybyło jej sporo siwych włosów i jej uśmiech był inny, lekko nieobecny. Miałam nawet

uczucie, że moja przyjaciółka nie potrafi mnie umiejscowić w swoim nowym życiu, że jestem tą przeszłością, o której chciała zapomnieć. To było pierwsze wrażenie. Już wieczorem, kiedy ucichł gwar głosów na dole, zaczęłyśmy mówić do siebie dawnym językiem. Pokazałam jej fotografie córek, wypytywała o nie.

- Nie jesteś z ich ojcem? - spytała ostrożnie. - Nic o nim nie słyszę.

- Nie jestem.

- Nie ułożyło się wam?

- Nie mieliśmy szans, żeby się ułożyło - odrzekłam. - On wyjechał jeszcze przed tobą do Izraela, ale teraz może być wszędzie, w Ameryce, w Australii.

- Nie kontaktował się z wami od tamtego czasu?

Potrząsnęłam głową.

- Nie chciałaś go odszukać?

- Nie wiedziałam jak.

- Mogłabym ci pomóc. Stąd jest dużo łatwiej.

- Nie - odparłam zdecydowanie. - Niech zostanie jak jest.

Ala nie naciskała, a ja pomyślałam, że mam przed nią pierwszą tajemnicę. Nie powiedziałam jej, że ojciec moich córek nic nie wie o ich istnieniu. Ona by chyba tego nie zrozumiała. Pewnie by uważała, że miałam obowiązek go zawiadomić. Tak nakazywała zwykła przyzwoitość. Mógłby wtedy podjąć decyzję, co chce zrobić ze swoim ojcostwem. Ale ta sprawa obciąża nie moje sumienie, tylko ludzi, którzy nas w tak brutalny sposób rozdzielili.

Spędziłam z Alą cały tydzień, starała się, jak mogła, uprzyjemnić mi pierwszy pobyt za granicą. Byłam oszołomiona tym, co widziałam wokół. Głównie kolory, szaleństwo kolorów. Polska z tej odległości wydawała się przykryta szarym workiem.

Ale moja przyjaciółka widziała to całkiem inaczej. Kiedy żegnałyśmy się na dworcu, miała łzy w oczach:

- Zabierasz ze sobą wszystko, co jest mi bliskie
- powiedziała.

Każde pojawienie się Ali w moim życiu zmieniało mój los. Długo rozmawiałyśmy o tym, dlaczego nie piszę, skąd się bierze we mnie obawa przed pustą kartką.

- To jak z lękiem wysokości - stwierdziła. - Trzeba zamknąć oczy i skoczyć.

- Ale można się pokaleczyć - odrzekłam.

- Można - usłyszałam - a nawet trzeba, wtedy dopiero twoje pisarstwo nabierze wartości.

Po powrocie z Niemiec napisałam drugie w życiu opowiadanie, a potem kilkanaście innych i zaniósłam do wydawnictwa. Rok później ukazał się mój debiutancki tom *Idź za swoim cieniem*. Recenzenci byli dla mnie niezwykle łaskawi, właściwie każdy z nich na swój sposób zachęcał mnie do dalszego tworzenia. Tak to sobie wzięłam do serca, że utrzymuję się z pióra, wyspecjalizowałam się w scenariopisarstwie telewizyjnym. Płacą na pniu, chociaż większość tekstów ląduje na półce, zatrzymana przez cenzurę. W podobnej sytuacji są moi koledzy. Czasami jakiś film jest realizowany na podstawie mojego scenariusza, ale po takich

cięciach, że z trudem rozpoznaję swój tekst. No cóż, „autor pisze, a myszy tańczą”, jak mówią, jest to aluzja do wiadomej instytucji na ulicy Mysiej.

Nasze domowe finanse są jak zwykle w opłakanym stanie. Tata przestał pisać recenzje i odpadło nam nieduże, ale jednak źródło dochodu. Dość często nasz budżet ratuje Zosia, która jedyna w rodzinie świetnie sobie radzi. Co z tego, podsumowuje ją ojciec, skoro nie umie ułożyć sobie życia. Mąż od niej odszedł.

- A ja w ogóle nie mam męża - odpowiadam.

- Ale masz dzieci!

Mam dzieci i często dręczą mnie wyrzuty sumienia, że poświęcam im tak mało czasu. Ciągłe z czymś jestem spóźniona, gonią mnie terminy. Ostatnio dostałam felieton w kobiecym piśmie i co tydzień zanoszę im tekst. Ten pierwszy o Marinie Vlady, mojej ulubionej aktorce, i jej partnerze, rosyjskim bardzie Włodzimierzu Wysockim. Był bardzo utalentowany, niestety uzależniony od alkoholu. Wściekałam się na niego za to, jak traktuje tę cudowną delikatną kobietę.

„Tych dwoje nie powinno się było spotkać, bo bilans tego spotkania musiał być ujemny, przede wszystkim dla niej. Marina nic w życiu swojego mężczyzny nie zmieniła, bo nie mogła, on jej życie przemienił w piekło. Nie wiedziała o tym, kiedy wpatrując się w nią z hipnotyzerską siłą wyszeptał: „A więc spotkałem panią nareszcie...”

Nie potrafię wyobrazić sobie uczucia do mężczyzny, które byłoby mocne i dojrzałe. Wiem, czym może być macierzyństwo, i jak to jest kochać własne dzie-

ci. Nie wiem, jak to jest, kiedy się kocha mężczyznę. Oni mi się podobają, ale są za szybko, żadnemu nie pozwalam podejść blisko. Nie chciałabym tych obaw przekazać córkom, nie mając wzorca ojca, niech same ukształtują sobie wzorzec mężczyzny.

Ale zdecydowałam się wskazać im wzorzec bohatera. Dla mnie, dla większości moich rodaków jest nim robotnik ze stoczni, Lech Wałęsa. W stoczni trwa strajk i od tego, czy wygra ten chudy, wąsaty mężczyzna, czy strona rządowa, za którą stoją sowieckie czołgi, zależy przyszłość nas wszystkich.

Namówiłam Zosię na podróż samochodem do Gdańska, ona przez swoich pacjentów może załatwić przezustkę. Milicja ustawiła na drogach blokady i tylko wybrani mogli przejechać.

- Nie boisz się o dzieci? - spytał mnie tato. - Tam już dziesięć lat temu strzelano do ludzi.

- Chcę, żeby dziewczynki na własne oczy zobaczyły, jak się tworzy historia - odpowiedziałam.

I pojechaliśmy. Przeżycie było ogromne. Pod bramą stoczni koczowali ludzie, przynosili kwiaty i wtykali je między pręty. Jedni odchodzili, przybywali nowi.

- Dziś jest tu cała Polska - powiedział starszy pan.

Zauważyłam w klapie jego marynarki malutką kotwicę.

Spędziłyśmy tam kilka dni, śpiąc na złożonych na ziemi kurtkach. Zosia donosiła nam jedzenie. A Lilkę uściskał sam Wałęsa. Kiedy podszedł do bramy, ona wspięła się na ogrodzenie i między prętami wyciągnęła

do niego rękę. Miała na sobie białą bluzkę i czerwoną spódniczkę, co było absolutnym przypadkiem, ale on powiedział:

- Oto nasza przyszłość!

I wtedy stało się coś niezwykłego. Podbiegło kilku młodych ludzi i uniosło moją córkę wysoko ponad tłumem. Wszyscy zaczęli klaskać.

Nawet Zosia, niepoddająca się tak łatwo wzruszeniom, wyglądała na przejętą.

- No to teraz nie możesz myć tej ręki przez parę dni - powiedziała do Lilki.

W drodze powrotnej rozmawiałyśmy o strajku w stoczni.

- Wolałabym, aby mniej w tym było religii, tych krzyży, Matki Boskiej - stwierdziła moja siostra.

- To jest narodowy zryw, nie zaprzeczysz?

- No tak - przyznała - ale tu chodzi o politykę.

- Kościół katolicki od wieków bierze w niej udział - odrzekłam - nie oddzielisz tego.

- Pewnie nie, ale mnie to razi.

Dziewczynki zaczęły nucić zasłyszaną w Gdańsku piosenkę:

*Nie mam dzisiaj czasu dla ciebie
nie widziała cię długo matka,
jeszcze trochę poczekaj, dorośnij,
opowiemy ci o tych wypadkach...*

- Nam nie trzeba będzie opowiadać, bo myśmy widziały wszystko na własne oczy - powiedziała z dumą Lilka.

Komisarz Zawadka odczytał ten zapis kilka razy. Czy to możliwe, żeby to była ta sama dziewczynka, którą wtedy, pod bramą stoczni, wraz z kolegami podnosił do góry? W swojej biało-czerwonej sukience dla zgromadzonych tam ludzi stała się symbolem nowej Polski. Czy to naprawdę ona?

24 grudnia 1982

Wydawało się, że nie spędzimy tych świąt wszyscy razem, a jednak stało się inaczej. Dwa dni temu wyszłam za więzienną bramę z tobołkiem pod pachą i nie mogłam uwierzyć, że jestem wolna. Cieszyłam się jak dziecko, że świeci słońce, a z nieba sypią się płatki śniegu.

Zosia czekała na mnie przy samochodzie. Objęłyśmy się.

- Najgorsze za nami - powiedziała.

Dziewczynki z miejsca rzuciły mi się na szyję. Długo nie chciały mnie puścić, dotykały moich włosów, twarzy, ubrania, jakby chciały sprawdzić, czy to naprawdę ja.

- Jestem brudna - broniłam się - marzę o gorącej kąpieli.

- Ja ci przygotuję - zawołała Lilka i pędem pobiegła do łazienki. Gapcia stała bezradnie, a potem zaofiarowała się, że powiesi moje rzeczy do szafy.

- One się do szafy nie nadają, kochanie - powiedziałam - zanieś je na dół, do pralni.

Uradowana schwyciła mój tobołek, teraz mogłam porozmawiać z ojcem.

- Cóż, moja konspiratorko - powiedział - witaj w domu.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Wiesz, że nie należę do tych, co porywają się z motyką na słońce, ale uważałam, że zysk z drukowania książek wart jest ryzyka.

Ojciec skinął głową na znak, że się ze mną zgadza.

- Ale mogłaś powiadomić starego ojca, że w jego piwnicy działa tajna drukarnia.

Nie mogłam - odparłam.

A dzisiaj zasiedliśmy wspólnie przy wigilijnym stole i mimo że czasy nie są najlepsze, było wyjątkowo miło, rodzinnie. Tata przełamał się z nami opłatkiem, co stanowiło wyłom w jego zasadach. Widocznie to, czego nie potrafił poświęcić dla swoich dzieci, ofiarował wnuczkom.

Późnym wieczorem, kiedy leżałam już w łóżku, wsunęła się do sypialni Lilka. Weszła do mnie pod kołdrę.

- Bardzo tęskniłyśmy z Gapcią - powiedziały. - Ale byłyśmy dumne, że nasza mama jest bohaterką.

- To ci, którzy założyli wydawnictwo, są bohaterkami, nie ja.

- Przecież siedziałaś w więzieniu!

- Ale byłam tylko małym trybikiem w drodze do wolności.

- A czy ta wolność kiedyś będzie? - spytała moja córka z nadzieją w głosie.

- Trzeba w to wierzyć - odrzekłam, myśląc po cichu, że ani ja, ani ona na pewno jej nie doczekamy.

Pracuję nad nową książką, tym razem nad powieścią. Zwykle najtrudniej jest zacząć. Pierwsze zdanie bywa decydujące. I jak zawsze pomógł mi mój stary dom. W jakiś sposób stał się głównym bohaterem tej opowieści, przydałam mu tylko nieco tajemniczości. Główna postać bardzo różni się ode mnie. Na szczęście nie mam lęków, jakie ją nawiedzają. Biedaczka przeżywa w tych ścianach niepokojące rzeczy:

„Chodziłam po pokojach, z których wyniesiono już meble, z uczuciem, że takie samo wnętrze, tak samo puste, już kiedyś widziałam. Więcej nawet, przebywałam w nim i spotkało mnie tam coś niezwykłego. Dziwne, znałam tu przecież każdy kąt, tu się urodziłam i wychowałam, tu przeżyłam różne chwile - dobre, złe, tragiczne czasem”.

Dopisek: rok 2001

To nie były tylko lęki mojej bohaterki. Gdybym pogrzebała w zakamarkach swojej duszy, znalazłabym wiele z nią podobieństw i to najważniejsze - poczucie straty.

„Poczucie straty” - tak Nina S. napisała w dwa tysiące pierwszym roku. Była już wtedy z Jerzym Baranem

i nic tej straty nie zapowiadało. Przeciwnie, z tego, co już o niej wiedział, w tym czasie czuła się szczęśliwa, miała mnóstwo planów na przyszłość. Skąd więc taka refleksja?

Komisarz postanowił ją o to zapytać. Wyglądała na zaskoczoną, ale odpowiedziała:

- Całe moje życie składało się z pożegnań. Najpierw matka, potem ojciec moich dzieci, najlepsza przyjaciółka... Coś takiego się we mnie zakodowało, żeby się do niczego nie przywiązywać, do nikogo.

- Ale córka zeznała, że z radcą Baranem postanowiła się pani związać, i to na długo.

- Nawet na zawsze - uśmiechnęła się. - On coś takiego we mnie uruchomił... Pierwszej nocy powiedział: mam dla ciebie wiadra czułości. Wiadra! W moim życiu nie było jej wcale...

10 października 1983

Już wszystko jasne, nie mam po co pukać do drzwi wydawnictw, a tym bardziej do telewizji. Nikt nie podpisze ze mną umowy, bo ktoś taki jak ja oficjalnie nie istnieje. Jest szlaban na moje nazwisko. Uświadomiono mi to w redakcji tygodnika, do którego pisałam felietony. Na razie niestety nie, rozumie pani. My byśmy chcieli, ale teraz to niemożliwe. Jak tylko się coś zmieni, skontaktujemy się...

- A czego się spodziewałaś? - powiedziała Zosia.
- Że po odsiadce będą cię przyjmować z otwartymi ramionami?

- Za co będziemy żyć, ja i moje córki?

- To pytanie powinnaś zadać sobie wcześniej.
- Świetna jesteś w udzielaniu dobrych rad - odrzekłam ze złością- ale takie rady ponieważś wiesz, do czego się nadają?
- Ja tylko chcę ci uświadomić, że pewne decyzje mają określone konsekwencje.

Moja siostra nie należała do osób, które umiałyby pocieszyć strapionych. Trzeba przyznać, że nigdy nie odmówiła pomocy materialnej. I teraz z taką się zaofiarowała. Na szczęście nie było to konieczne, bo zgłosili się ludzie z konkretnymi propozycjami. Od razu zastrzegłam, że nie jestem typem konspiratorki, która przygotowywałaby albo roznosiła bibułę, ale moje nowe zajęcie okazało się jak najbardziej legalne: opracowywałam teksty dla wydawnictw, tyle że nie pod swoim nazwiskiem. Dostając teczkę z maszynopisem, myślałam ze smutkiem, że wracam do punktu wyjścia: do korekty cudzych tekstów. Swoje powieści najczęściej pisałam na werandzie naszego domu i nie przeszkadzał mi wtedy żaden hałas. Teraz wszystko mi zawadzało, trzaśnięcie drzwiami, kłótnie córek, nawet odgłos laski ojca. Uciekałam więc do Obór, jako członkini Stowarzyszenia Pisarzy przysługiwały mi tam zniżki. Przedtem należałam do Związku Literatów, ale po wprowadzeniu stanu wojennego związek się podzielił. Pisarze reżimowi zostali w starym, ci, którzy nie godzili się na to, co się w kraju dzieje, utworzyli stowarzyszenie. Oba związki miały siedzibę w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu, tyle że na różnych piętrach.

„Paweł na górze, a Gaweł na dole” - żartował jeden z kolegów.

Za „prace zlecone” płacono marnie, jednak zawsze to było coś. Ponadto dostawałam paczki żywnościowe, które nadchodziły z zagranicy. Rozdzielano je w kościołach, ja się tam nie zgłaszałam i czułam się skrępowana, kiedy kurierzy przynosili mi je do domu. Ale córki się cieszyły, gdy znajdowały w nich pomarańcze, czekolady, a nawet gumę do żucia. Nie przyjmowałam ubrań, uważając, że innym bardziej się przydadzą. W tę pomoc włączyła się też Ala. Dowiedziała się o moim uwięzieniu i obecnej sytuacji. Co miesiąc przesyłała niewielkie sumy na moje konto w banku, a ja, podejmując bony, mogłam robić zakupy w peweksie. Dziewczynki uwielbiały tam ze mną jeździć, oglądały świat, który na zewnątrz był niedostępny. I zawsze znalazły sposób, żeby mnie na coś naciągnąć. Chodziło oczywiście o drobiazgi, rozumiały, że nie stać nas na drogie rzeczy, jakie widziały za szybą. Kiedyś Lilka poprosiła o tusz do rzęs.

- Tuszujesz rzęsy? - spytałam zaskoczona.

- Wszystkie moje koleżanki to robią - odrzekła.

- Tuszem Mascara.

- A ile ty masz lat? - zadałam jej pytanie.

- Czternaście.

- A ja trzydzieści trzy i używam kosmetyków firmy Uroda.

Lilka potarła nos, co było u niej oznaką zdenerwowania.

- Chciałabym coś lepszego.

- Masz na to czas - odrzekłam. Raptem dotarło do mnie, że moje córki dorastają i nic nie mogę na to poradzić.

Kilka dni temu ojciec zaproponował spacer. Szedł, ciężko wspierając się na lasce.

- Jesteś utalentowaną pisarką - zaczął - a przestałaś pisać.

- Nikt teraz nie wyda mojej książki - odrzekłam.

- Możesz wydawać w drugim obiegu.

- Pewnie by mi nie odmówiono, ale szkoda wysiłku podziemnych wydawców. Mój czytelnik nie będzie miał dostępu do takich książek.

- A kim jest twój czytelnik?

- Kobieta. One mają dość polityki za oknem, chcą się czegoś dowiedzieć o samych sobie.

Zauważyłam, że ojciec poczuł się zmęczony. Usiedliśmy na ławce. Wiatr rozwiął jego siwe włosy i wydał mi się podobny do Beethovena, którego popiersie, odkąd pamiętam, stało na jego biurku.

- Obawiam się, że możesz mieć na długo zamkniętą drogę do oficjalnych wydawnictw - ciągnął.

- Wiem o tym.

- I co postanowiłaś?

- Oni nie są konsekwentni, za jakiś czas wrócę do redakcji... może nawet odzyskam felieton. Jak nie mogę obsiewać pola, zacznę uprawiać ogródek.

- Czyli praca u podstaw - uśmiechnął się. - Ale czy to ci da szczęście?

- Nie wszyscy muszą być szczęśliwi.

- Nie czujesz się szczęśliwa? - spytał szybko.

- Mam wspaniałe córki, dom, do którego lubię wracać. Tego mi nikt nigdy nie zabierze. A ty? Jesteś szczęśliwy?

- Mam wspaniałe córki - powtórzył za mną. - Takie same wnuczki i dom, który zawsze był moim azylem.

- A twoi studenci? Tylu się przewinęło przez Brwinów.

Ojciec długo milczał.

- Starałem się wpoić im zasadę: *Primum vivere deinde philosophari*. Ale na ile wzięli sobie to do serca, nie wiem.

Dopisek: rok 2001.

Była to nasza ostatnia tak osobista rozmowa.

Maj 1984

Obory. Pobyt tutaj traktuję jak zesłanie na roboty, bo zamiast zajmować się tym, czym powinnam, czyli pisaniem, opracowuję cudze teksty.

Właśnie zakwitły kasztany, więc często spaceruję po parku. Pustawo, zaledwie parę osób spotykam na obiedzie. Ale w swoim pokoju słyszę zza ściany odgłos maszyny do pisania, w związku z czym popadam w melancholię.

Od kilku dni przebywa tu dziwna kobieta, ma taką twarz, jakby chciała ją przed wszystkimi ukryć. Otrzymuję od niej wyraźny przekaz: nie patrz. I nagle ze zdumieniem odkrywam, że to poetka, którą kiedyś tak uwielbiałam.

«

- Pije - słyszę - nie wiesz o tym? Zmarnowała się.

Przypominają mi się słowa Ali: z uwielbieniem różnie bywa. A wydawało się, że poetka dostała od losu wszystko: urodę, sławę, wielką miłość, znany krytyk literacki został jej mężem. Sporo od niej starszy starał się kierować nie tylko jej karierą, ale także życiem. Wyjechali razem do Ameryki, urodził im się syn. Interesowałam się jej losem, nawet łowiłam informacje o niej. Ktoś powiedział: „Małgosia nie potrafi unieść swojej sławy, a mąż jej w tym nie pomaga”. Nie rozumiałam wtedy, o co tu chodzi. Potem sama zostałam pisarką i przestałam śledzić jej losy. Karta się odwróciła: zamilkła jako poetka, mąż odszedł do innej, też poetki, tyle że sporo młodszej. Miał z nią dziecko, córkę. Obie je uwielbiał.

- Zbyszek nosi Adrianę na rękach - usłyszałam.

A potem ich nawet zobaczyłam, bo wkrótce po wyjeździe z Obór pierwszej żony, niewierny mąż pojawił się z tą drugą. Była młoda i ładna, to prawda, za to on stary i tak nieciekawym fizycznie, że nie mogłam pojąć, za kim tamta rozpacza, przez kogo pije i niszczy sobie życie. Zwierzyłam się z tego znajomej tłumaczce.

- No cóż - odpowiedziała - on tylko tak niepozornie wygląda, to potężny intelekt.

Chyba niewiele wiem o uczuciach.

Październik 1986

Zosia zwróciła mi uwagę, że coś niedobrego dzieje się / Lilką. Próbowałam to bagatelizować.

- Musi przyzwyczać się do myśli, że została matką - powiedziałam.

- Tak? - na to moja siostra. - A ty? Ile czasu potrzebujesz?

- O co ci chodzi?

- Czy kiedykolwiek przytuliłaś swoje córki, czy wzięłaś je na kolana?

- Nie nauczono mnie tego - odrzekłam.

- To się dzieje instynktownie!

- A ty skąd możesz o tym wiedzieć?

Zapada cisza. Żadna z naszych kłótni nie ma puenty, zakończenia, zwykle zastępuje je niedomówienie.

- A co jest Lilce? - pytam już spokojniej.

- Uważam, że to początek anoreksji. Jest chuda i nie widziałam, aby cokolwiek jadła.

Próbowałam z nią porozmawiać.

- Nie bój się, mamó - odrzekła z lekką ironią. - To choroba panienek, które czują się zaniedbywane przez rodziców. Chcą zwrócić na siebie uwagę.

- A ty?

- Ja? - spytała z przesadnym zdziwieniem. - Nie, nie czuję się samotna, mam przecież swoje odbicie w lustrze - Gabi.

5 października 1989

Długo, długo nie zaglądałam tutaj.

Obawiam się, że mojego czytelnika oplotły zwoje pajęczyn, ale będę go chyba musiały obudzić. Wszystko na to wskazuje, że wkrótce podsunę mu coś do czytania. Piszę powieść, tym razem będę ją mogła wydać,

«

bo żyję już w wolnej Polsce. I jak zwykle maczała w tym palce moja przyjaciółka. Latem, zaraz po odzyskaniu niepodległości - co to było za przeżycie! - Ala przyjechała do Warszawy. Była już bardzo chora, od lat cierpiała na chorobę krwi, ratowały ją coraz częstsze transfuzje.

„Chyba powinnam z tym skończyć - wyznała w liście - bo zaczynam mieszkać w szpitalu... ” „Nie wolno Ci” - odpisałam. - „Ja Ciebie potrzebuję!”

Ale czułam, że jej przyjazd to pożegnanie. Wybrałyśmy się do Ogrodu Botanicznego. Usiadłyśmy na ławce.

- Jaka szkoda, że bzy już przekwitły - powiedziała. - Tak lubiłam tu przychodzić.

Miała oczy pełne łez. Położyłam jej rękę na piersi, jakbym mogła pomóc na to, że dobiegała osiemdziesiątki, była chora i wciąż miała niezłatwione rachunki ze swoim życiem. Siedziałyśmy tak dłuższą chwilę, czułam pod dłonią nierówne bicie jej serca.

- Już lepiej? - spytałam.

- Lepiej, moja cudotwórczym - uśmiechnęła się.

W pewnej chwili zaczęła opowiadać o przeżyciach w getcie, wyglądało to na spowiedź. Dowiadywałam się rzeczy przerażających o wojnie i ludziach, którzy zniszczyli jej młodość.

- Chciałam o tym napisać książkę - zakończyła - wiem, że już nie napiszę. Ty to zrobisz za mnie.

Ale to było jej doświadczenie. Jak znaleźć odpowiednie słowa? Nie czułam się na siłach. Ona powiedziała: musisz! Więc usiadłam nad pustą kartką.

Nie jeżdżę już do Obór, piszę, jak kiedyś, na werandzie naszego domu. Ojciec by się na pewno cieszył, ale nie ma go z nami. Jego miejsce zajął wnuk, Piotruś, znowu jedyny mężczyzna w naszym domu.

Jesień jest piękna w tym roku, ciepła. Dzięki wino oplatające werandę przybrało barwy purpury i żółci, gałązki zagładają tu do mnie przez otwarte okno. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu mam poczucie, że sprawy przybrały dobry obrót: i dla mnie, i dla mojej ojczyzny. Jedyne, co mi zaprzęta myśli, to obawa, czy dam radę napisać obiecaną Ali książkę. Ale cóż to za luksus!

7 sierpnia 1990

Jestem nad morzem, w Dębках, z moim wnukiem, pogoda dopisuje, niemal cały dzień świeci słońce, niebo jest bezchmurne, więc wiele godzin spędzamy na plaży. Piotruś zajęty jest budowaniem warownych zamków z piasku, ja siedzę na leżaku z plikiem papieru na kolanach i piszę ostatnie strony powieści, której dam tytuł *Listy z rampy*. Przez ten rok ciężko pracowałam, przeżywając na zmianę chwile euforii i z wątpienia. Bywały momenty, kiedy chciałam to wszystko spalić, wydawało mi się, że nigdy nie dojrnę do końca, że książka mnie niszczy, odbiera siły. Ale kolejny kryzys szczęśliwie mijał i wracałam do pracy. Pomógł mi przypadek. W jednym z warszawskich antykwariatów natknęłam się na rzecz wydaną przez Państwowy Instytut Wydawniczy o tytule *Listy portugalskie*. Ich lektura do tego stopnia pobudziła moją wyobraźnię, że rzuciłam się do pisania. *Listy portugalskie* po raz

pierwszy ukazały się w tysiąc sześćset sześćdziesiątym dziewiątym roku w Paryżu. Były adresowane do kawalera z wyższych sfer, a pisała je zakonnica oszalała z miłości, Mariana Alcoforado. Spod jej pióra wyszły *Listy portugalskie*, a spod mojego pióra listy żydowskie, coś je jednak różniło, te pierwsze pisała mniszka, te drugie młodociana prostytutka, też do ukochanego mężczyzny.

„Prawie nie spałam tej nocy, jeszcze raz getto zatańczyło przede mną... Ty już dawno spałeś, a ono wirowało coraz szybciej, szybciej, w tym jakimś koszmarnym kadrylu śmierci. Widziałam siebie tamtą pokawałkowaną migały moje rozwarte uda, moje roześmiane usta, a w nich jak krwawiący język... I oni, ci mężczyźni... każdy z nich tak bardzo chciał mnie mieć, tak mu się trzęsły ręce, żeby mnie dotknąć, sprawdzić, czy moja młodość to nie oszustwo. Czy piersi sąjędrne, czy brodawki dostatecznie sterczą czy młodość mojego łona jest w stanie dać tę oczekiwaną rozkosz i zapomnienie. Chcieli też, żeby dotykały ich moje ręce... Moje palce traciły swoją niewinność na ich wychudzonych ciążach, na ich zwisającej skórze lub zwałach tłuszczu... obejmowały ich jądra, pieściły ich członki, nabierające nagle sprężystości lub beznadziejnie zwiędłe... Jak ja się tego wszystkiego nauczyłam. Żeby zdążyć co do minuty. W czternastej minucie kładłam się na wznak i rozwierałam uda, zegarek w moim mózgu zaczynał odmierzać sekundy... ”

- Nina! - Słyszę swoje imię i nagle zamiast ulic getta, trupów na chodnikach przykrytych gazetami, widzę piasek i morze.

Patrzą na mnie czyste oczy dziecka. Nie ufaj ludziom - chciałabym powiedzieć, ale tylko przytulam do siebie wnuka.

- Jestem głodny - mówi, uwalniając się z objęć.

- To idziemy na obiad. - Wstaję z leżaka, chowam do koszyka obok kremu do opalania i szczotki do włosów plik luźnych kartek, na których starałam się odtworzyć czas miniony, czas śmierci.

Komisarz pomyślał, że powinien przeczytać tę książkę. Miał podejrzenie, że w *Listach z rampy* Nina S. opisywała także swój ból i strach...

12 sierpnia 1990

Przyjechała tu do nas Gabi, a ponieważ postawiłam ostatnią kropkę w rękopisie, mogę sobie pozwolić na trochę lenistwa. Najchętniej siedziałabym na leżaku i patrzyła na fale, które własnym rytmem uderzają o piasek. Morze ma dla mnie tajemną moc, przyciąga mnie, oczyszcza, uzdrawia.

Gabi jest typem wędrowca, zwykle przemierza całe kilometry plażą od Jastrzębiej Góry do Dębek. Ostatnio skręciła w las za wydumą i za tym lasem odkryła ciągnące się po horyzont łąki.

- Musimy tam pójść wszyscy - powiedziała. - Tam jest pięknie.

- Mam za małe nóżki do takiego chodzenia - broni się Piotruś. On tak jak ja woli osiadły tryb życia.

- Oboje *macie* ciężkie pupy - złości się Gabi, a potem pertraktuje z wnukiem: - A jakbym cię wzięła na barana?

- No to może bym poszedł na ten spacer - łamię się Piotruś.

Moja córka miała rację, to miejsce jest naprawdę wyjątkowe. Okazuje się, że cały teren objęto ochroną konserwatorską. Za łąkami widać jakieś budynki, to osada rybacka Karwieńskie Błota. Kilka rozpadających się zabudowań, a obok całkiem nowe, z pruskim murem, niektóre pokryte strzechą. Domy stylizowane na stare, jakie kiedyś budowali Holendrzy, ta osada należała do nich. I łąki też.

- Wszystko wykupują przyjezdne - mówi kobieta w smażalni ryb, do której wstąpiliśmy.

Zamawiam flądrę i piwo, Gabi to samo, Piotruś frytki i coca-cole.

- Nie chcą obejrzyć pięknej działki do sprzedania? - zagaduje Kaszubka zza bufetu.

- Może byśmy i chcieli, ale krucho z pieniędzmi - odpowiadam.

- Ale oni chcą niedrogo, bo potrzebujący - kusi nas. No i stało się. Zadatkowałyśmy działkę, która ma ponad hektar i leży na samym skraju łąk.

- Możemy najwyżej rozstawić namiot - mówię - bo na dom brakuje forsy.

- Jak jest działka, forsa się znajdzie - odpowiada moja córka.

3 marca 1992

Wczoraj były urodziny dziewczynek, Zosia tradycyjnie przywiozła tort i dwadzieścia trzy świececzki, bo tyle lat kończą moje córki. Świececzki zdmuchnęła Gabi. Lilka kończy studia w Anglii i właśnie oświadczyła, że nie wraca. Ma bardzo dobrą propozycję pracy.

- Niech Lilka sobie nie wyobraża, że ją tam wezmą za swoją. Zawsze będzie obywatelką drugiej kategorii - skwitowała to Zosia.

A ja:

- Niech robi, co chce, jest dorosła.

- No nie wiem, czy którakolwiek z twoich córek jest dorosła. Jedna latawica, a druga opiekunka ubogich, kotów, psów i kogo tam jeszcze...

- Na razie przyniosłam do domu jednego kota - zaprotestowała Gabi.

- Nie chodzi o kota, ale o to, że się nie rozwijasz. Ugrzęzłaś w prowincjonalnym ośrodku. Co to za przyszłość dla młodej, zdolnej kobiety.

- Może się jeszcze wybije, ciociu - próbowała łągodzić jubilatka.

- Wątpię. - Zosia wyraźnie wstała lewą nogą.

I to jej powiedziałam. Siostrze chyba chodziło o mnie.

Listy z rampy zostały przetłumaczone na niemiecki i odniosły tam sukces. W ciągu tygodnia rozeszło się sto tysięcy egzemplarzy, a w następnych ta liczba się podwoiła. Kiedy przyszedł przelew bankowy, pomyślałam, że to pomyłka. Niemożliwe, aby suma, jaką miałam przed oczami, mogła być prawdziwa. Ajednak

tak było. Z dnia na dzień stałam się osobą zamożną. I Zosia miała mi za złe, że niewłaściwie rozporządzałam majątkiem. Zamiast założyć lokaty bankowe, postanowiłam zbudować dom nad morzem i kupiłam samochód, jej zdaniem za drogi, za duży.

- Zrzuńujesz się na benzynę - ostrzegęła.
- Nie jeżdżę znowu tak często.
- To po co ci auto?
- Żeby podróżować do Kamieńskich Błot.
- Do Karwieńskich Błot mogłabym was zawsze zawieźć - odrzekła dobitnie.

A mnie się przypomniał wiersz Puszkina o koniku polnym i mrówce. Według Zosi ja byłam takim hasającym konikiem, który nie myślał o tym, że kiedyś nadejdzie zima. Może i nadejdzie, ale teraz jest lato!

Wrzesień 1992

Dom stoi. Na skraju łąk. Wystarczy wyjrzeć przez okno, aby zobaczyć kroczące dostojnie w wysokich trawach bociany. Co prawda budowa nie przebiegała tak gładko, jakby się mogło wydawać. Wymarzyłam sobie dach kryty słomą, jak to było za czasów osiadłych tu Holendrów, ale wykonawca długo mnie przekonywał, żebym jednak wybrała dachówki. Twierdził, że taki dach mógłby się okazać w przyszłości czymś niezwykle kłopotliwym. W końcu uległam jego perswazjom i przystałam na dachówki w kolorze jesieni, czyli brązu z dodatkiem palonej cegły.

Wewnątrz, na parterze, znajduje się salon z kominem połączony z kuchnią, dalej mały korytarzyk, na

prawo mój gabinet, na wprost łazienka, na lewo malutka kotłownia i wyjście na ganek. Budynek niestety odwrócony jest plecami do wjazdu na posesję, bo to strona południowa. Tutaj zbudowany został taras, na który prowadzą drzwi balkonowe z salonu. Chcąc trafić do głównego wejścia, trzeba okrążyć dom, więc wszyscy wchodzi przez taras.

Na górę prowadzą drewniane schody z piękną balustradą. Długo szukałam kogoś, kto by ją wyrzeźbił z motywami kaszubskimi. Zaczęło się od tego, że zachwyciłam się przydrożną kapliczką z Jezusem Frasobliwym. Cierpienie zastygłe na jego drewnianej, pomalowanej farbą twarzy robiło wrażenie. A tuż pod przebitymi gwoździem stopami Chrystusa napis: *„Jedn dredżemu brzemiona niesta”*. Spytałam o autora rzeźby i dowiedziałam się, że owszem żyje, mieszka około dwudziestu kilometrów stąd. Pojechałam tam i zastałam bardzo już sędziwego artystę. Potraktował mnie nieufnie, ale kiedy się dowiedział, że nie jestem turystką, mam dom w okolicy, inaczej zaczął ze mną rozmawiać i nie obraził się na takie średnio artystyczne zamówienie. „Wszystko dla ludzi” - powiedział. Balustradę wyrzeźbił piękną.

Na piętrze jest niewielki hol, dwie sypialnie i łazienka. Widok na morze przesłania pas starych dębów, ale kiedy się otworzy okno, można usłyszeć jego szum.

Już wiem, że będę lubiła tu przyjeżdżać. W ten sposób nasza pocziwa brwinowska willa zyskała poważnego konkurenta. Bez obawy, łatwo da się podzielić to uczucie.

5 października 1999

Często chodzimy z Piotrusiem do ruin zamku oddalonego od naszego domu zaledwie o kilka kilometrów. Kiedyś w tych murach tętniło życie, odbywały się huczne zjazdy i bale, teraz panuje cisza... Czy uda mi się ożywić to miejsce? Mocą wyobraźni odbudować je, zaludnić? Błąka mi się po głowie pewien pomysł, a raczej zarys pomysłu, ale do jego realizacji droga daleka. Może kiedy zostanę tu sama, coś się z tego urodzi.

Na kilka dni wpadła Gabi i wracając, zabrała ze sobą Piotrusia. Nie mam już wymówki, muszę zdecydować, czy wprowadzam do zamku swoich bohaterów, czy się z tego wycofuję.

Naradzę się z najbliższym sąsiadem i chyba już przyjacielem, panem Karlikiem, emerytowanym sztygarem ze Śląska. Znamy się z czasów, kiedy nie miałam jeszcze domu, a tylko przyjeżdżałam tu na wakacje. Pojawiał się zwykle, kiedy okolica pustoszała. Idąc na wieczorny spacer, z daleka rozpoznawałam jego sylwetkę.

Mieszka w domku, który zbudował własnymi rękami, bo jak twierdzi, nie miał innego wyjścia. Lekarze mu powiedzieli, że jeżeli nie przewietrzy płuc z węglowego pyłu, będzie po nim. Więc pościągał niczym sroka do gniazda jakieś płyty, kawałki blachy falistej, kupił trochę drewna i sklecił z tego swoje siedzisko. Tak to nazywa. Często przesiadujemy we dwoje w jego budzie przy zbitym z desek stole, bo nigdy nie daje się zaprosić „na moje salony”. Co prawda nie ma tu elektryczności, ale jest za to koza, żelazny piecyk z rurą,

który służy do grzania i gotowania, a jak się otworzy drzwiczki, spełnia także rolę kominka.

Jest jeszcze łóżko zasłane kapą w kaszubskie wzory, a na ścianie wisi półka z książkami.

Łapię się na tym, że opowiadam temu człowiekowi rzeczy, z których przedtem nikomu się nie zwierzałam. Z natury jestem bardzo nieufna, ale jego twarz z drobinkami węglowego pyłu wbitymi w zmarszczki wokół oczu budzi zaufanie.

Siedzimy przy stole, jemy świeżo usmażone przez gospodarza okonie i zapijamy je „sztugarówką”, jak pan Karlik nazywa nalewkę własnej roboty.

- Dużo osiągnęłaś zawodowo, Nina - mówi. - Niby masz rodzinę, córki, wnuczka, ale nie widać przy tobie mężczyzny. A taka ładna z ciebie kobieta.

- Nie ma i nie będzie.

- A to dlaczego?

Bo... w moim życiu panuje straszny bałagan i na mężczyznę nie ma w nim miejsca.

A czy w moim życiu jest miejsce na kobietę? - zastanowił się komisarz.

Dotychczasowe związki się nie udawały i z pewnością wina leżała po jego stronie. Nina S. mówiła córce o łasce miłości, on chyba tej łaski nie dostał. Za nikim nie tęsknił. Jediną osobą, którą kiedykolwiek darzył uczuciem, była jego matka. Ale ona właśnie zamartwiała się z tego powodu: „Jędrus, kiedy poznam

synową?" - pytała, gdy odwiedzał rodzinny dom. Może właśnie dlatego bywał tam tak rzadko.

To, co córka Niny S. opowiadała o swojej siostrze Lilianie, wydało mu się dziwnie znajome. On też przed nikim nie potrafił się otworzyć i żadna z partnerek nie znała jego życia. A co do partnerek... Problemem było nie to, jak je komisarz poznawał, ale jak się potem z tych związków wycofywał. Zdarzało się, że przy rozstaniu usłyszał kilka dosadnych słów, z których najłagodniejszym było nazwanie go tchórzem. Ale jak miał powiedzieć kobiecie, że przecież niczego jej nie obiecywał, że chodziło mu tylko o seks.

Ciekawe, jak ta Liliana wygląda - przebiegło mu przez głowę. Czekał na to spotkanie.

Koniec października 1999

Udało mi się dotrzeć do kobiety, która pracowała na zamku, zanim opuścili go właściciele. Pani Genowefa jest już prawie niewidoma i z trudem się porusza po mieszkaniu.

- Ja pani prawie nie widzę - mówi. - Jaka pani jest? Stara czy młoda?

Zastanawiam się chwilę.

- Mam już wnuka - odpowiadam dyplomatycznie.

- Wnuka - mruczy i nadal minę ma bardzo nieufną. - A czego pani ode mnie chce?

- Chciałabym napisać książkę o mieszkańcach zamku...

- Mieszkańcy zamku już prawie wszyscy w grobie, po co ich niepokoić.

- Na pewno mieli ciekawe życie.

- A bo ja wiem - wzrusza ramionami. - To byli Niemcy, a teraz tu wszędzie Polacy, po co Polakom czytać o Niemcach?

- O ludziach, pani Genowefo - przekonuję ją.

- O ludziach - powtarza gniewnie. - Dla niektórych tutaj Niemcy to nie ludzie.

- Proszę tak nie mówić.

- O mnie też myślą, że ja Niemka, bo dla nich służyłam, a ja za swoją polskość nieraz dostałam po grzbiecie.

- To może mi pani o tym opowie?

- Może i opowiem - słyszę zdumiona. Byłam przygotowana na większy opór.

Pani Genowefa jako bardzo młoda dziewczyna, obawiając się wywózki na roboty do Niemiec, rozpaczliwie szukała pracy. W jednej z gazet znalazła ogłoszenie, że poszukuje się „panienki do prac domowych, katoliczki”. Widocznie nie można było napisać wprost, o kogo chodzi. W taki sposób trafiła na zamek. Przyjęła ją starsza pani, ubrana na czarno, i powiedziała, że jej syn się żeni, a przyszła synowa szuka pokojówki, koniecznie Polki.

- Ta moja pani młodziotka - opowiadała pani Genowefa - w tych samych latach, co ja. I piękna była, tylko nic a nic o sobie nie dbała. Codziennie jeździła w pole na koniu, w byle czym, w jakichś portkach i długich butach. Miała takie wielkie włosy, zawsze potargane, nie mogliśmy ich rozczesać wieczorem, bo

splątały się na wietrze. Ona się złościła na te „przekłete kłaki”. A jej włosy były jak pszenica, mieniły się w słońcu, aż oczy trzeba było mrużyć.

W tej samej chwili zrozumiałam, że narodziła się bohaterka mojej nowej powieści: młodziutka synowa właścicieli zamku w Krokowej z burzą włosów, które mieniły się w słońcu...

Wracałam do domu brzegiem morza i rozpierała mnie radość. Byłam pewna, że oto zaczyna się kolejna niezwykła przygoda, kolejna książka...

7 lutego 2000

Od pani Genowefy dowiedziałam się, że jej chlebowdawczyni z krokowskiego zamku żyje i przebywa w którymś z domów opieki w Monachium. Bardzo nalegałam, żeby się dowiedziała o jej adres. Najpierw odmówiła, ale już trochę zdążyłam ją poznać i wiedziałam, że jeśli tylko będzie mogła, pomoże. Tak też się stało.

Byłam poruszona możliwością spotkania z właścicielką wielkich włosów i wkrótce nadarzyła się taka okazja, bo właśnie z Monachium przyszło zaproszenie na wieczór autorski.

Ostatnią datą w „Dzienniku” Niny S. był siódmy lutego dwutysięcznego roku. Nie wiadomo, czy dalsza część zaginęła, czy autorka zarzuciła pisanie. Szkoda, bo przecież od tego momentu zaczynał się jej dramat. Nina S. powoli traciła kontrolę nad swoim życiem, co

miało fatalne skutki dla niej i dla jej rodziny. Czy naprawdę kochała tego mężczyznę? Wyglądało na to, że miłość do Jerzego Barana z wolna stawała się obsesją pisarki. W czasie, gdy byli razem, nie potrafiła skupić uwagi na nikim innym, niemal każda jej myśl skierowana była w jego stronę. Liczył się tylko on.

Komisarz odniósł wrażenie, że i teraz pisarka nie rozstała się ze swoim partnerem tak do końca. Mówiła o nim jak o kimś żywym. A przecież nie była wariatką, co do tego nie miał wątpliwości, ani na chwilę nie traciła kontaktu z rzeczywistością, więc jeżeli to ona strzelała do mecenasa B., dobrze wiedziała, co robi.

Tylko czy naprawdę można do tego stopnia się zatracić w uczuciu, że wyrzeczenie się siebie, swoich dążeń okaże się czymś tak łatwym. Decyzja zmiany trybu życia, przyzwyczajień, pozbywanie się rzeczy materialnych, do których było się przywiązaniem - to wszystko stawało się kwestią jednego podpisu. I już zniknęła nadmorska posiadłość, pieniądze z konta, a wreszcie rodzinny dom. Ale w zamian był ten człowiek. Był, a raczej jeszcze jest.

Czy myślałaby tak o tym mężczyźnie, gdyby mogła zobaczyć go wtedy, leżącego na podłodze?

Śmierć w okrutny sposób weryfikowała wyobrażenie o Jerzym Baranie jako o kimś, kto za życia był interesujący, bystry i według Niny S. podobał się kobietom. Komisarz nie miał okazji i zamienić z nim jednego słowa, nie potrafił więc ocenić tych wszystkich przymiotów, zapamiętał tego człowieka jako górę martwego mięsa.

To, że znalazłam się w tym miejscu, na paru metrach cementu, z pryczą zamiast łóżka, obwinia mnie i tylko mnie. Z niezwykłą konsekwencją zmierzałam ku takiemu zakończeniu, nieczuła na wszystkie ostrzeżenia, które otrzymywałam z zewnątrz. Ale być może nie da się żyć na przekór swojemu losowi, jestem pewna, że to właśnie los wykupił mi bilet na samolot do Monachium dokładnie drugiego marca dwutysięcznego roku. Jak sądzę, będę miała dużo czasu, aby się przyrzec swojemu życiu, szkoda, że z takiej perspektywy, bo jakiegokolwiek wyciągnę z tego wnioski, dla mnie jest już na wszystko za późno.

Monachium... Po spotkaniu autorskim lampka wina, podchodzą do mnie ludzie, rozmawiam z nimi, śmieję się. Trochę już jestem wstawiona, bo podróż, występ przed publicznością, napięcie... wino bardzo mi smakuje.

Opowiadam: Jakiś czas temu w Warszawie odbywał się konkurs chopinowski, ale na koncert finałowy nie mogłam zdobyć biletu. Mimo to poszłam do filharmonii. Stoję w holu pod filarem i czekam w tłumie ludzi, choć nie bardzo wiem, na co; za chwilę rozpocznie się pierwszy występ konkursowy. I wtedy podchodzi do mnie młoda dziewczyna i wręcza mi bilet. Uradowana sięgam po portmonetkę. „Proszę schować pieniądze - słyszę. - Mój mąż nie mógł przyjść, bilety dostaliśmy za darmo...” Ten wieczór był naprawdę niezwykły. Kiedy swój występ rozpoczął młodziutki pianista, wszyscy, łącznie z jurorami, wstrzymali oddech,

a ja myślałam: w holu było tyle ludzi, a ona podeszła do mnie. Dlaczego?

- To proste, spotkała pani Anioła - dobiega mnie czyjś głos.

Odwracam głowę i widzę ciepłe, orzechowe oczy.

Ktoś mówi:

- Pan konsul Jerzy Baran.

A on kłania się nisko.

- To ja będę jutro towarzyszył pani w poszukiwaniach bohaterki pani książki.

Potem, w hotelu, uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, jak ten konsul wygląda. Tylko jego oczy, oczy poza twarzą, gdzieś w powietrzu...

Te oczy... Już ich w moim życiu nie ma i nie będzie. Czy naprawdę życzyłam Jerzemu śmierci? Nie, chciałam tylko z powrotem odzyskać siebie. Nie udało się mnie pozszywać, trafiłam na marnego chirurga. Miał mnie bezboleśnie odłączyć od mężczyzny, a tylko mnie poharatał. Ten chirurg to czas. Wszyscy mi to powtarzali: czas, potrzeba ci czasu. Ale ja uważałam, że już nie mam czasu. Za rok, dwa, trzy będę starą kobietą, a chciałam jeszcze chociaż raz odetchnąć pełną piersią i cieszyć się, że jutro będzie kolejny dzień. Ten nadchodzący dzień mnie przerażał. Wiedziałam, że może być tylko gorzej. Ból nie mija bezkarnie, ból uszkadza. Rozpoznawałam siebie w chorobie, a jaka miałam być jako rekonwalescentka? Czy te niezdarne fastrygi na moim życiu miały szansę kiedykolwiek wyblaknąć? Poeta napisał: „Jest taka cierpienia granica, za którą

się uśmiech łagodny zaczyna". Ale ja się nie uśmiechałam...

Monachium... Wchodzimy do budynku porośniętego dzikim winem, które o tej porze roku straciło liście, ogołocone pnącza, niczym starcze ręce kurczowo czepiają się muru. Pensjonat jest ładnie położony, na skraju parku.

- To Englischen Garten - wyjaśnia mój towarzysz.

Pytamy w recepcji o panią Elizę von Saarów.

Owszem jest, właśnie wróciła ze spaceru - uśmiecha się sympatyczna panienska. - Kogo mam zaanonsować?

Pani Eliza zajmuje nieduży apartament na parterze, z przeszkloną werandą z której jest widok na park. Upprzedzona o naszej wizycie miło nas wita, zaprasza na kanapkę przy niskim stoliku, stoją na nim filizanki, dzbanek z kawą a na dużym, pięknym talerzu owocowy strudel.

Ukradkiem jej się przyglądam i myślę, że ma wygląd odpowiedni dla mojej bohaterki: jest postawna, o szlachetnych rysach twarzy, w zachowaniu nieco wyniosła. A włosy... teraz siwe, ułożone w wałek wokół głowy.

Konsul występuje w roli tłumacza, bo moja znajomość niemieckiego nie pozwala na podjęcie rozmowy. Poza tym pani Eliza mówi dość niewyraźnie, prawie jej nie rozumiem.

Najego twarzy widzę zakłopotanie.

- O co chodzi? - pytam.
- Hrabina chce mnie adoptować. Sądzi, że przy-
szedłem z adwokatką.
- Co takiego? - parskam śmiechem. - Chyba żar-
tuje!

- Mów ciszej, ona trochę rozumie po polsku - upo-
mina mnie i w ten sposób przechodzimy na ty.

Okazuje się, że zaszło nieporozumienie, nasza roz-
mówczyni sądziła, że przychodzimy do niej kupić ty-
tuł. Ma już kilku takich adoptowanych synów, którzy
co miesiąc wypłacają jej ustalone sumy.

Jestem rozbawiona i zachwycona jednocześnie. To
przecież wymarzony dla mnie materiał do przyszłej
książki. W tej sprawie pani Eliza jest bardziej powścią-
gliwa, zastrzega, że musi to przemyśleć.

- Nie lubię tam wracać, bo od wielu lat żyję tu-
taj - mówi, i dodaje: - Gdyby mi powiedziano w mło-
dości, że taka będzie moja starość, nie uwierzyłabym.
Wydawało mi się, że moje życie upłynie w miejscu,
gdzie przyszedłam na świat, wśród znajomych twarzy,
w pobliżu grobów rodzinnych.

Wychodzimy z pensjonatu i wybieramy drogę przez
park. Kiedy mijamy chiński pawilon, mój towarzysz
proponuje, żeby tam wstąpić.

Siadamy przy stoliku w rogu, pośród kolorowych
ozdób, lampionów.

- Jak ci upływa życie na obczyźnie? - pytam.
- Przyjazd tutaj to był błąd, jako wybitny prawnik
zajmuję się drobnicą.

- Nie jesteś skromny!

Śmieje się.

- Gdybyś głównie ekspediowała urny z prochami zmarłych do Polski, też byś się chciała jakoś podbudować.

- Jesteś tu sam?

- Nie - odpowiada z wahaniem - są ze mną moje córki.

- A żona?

- I ona też.

Przynoszą nam herbatę w cienkich porcelanowych filiżankach z chińskimi smokami, do tego karmelowe ciasteczka.

Mam uczucie, jakbym znalazła się w stanie łaski. To miejsce, ten człowiek obok. To nie może być przypadek, że on i ja się tutaj znaleźliśmy.

- Długo jesteście małżeństwem? - pytam, z niejasnym uczuciem, że nie powinnam.

- Osiemnaście lat - odpowiada.

- Więc już osiągnęliście pełnoletność.

- No właśnie, pora rozpocząć prawdziwe życie - słyszę.

Brzmi to dość dziwnie, zastanawiam się, co chce mi przez to powiedzieć.

- Widziałaś film Stuhra *Historie miłosne*?

- Jeszcze nie, ale wiem, o czym jest.

- Kilka takich życiowych ludzkich wyborów, za które potem trzeba zapłacić. I mnie to dało do myślenia, nie chciałbym zjechać na koniec windą w dół.

- Każdy by wolał w górę - odpowiadam ze śmiechem - ale chyba tylko nieliczni tam trafiają.
- A może razem by się nam udało? - słyszę.

Właściwie w tym punkcie, w jakim się znalazłam, mogłabym darować sobie robienie jakiegokolwiek rozrachunku, przeszłość i przyszłość, to już puste słowa. Istnieje tylko czas teraźniejszy, który będzie się kurczył, aż ograniczy się do paru metrów przydzielonych mi z urzędu. Chyba dopiero teraz zrozumiałam, co oznacza powiedzenie: sceneria czy inaczej krajobraz czyjegoś życia. Mój krajobraz ograniczył się do celi z pryzmami po obu stronach, z zakratowanym oknem osłoniętym blendą, i nagą żarówką u sufitu. Nie powinnam zapomnieć o judaszu w drzwiach. Ktoś zaznaczył swoją obecność wrytym na ścianie napisem: „Ja tu byłem i marzyłem”. Ciekawe, o czym było to marzenie? O kobiecie? O puszce piwa? A może o wolności?

Ściana... Ja też doczekałam się swojej ściany. Jej życie i moje życie, podobne i niepodobne zarazem, obie przegrałyśmy przez miłość. Najpierw odszedł od niej mąż, a potem syn, który nie mógł się pogodzić z jej alkoholizmem. Została sama, w czterech ścianach.

*Kocham cię ściano
za twoją cierpliwość
z jaką słuchasz mojego płaczu*

Umarła na serce, nagle. Odnaleziono ją w jej małym mieszkanku dopiero po dwu tygodniach.

I chyba to przewidziała, kończąc swój wiersz słowami:

*Błogosławią cię ściano
gdyż wiem
że jedynie ty
będziesz wierną towarzyszką
mojej śmierci*

Jakże inne znałam jej wiersze, ale nie potrafiłabym teraz odtworzyć żadnego z nich. Nie umiem też odtworzyć siebie takiej, jaką wtedy byłam. Życie coś mi obiecowało, podsuwając weksle, które podpisywałam bez mrugnięcia okiem.

Człowiek, który przedstawia się jako komisarz Zawadka, nie rezygnuje. Odnalazł mnie w tym zadziwiającym miejscu, gdzie nic już nie zależy ode mnie, nie mogę rozporządzać własną osobą, robić tego, co bym chciała, ani też wyjść stąd, gdyby mi przyszła na to ochota.

- Nie będę zeznawać - mówię stanowczo.

Gdybym miała opisać komisarza, przedstawiłabym go jako człowieka o przyjemnej powierzchowności. Wiek około pięćdziesięciu lat, ale nauczona doświadczeniem wiem, że wygląd bywa mylący, równie dobrze może być młodszy, jak i starszy. Dość wysoki, szczupły, o włosach ciemnych, lekko siwiejących na skroniach.

W twarzy widoczne są przede wszystkim oczy, uwagę przyciąga ich intensywnie niebieski kolor, jaki widuje się u małych dzieci.

Patrzy na mnie zza zmrużonych powiek.

- Ale czy to na pewno jest rozsądne?
- Mówienie o rozsądku w mojej sytuacji jest nie na miejscu - odpowiadam.
- Tego bym nie powiedział, zawsze istnieje kilka wyjść i powinno się wybrać to najlepsze.
- Każde będzie złe.
- Dla kogo?
- Oczywiście dla mnie - zaskakuje mnie jego pytaniem.
- Jest pani tego pewna? Bo ja nie bardzo.
- Nie rozumiem.
- Świetnie pani rozumie - odpowiada komisarz z uśmiechem. - Dam sobie uciąć głowę, że to nie pani strzelała do Jerzego Barana.
- To już pan nie ma głowy - mówię, ale odczuwam niepokój.
- Zadam pani tylko jedno jedyne pytanie: gdzie jest broń?

Wpada Lilka, obładowana zakupami, chowa je do lodówki. Ze swojego miejsca na kanapie obserwuję córkę. Jest młoda, pełna wdzięku, zawsze na tych swoich wysokich obcasach. Chyba wyczuwa mój wzrok, bo odwraca głowę.

- Hej tam na tratwie! - woła. - Z wiatrem dzisiaj czy pod wiatr?

<

- Zawsze pod wiatr - odpowiadam.

- Zła odpowiedź!

Przysiada obok mnie.

- Pewnie nie pamiętasz, ale kiedyś była taka aktorka Jean Seberg - mówię. - Przypominasz mi ją, tylko ona chyba miała krótsze włosy, i bardzo jasne.

- A w czym grała? - pyta zaciekawiona.

- No... między innymi w filmie mojej młodości *Do utraty tchu*.

Lilka patrzy na mnie z naganą.

- Ty wciąż jesteś młoda, popatrz w lustro. Jeszcze wiele przed tobą, mamó.

Czy naprawdę istniało słowo „przyszłość”? Przecież ja do tego stopnia weszłam w rolę pielęgniarki, że już nie umiałam się pozbyć swojego stroju z białym czepkiem, nie umiałam go zdjąć, mimo że pacjent dawno wyzdrowiał i poszedł sobie. Już w Monachium pojawiła się ta trzecia, ta zła żona, która niemal od dnia ślubu niszczyła swojego męża, poniżała, robiła też wszystko, aby go ośmieszyć w oczach dzieci.

- Dlaczego? - spytałam.

- Taki charakter - odpowiedział. - Edyta Bartosiewicz śpiewała o domu ze ścianami z lodu, często puszczałem to Ice, gdy gdzieś razem jechaliśmy samochodem, była wściekła.

Więc ja chciałam być inna niż ta Ika. Wpadałam w zachwyty nad wszystkim, co on zrobił i czego nie zrobił. Nie szkodzi, mówiłam, nie wyszło teraz, wyjdzie jutro. Kancelaria przynosi straty, to naturalne. Nikt cię tu nie zna, potrzeba trochę czasu. I tak było ze wszyst-

kim. Moje sprawy zawodowe i prywatne zesły na dalszy plan, a potem także ja sama, tylko nie zauważyłam tego w porę.

Wychodzimy z chińskiego pawilonu, zaczyna prószyć śnieg, osiada na moich włosach. Jerzy strzepuje śnieg czułym gestem. Nagły skurcz w gardle, tego nie znam, nie poznałam jako dziecko, bardzo wcześnie straciłam matkę. Mężczyźni zawsze istnieli gdzieś na drugim planie i żaden z nich nie strzepywał śniegu z moich włosów.

- I co dalej z tak pięknie rozpoczętym dniem?
- pyta on.

- Ty chyba musisz wracać do pracy, a ja wybiorę się do pinakoteki, słyszałam, że warto.

- Na pewno. Ale jest jeszcze wieczór.

- A twoja rodzina?

- Żona z dwiema młodszymi córkami pojechała do Polski, została tylko najstarsza, Ola, i pies, owczarek szkocki. Nazywa się Leser.

- I naprawdę jest leserem? - pytam, aby odwlec rozmowę na temat dzisiejszego wieczoru, bo jeszcze nie wiem, czy chcę się spotkać z tym mężczyzną. Ogarnął mnie lęk. Jakby przecucie, że jeśli się z nim spotkam, stanie się coś nieodwracalnego, coś, co na zawsze zmieni moje życie.

- Jest leniwcem, to prawda - odpowiada z uśmiechem - ale nazwaliśmy go tak na cześć Lessie. Więc jak? Idziemy na kolację? Znam jedno bardzo miłe miejsce.

- Dobrze - zgadzam się potulnie i tak już będzie zawsze, będzie się liczyło to, czego chce Jerzy.

Lilka patrzy na mnie z prośbą w oczach, czegoś ode mnie oczekuje, ale ja już nie umiem zgadywać niczyich życzeń, nawet własnych dzieci. Z nią zresztą miałam zawsze lepszy kontakt niż z Gabi. Oczywiście Gabi jest moją córką i bardzo ją kocham, ale irytuje mnie ta jej niezwykła dobroć, dla wszystkich. Gdyby mogła, przytuliłaby do piersi cały świat. Ale ten jej świat jest jakiś sztuczny, jak z celuloideu. Kiedyś w kłótni powiedziałam, że powinna zostać mormonką.

Świat Lilki jest mi bliższy, jednak, kiedy wyjechała, oddaliśmy się od siebie, teraz poznajemy się od początku. Jestem jej ciekawa. Tego, co myśli. A co ona może myśleć o mnie? Stałam się monotematyczna, nudna. Byłam już tylko porzuconą, oszukaną kobietą, od takich się ucieka.

- Mamusiu, chodźmy na spacer, dzisiaj jest tak ładnie.

- No dobrze – odpowiadam przerażona, że będę musiała opuścić kanapę.

Czym stało się to okupowanie narożnika z ciemnozielonej skóry? Ucieczką? Przystankiem po drodze? Z pewnością żadna z wcześniejszych wersji mojego życia nie mogła zostać powtórzona. „Coś się skończyło” – powiedział Jerzy. Dla niego pewien etap, w którym przez chwilę byłam obecna. A dla mnie... Uderzenie było tak silne, że mój mózg się wyłączył. Pozostały nawyki: jedzenie, picie, mycie zębów. Kanapa stała się

azyłem, dawała poczucie bezpieczeństwa, poza nią był obcy, niezrozumiały świat.

Lilce udało się wywabić mnie z domu, pojechałyśmy poza Warszawę, do drugiej mojej córki, Gabi. Był ciepły wieczór, siedziałam na werandzie, nagle przypłynął silny, słodkawy zapach nasturcji i to było jak budzenie się do życia.

Idziemy aleją parku na tyłach biblioteki Krasińskich, trzymamy się za ręce.

- Popatrz, już liście żółkną - mówię zdziwiona.
- Przegapiłam wiosnę i lato.
- Będą następne. - Lilka ściska moją dłoń.

Jerzy zaprosił mnie do małej restauracji pod Monachium, w przyćmionym świetle niewyraźnie widziałam jego twarz, ja też miałam twarz w cieniu. I bardzo mi to odpowiadało, bo bałam się, że odczyta z niej moje uczucia. Po raz pierwszy moja integralność została naruszona i umierałam ze strachu, bo nie wiedziałam, kto tak naprawdę wchodzi na moje terytorium. Kiedyś wpadło mi w ucho powiedzenie, że ktoś ma łatwość kontaktu i gdy się głębiej nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że ja tej łatwości nie mam. Gdziekolwiek i z kimkolwiek bym była, okazywało się w końcu, że jestem bez pary. Pojawienie się Jerzego w moim życiu oznaczało zmianę i było czymś tak nieuniknionym, że jakiegokolwiek słowa okazywały się zbędne.

Znaleźliśmy się w pokoju hotelowym. Nie bałam się przed nim rozebrać, ale jego fizyczność mnie za-

skoczyła. Uwolnione z ubrania ciało Jerzego zmieniło się w bezkształtną bryłę.

Nago chodził po pokoju.

Przecież tak nie można wyglądać - myślałam z przerażeniem.

On wyjmował coś z lodówki, jakieś butelki, zadawał pytania.

- Czego się napijesz, whisky? Gin z tonikiem?

- Whisky. - Bardzo mi była w tamtym momencie potrzebna.

- Z lodem czy bez?

- Z lodem. - Nerwowo przełknęłam ślinę.

Tej nocy wszystko uległo przewartościowaniu, także kanon męskiej urody. Poznałam to ciało, polubiłam je, wbrew wcześniejszym obawom wyzwałało we mnie pożądanie. Po raz pierwszy w życiu spędziłam całą noc z mężczyzną i nie przeszkadzało mi nawet to, że wydaje przez sen przeraźliwe dźwięki.

Chrapałem? - spytał rano z pewnym niepokojem.

- Nie wiem, twardo spałam - powiedziałam i to było pierwsze kłamstwo z miłości.

Siedzimy z Lilką na ławce w parku, przed sobą mamy duży klomb obsadzony jesiennymi kwiatami, a dalej szlachetny kontur biblioteki Krasińskich.

Lilka kładzie mi głowę na ramieniu.

- Chwila oddechu, mamusiu? - pyta.

Nie muszę odpowiadać, porozumiewamy się bez słów.

Dlaczego, dlaczego ty się tak upierasz przy tym człowieku? Ou nie jest tego wart - mówi moja córki - Wiesz, oglądałam w Londynie na Polonii bardzo ciekawy dokument o słynnych ucieczkach z Polski luz po wojnie.

Dwie pary młodych ludzi postanowiło spróbować szczęścia. Miesiącami układali plan uciezki, mózgiem całej operacji był X, lekarz, bardzo zakochany w swojej żonie, ładnej zresztą i miłej. Na filmie pokazywano ich zdjęcia z młodości. Sceny z uciezki odgrywali aktorzy.

I ci młodzi wymyślili, że przedostaną się nocą ze Świnoujścia do NRD. Niestety, należało przepłynąć morzem wpław kilka kilometrów. I mimo że byli silni, wysportowani, dziewczyny grały sportowo w koszykówkę, już po godzinie znaleźli się na granicy fizycznego wyczerpania. Odwrotu nie było, bo czekałoby ich aresztowanie. I wtedy X się załamał. Pozostawił w tyle swoją żonę, mimo że błagała o pomoc. Wrócił po nią ten drugi mężczyzna. Gdyby nie wrócił po żonę X-a, czekałaby ją śmierć z wyziębienia.

- Twój Jerzy też by ciebie zostawił, mamó, nie mam co do tego wątpliwości - mówi Lilka. - Ja w ogóle nie rozumiem, jak można kochać kogoś, nie poznawszy go do końca.

- Nigdy się nikogo nie zna do końca - odpowiadam. - Nawet samego siebie.

- Ale ja bym mogła pokochać tylko takiego mężczyznę, który byłby w stanie zaryzykować dla mnie życie, ja dla niego oczywiście też.

To naiwne, co mówisz uśmiecham się.

Nie, mamó, to uczciwe.

I dlatego z nikim się nie związałaś? Ten twój John się nie sprawdził?

To nie jest mój John - prostuje - my tylko czasami sypiamy ze sobą.

Ale Gabi mówiła, że on jest w tobie zakochany, widać to na pierwszy rzut oka.

Lilka nie odpowiada, a mnie się przypomina rozmowa z Jerzym w Karwieńskich Błotach, w kwietniu dwutysięcznego roku.

Siedzieliśmy na kanapce w saloniku telewizyjnym w pozycji wagonowej, to znaczy ja wciśnięta między jego ugięte nogi i opierająca się plecami o jego brzuch. Nie pamiętam tytułu filmu, który oglądaliśmy, ale chodziło o to, że bandyci zamierzali zabić żonę, a jej mąż potulnie się na to godził. Dobiega mnie głos Jerzego:

- Nie miał wyboru.
- Mógł o nią walczyć - odpowiadam zaskoczona.
- Zabiliby ich oboje.

Dla mnie było to nie do przyjęcia, widocznie wtedy myślałam podobnie jak moja córka. Ale mężczyzna, którego kochałam, miał na ten temat inne zdanie, a jeśli mimo wszystko chciałam z nim być, musiałam się z tym pogodzić. Teraz wiem, że kompromis w uczuciach jest czymś najgorszym i z góry skazuje na przegraną. Wszystko ma swoją cenę i istnieje granica, poza którą nie warto jej płacić.

Jerzy pewnie by mnie zostawił w tym lodowatym morzu, boby sobie wykalkulował, że skoro

tylko jedno z nas może przetrwać, lepiej, żeby to był on.

Zresztą zaczęłam podejrzewać, że chyba jest tchórzem.

Wracaliśmy z wycieczki do Kazimierza, towarzyszył nam mój wnuk Piotruś, wtedy czternastoletni, który przyjechał z Londynu, i jeszcze nasz pies, czarny dog niemiecki, Ziuk, nazwany tak na cześć Marszałka Piłsudskiego. Zrobiliśmy sobie postój nad Wisłą, w miejscu, gdzie było coś w rodzaju betonowej kładki, tak wąskiej, że tylko pojedynczo dało się po niej stapać. Jerzy wszedł na kładkę, Piotrusia zatrzymałam przy sobie na brzegu, gdyż wokół niej potworzyły się niebezpieczne wiry. Niestety za Jerzym pobiegł pies. W pewnym momencie łapa mu się osunęła i wpadł do rzeki. Walczył o życie w skłębionej wodzie, widać było, że traci siły, a jego pan bezradnie się temu przyglądał. I wtedy Piotruś podniósł leżącą nieopodal gałąź, wbiegł na beton i kładąc się na brzuchu, podsunął jej koniec psu. Ziuk schwycił ją zębami, a Piotruś doholował go do brzegu.

- Mogłeś się utopić - powiedziałam roztrzęsionym głosem do wnuka.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w przydrożnej knajpcie na obiad. W pewnej chwili Jerzy odezwał się znad talerza:

- Było mi tak żal tego zwierzaka, że już chciałem skoczyć.

- Ale nie skoczyłeś - odparłam, dodając w myślach: - Pozwoliłeś, aby ryzykowało dziecko.

i

Właściwie kimś takim można pogardzać, ale wytłumaczyłam sobie, że przy tuszy mojego partnera skok mógłby skończyć się tragicznie. Było tam dość głęboko, a z wody wystawały kawałki zbrojonego betonu.

Monachijski ranek. Budzę się. Spałam może godzinę, dwie. W pokoju jest już jasno, widzę obok to potężne ciało odwrócone do mnie plecami. Na krótką chwilę ogarnia mnie zdumienie, kto to jest i co ja tu robię, ale zaraz powraca świadomość: to mężczyzna, którego kocham. Właściwie zakochałam się, jeszcze go nie widząc. Był tylko jego głos: „To proste, spotkała pani Anioła”.

Nie tylko mnie ten głos uwiódł. Po powrocie do Warszawy, tknięta pewną myślą, zajrzałam do *Dzienników Zofii* Nałkowskiej, w których opisywała swoją szaleńczą miłość do niejakiego Władysława Barana. I to się potwierdziło, był dziadkiem Jerzego. Powracałam do tego opisu tak często, że książka posłusznie otwierała się w zaznaczonym miejscu:

„Mówię piękny. Ale trzeba to umotywować. Za krótki kark na barach bardzo szerokich, biodra wąskie, wielki wzrost, sto kilo żywej wagi. Dużo z niedźwiedzia i byka. Ruchy ciężkie i zarazem pełne swobody i uroku, maniery doskonałe (tyle lat w dyplomacji!), grzeczność uważna, baczna, skwapliwa, mająca cechy dobroci, budząca zaufanie, opiekuńcza i żartobliwa, w stosunku do kobiety nieco poufała... Włosy czarne,

dobrze, gładko rozczesane, świecące, skóra twarzy jakby zadymiona, oczy czarne otoczone ciemnością, nos z garbkiem krótki... niewątpliwie piękna i od razu uderzająca głowa byka, trochę jakby i dla niego na krótkim karku niewygodna. Uśmiech o niemożliwym wdzięku (namiętność, zmysłowość, żartobliwa dobroć), wymowa dziwna, trudna („r” grasejowane), śliczny głos (dawne zamieranie od niego serca przy telefonie)... od jednego tamtego uśmiechu świat cały zamieniał się dla mnie w szaleństwo... ”

Od jednego tamtego uśmiechu świat cały zamieniał się dla mnie w szaleństwo. Stałam się ślepa i głucha na wszystko, co nie dotyczyło tego mężczyzny, liczył się on. I tylko on. Po powrocie do Polski opętańczo za nim tęskniłam, gotowa iść pieszo do Monachium. Umówiliśmy się, że w kwietniu Jerzy przyjedzie.

Nałkowska... przedwojenny dyplomata Władysław Baran... to były te rekomendacje, które utkwily gdzieś w mojej podświadomości. Opis niezwyklej męskiej urody w jej *Dzienniku*. Co prawda nie wszystko się zgadzało. Jerzy był mieszanką chłopsko-szlachecką. Ojciec z dobrej rodziny, z zawodu sędziego, matka inteligentka w pierwszym pokoleniu, nawet o ładnej twarzy, ale nadmiernie rozbudowana w biodrach. Syn odziedziczył po niej te biodra. Ale reszta się absolutnie zgadzała: piękna głowa byka, uśmiech o niemożliwym wdzięku i głos... Poza tym był błyskotliwie inteligentny i miał sytuacyjne poczucie humoru, które uwielbiałam. Niestety czasami odzywały się w nim geny ze

strony matki. Kiedyś powtórzył mi rozmowę ze swoją młodszą siostrą.

- Nie przeszkadza ci, że Nina jest stara? - spytała.

Odpowiedział na to:

- Chciałabyś mieć takie ciało jak ona!

Nie przyszło mu do głowy, że podobnych rozmów się nie powtarza, że mogłoby mi być przykro. Nie chciałem mi sprawić przykrości, to pewne. Czasami miał grubą skórę. Między nami problem wieku właściwie nie istniał, chociaż gdy dotarło do mnie, ile ma naprawdę lat, doznałam wstrząsu. W chwili naszego poznania był po czterdziestce, ale nigdy nie czułam, że jestem od niego starsza, może ten jego stateczny wygląd niwelował między nami różnicę.

Nie ulega wątpliwości, Nałkowska namieszała w moim życiu, chociaż gdybym się głębiej zastanowiła, dotarłoby do mnie, że jej miłość do Władysława Barana była miłością nieszczęśliwą.

To wszystko było potem. Teraz przytuliłam się do tych odwróconych pleców i chciałam pozostać tak na zawsze. Trudno to wytłumaczyć, ale ten wielki mężczyzna pachniał jak osesek. Tuląc się do niego, odczuwałam ten sam rodzaj wzruszenia, jakie mnie ogarniało, gdy wsuwając twarz we włosy maleńkiego Piotrusia, wdychałam jego zapach.

Jerzy odwrócił się i otoczył mnie ramieniem.

- Jak spałaś? - spytał.

- Dobrze, a ty?

- Niczym jurny samiec.

Pewności siebie mu nie brakowało. Nie miał żadnych kompleksów związanych ze swoim wyglądem, gdy byliśmy sami, uwielbiał chodzić nago po domu. Tak też zwykle zasiadał do śniadania. Mam zawodnika sumo za stołem - myślałam i dobrze mnie to nastrajało. W jednym z wywiadów znana gwiazda filmowa wyznała, że nie oglądała nigdy swojego męża, nie mniej znanego operatora, w szlafroku. Schodził do śniadania kompletnie ubrany, w marynarce i krawacie, okazując w ten sposób szacunek swojej żonie. Jak widać, miłość ma różne oblicza.

Kiedyś znajoma Jerzego skarżyła się, że nie osiąga satysfakcji seksualnej, gdyż jej mąż jest za lekki.

- Poradziłem jej, żeby kładła mu płytę chodnikową na plecy! - opowiadał ze śmiechem.

My obywaliśmy się bez tej płyty i było to dla mnie gwarancją, ale chyba nie taką, jakiej Jerzy by oczekiwał. Bałam się fizyczności mężczyzn, nawet wtedy, gdy byłam przez nich kochana. Jego szerokie, kobiece biodra, jego tusza dawały pewność, że to ciało nie zrobi mi krzywdy. Że on nie wtargnie we mnie z brutalnością i siłą, nie zada mi bólu. Że mnie nie zmiażdży.

Niedzielny ranek. Po śniadaniu jedziemy pod Monachium do jakiegoś warownego zamku na wzgórzu. Nie bardzo mamy siłę i ochotę wdrapywać się po krętych kamiennych schodkach, więc siadamy u jego podnóża, na ławce pod rozłożystym drzewem, jeszcze bez liści. Przez chmury prześwieca łagodne marcowe słońce.

Przymykam oczy, czując na twarzy przyjemne ciepło. Jerzy przechyla się i dotyka wargami mojej skroni. Trwamy tak dość długo, odczuwam to jako niewyobrażalne szczęście. I nagle doznaję bolesnego skurczu serca. Ostrzeżenie, że za takie chwile się płaci.

Komisarz inaczej dziś wygląda, ma zmęczoną twarz, wokół ust pogłębiły się bruzdy, dzisiaj określiłabym go jako mężczyznę po pięćdziesiątce.

- Proszę mi wybaczyć, ale z obowiązku czytam pani „Dziennik” - mówi.

- To nic panu nie da - odpowiadam. Nawet nie jestem wstrząśnięta tym, że wchodzi w moją prywatność, bo wiem, dlaczego tak się dzieje. - Przestałam go prowadzić, kiedy spotkałam Jerzego Barana, pewnie uważając, że znalazłam partnera w drugim człowieku.

Komisarz mruży oczy, zawsze to robi, kiedy chce zastawić na mnie pułapkę.

- Jest pani pewna, że ta lektura mi nie pomoże?

- Niczego nie jestem pewna, panie komisarzu.

- Chciałbym panią o coś spytać, można?

- Przecież odmawiam zeznań.

- Ale rozmawiamy, prawda? Proszę to traktować jako dalszą część rozmowy.

- Którą pan nagrywa? - Zaczynamy przerzucać się słowami.

- Nie nagrywam, przecież odmawia pani zeznań.

- Ale nie jest pan tu prywatnie.

- Jestem tu, bo chcę pomóc, pani i innym.

- Jakim innym?

- Oboje wiemy jakim, ale na razie to zostawmy. Chciałbym panią spytać, która z pani córek stanęła wtedy w drzwiach łazienki?

Wchodzimy z Lilką po krętych schodach do mojego mieszkania na Freta.

- Żeby to było pierwsze piętro - wzdycham.

- Nie miałabyś takich widoków na kościół Franciszkanów i pałac Sapiehów, zupełnie jak w Rzymie - odpowiada moja córka.

Nigdy nie byłam w Rzymie - myślę - znam dobrze tylko Niemcy, miałam mnóstwo wieczorów autorskich w miastach dużych i małych. Zamiast wydać pieniądze na podróże, sadiłam drzewa w mojej posiadłości w Karwieńskich Błotach. Teren był duży, ale płaski, przedtem pasły się tam pegeerowskie krowy. Zadałam sobie niemało trudu, żeby sprowadzić aż z Kanady specjalny gatunek brzoź, które podobno rosną dwa razy szybciej niż te polskie. To dobrze - myślałam - zdążę się nimi nacieszyć, zanim się zestarzeję.

Los zdecydował inaczej. Posiadłość została sprzedana, a moimi brzożami cieszy się teraz kto inny.

Wracamy do Monachium. Droga jest kręta, po obu stronach piękne, górskie widoki. Widzę w oddali szczyty, przymglone, w niebieskiej poświacie. W pewnej chwili tuż przed nami wyrasta zawalidroga, omszały występ skalny.

- Uwważaj! - ostrzegam Jerzego.

- Nic się nie martw - odpowiada - znam dobrze tę drogę.

Z kim tu przyjeżdżał - myślę.

Dłuższy czas jedziemy w milczeniu, zaczynam odczuwać zmęczenie, prawie nie spałam tej nocy.

- Już nie chcę z nią być - mówi Jerzy nieoczekiwanie - dałem jej ostatnią szansę, nie skorzystała.

- A czy ona o tym wie? - pytam.

- Nie wie, ale się dowie.

- Nie musisz tego robić, ja i tak będę cię kochała.

Spogląda na mnie z uśmiechem.

- To jednak mnie kochasz? Od kiedy?

- Od Anioła - odpowiadam.

Spieszmy się, jestem umówiona na rozmowę /. niemiecką aktorką Jułiane Kohler, którą zachwyciły *Listy z rampy* i koniecznie chce je sfilmować. Niestety ten film nie powstanie, ale kilka lat później Jułiane zagra w innym obrazie: *Nigdzie w Afryce*, który otrzyma Oskara.

- Zaproszą ją do mnie - mówi Jerzy. - Po co macie się umawiać po kawiarniach.

- Jeśli to nie kłopot.

Przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Jerzy wynajął dla siebie i rodziny dom w dobrej dzielnicy, chwalił się nawet, że dostał duży limit na umeblowanie. Ale to wewnątrz mnie nie zachwyca, szczególnie skórzana kanapa w kolorze kanarkowym. Musiał wypróbować moją dezaprobatę:

- Sam je wybierałem, nie podobają ci się? To meble designerskie.

Dizajnerskie, co to za słowo - krzywię się w myślach.

- Ja wolę antyki - bąkam.

Pyta, czego się napiję. Proszę o herbatę. Znika w kuchni, a ja podchodzę do drzwi balkonowych, za którymi jest mały ogródek, niestety szyby są tak brudne, że niewiele przez nie widać. Słyszę w kuchni podniesione głosy, widocznie Jerzy kłóci się z córką, na tyle dorosłą, aby rozumieć, że kiedy ojciec nie wraca na noc, musi to coś znaczyć.

Ale on właśnie taki był, nie liczył się z niczym i z nikim, gdy w grę wchodziły jego uczucia. Kiedy kogoś kochał, gotów był zrobić dla niego wiele, kiedy uczucie stygło, odwrót był natychmiastowy. Nie liczył się z konsekwencjami takich swoich decyzji, nie obchodziło go, że ktoś cierpi. Teraz kochał mnie, więc musiała cierpieć jego rodzina, ale gdy z wolna zaczął się wycofywać z uczucia do mnie, do łask wracali jego bliscy, a cierpieć zaczynałam ja.

Biorę z półki album ze zdjęciami: po raz pierwszy widzę na fotografii Ikę, jestem zdziwiona, bo wyobrażałam ją sobie jako dorodną kobietę, a ona wyglądała przy Jerzym jak jego córka, nawet początkowo wzięłam ją za tę najstarszą, Olę, z którą ojciec kłóci się teraz w kuchni. Drogą dedukcji doszłam, że osoba na zdjęciu jest matką trzech dziewczynek, które na kolejnych fotografiach są coraz większe, tylko krajobrazy się nie zmieniają: morze, palmy. Widać, że rodzina spędzała tam corocznie wakacje.

Jerzy opowiadał mi o wypadku, który zdarzył się im na Sycylii, łąka wdrapała się na rzeźbę z brązu, konia z uniesionymi w górę przednimi nogami. Usadowiła się w siodle, a on podał jej najmłodsze dziecko, wtedy trzyletnie. I nagle jego żona straciła równowagę i spadła na ziemię, nie wypuszczając jednak z objęć córeczki. Dziecku nic się nie stało, ale matka rozbiła głowę i co gorsza straciła przytomność.

- Wyobrazasz sobie - mówił Jerzy - niosę ją na rękach, dzieci czepiają się moich spodni, płaczą...

Wtedy jeden, jedyny raz pomyślał, że coś do swojej żony czuje. Z uporem twierdził, że jej nie kochał, że bardzo o niego zabiegała, a potem było dziecko i nie miał wyjścia, musiał się ożenić. Ale chyba nie był w tym do końca szczery, coś go z nią łączyło, być może uczucie odrzucenia, które często myli się z miłością.

Łka zaraz po ślubie ze zdolnej prawniczki przemieniła się w zaniedbaną żonę, cały dzień chodziła w szlafroku, po powrocie do domu Jerzy zastawał nie-ludzki bałagan, w zlewie brudne naczynia i pętające się zasmarkane dzieci.

Jego samego łąka zaczynała traktować jak mebel, który w tej scenerii stawał się nieprzydatny, zawadzał. Kiedy zmęczony całym dniem kładł się na kanapie, do jego córek szedł przekaz: ojciec nic nie robi, tylko się wyleguje.

Najstarsza córka Jerzego wychodzi z kuchni, na chwilę tylko przystaje, lustrując mnie wzrokiem, po czym bez

słowa wbiega na schody i znika na górze. Jest niemal sobowtórem swojej matki, drobna, o trójkątnej twarzy. Trudno byłoby zgadnąć, że w przyszłym roku będzie zdawała maturę.

Po chwili pojawia się jej ojciec.

- Nie ma niestety herbaty, jest kawa, napij się?

- Nie, dziękuję, poproszę wodę mineralną.

- Wody też nie ma - stwierdza lekko zakłopotany - jest kawa.

- To dziękuję.

Obejmuje mnie ramieniem, siadając obok na kanarkowej kanapie.

- Poznałyście się z Olą?

- W pewnym sensie - odpowiadam i dodaję: - Może nie powinnam tu przychodzić.

- Dlaczego?

- Ona się chyba domyśliła, że coś nas łączy.

- Ale to nie powód, żeby stroić fochy - stwierdza ostro.

Rozlega się dzwonek. To Juliane. Serdecznie się witamy. Już się wcześniej poznałyśmy, przyszła do mojego stoiska, gdy podpisywałam książki na frankfurckich targach. Wyciągnęła mnie.

Jerzy proponuje jej kawę. Ona prosi o herbatę. Jeśli to nie kłopot, dodaje.

- Żaden kłopot - odpowiada niepewnie - tylko... chyba herbata się skończyła.

- Może być woda mineralna - stwierdza lekko aktorka.

<

Tym razem Jerzy pomija to milczeniem. Zaczynamy rozmawiać o filmie, jakie są szanse jego realizacji.

- Z twoją twarzą jesteś wymarzoną aktorką do tej roli - mówię i na to na górze odzywa się hałas, jakby ktoś przewracał meble, a potem dudnienie na schodach. Zbiega po nich córka Jerzego, przemierza salon, jakby nas tam w ogóle nie było, i wychodzi z domu, głośno trzaskając drzwiami.

Juliane jest wyraźnie zaskoczona.

- Ta dzisiejsza młodzież stara się ratować sytuację Jerzy.

Jest mi go żal, ale żal mi także siebie, bo zdaję sobie sprawę, że pokochałam mężczyznę po przejściach i może to oznaczać trudny początek naszego związku.

Kiedy odwozi mnie na lotnisko, rozmawiamy.

- To wszystko wina Iki - mówi - zniszczyła mój autorytet w oczach dzieci i widzisz, jakie są tego skutki, lekceważą mnie. One mają obraz ojca niedołągi, co nie potrafi wbić gwoźdźcia ani zreperować kranu, a pierwszy narzeczony ich matki potrafił, był, zdaje się, hydraulikiem, Ika by chciała, żebym utrzymywał dom i jednocześnie wszystko w nim robił, włącznie z myciem naczyń.

I szyb w oknach - dodaję w myślach.

Jak to było dawno. Nie pamiętam już siebie tamtej, tak bardzo szczęśliwej. Siedziałam w samolocie, który unosił mnie do Polski, i byłam gotowa uściskać wszystkich wokół i opowiedzieć im, co mnie właśnie spotkało. Dostałam dar od Boga. Tym darem był mężczyzna

i temu mężczyźnie chciałam rzucić do nóg cały świat. Chciałam podzielić się z nim wszystkim, co mam, teraz, natychmiast. I to był grzech pierworodny naszego związku, bo odwracałam ustalony porządek rzeczy. To mężczyzna zwykle rzucał kobiecie pod nogi cały świat, to mężczyzna obdarowywał i dzielił się wszystkim, co ma, ze swoją wybranką. Tak było od wieków, od czasu, kiedy człowiek jaskiniowy przyniósł swój pierwszy łup.

Co on kombinuje ten komisarz? Uważałam, że nikt i nic mi już nie może wyrządzić krzywdy, tyle się przecieży stało, ale on wyraźnie daje mi do zrozumienia, że podejrzewa też moje córki. Może zechce zarzucić im współudział w zbrodni? Oczywiście najpierw musiałby to udowodnić, ale one mogą zacząć się płatać w zeznaniach, przecież Gabi pogubiła się w sądzie przy sprawie o dom, co dopiero teraz, kiedy w grę wchodzi śmierć człowieka. A Lilka... nie mogę o niej myśleć bez bólu serca. Jej najbardziej mi brakuje, chciałabym jej zwrócić całą czułość, której nie zaznała w dzieciństwie.

Na początku kwietnia Jerzy przyleciał do Warszawy i zaraz następnego ranka wyjechaliśmy moim samochodem do Karwieńskich Błot. To było chyba najpiękniejsze dziesięć dni w moim życiu. Chodziliśmy na długie spacery brzegiem morza, jedliśmy ryby i pili wino w małej restauracyjce w Krokowej, zaraz obok odbudowującego się zamku. Nawet się martwiłam, że

piszę o jego ruinach, a zanim skończę książkę, on już będzie stał w całej okazałości.

Przybyła mi druga bohaterka, nazwałam ją Marianą. Wynałazałam w Internecie historię niemieckiej zakonnicy, która prowadziła polowy szpital położniczy w Zairze i niestety zmarła; zaraziła się od jednej z pacjentek wirusem HIV. Zainteresował mnie jej konflikt z papieżem Janem Pawłem II dotyczący antykoncepcji.

Kilka godzin dziennie pracowałam. Jerzy w tym czasie przeglądał polską prasę, był jej stęskniony, więc wykupowaliśmy pół kiosku, a wieczorami odczytywałam mu to, co udało mi się stworzyć.

- Temat jest niezwykły i wspaniale to opisujesz - mówił. - Skąd ty u licha wiesz, co się dzieje w duszy dwóch starych Niemek?

Raz jeden zadzwoniła do niego na komórkę żona, chodziło o niezapłacony podatek z czasów, gdy wspólnie prowadzili w Białymstoku firmę, chyba handlującą częściami do samochodów. Słuchałam, jak z nią rozmawia głosem pełnym życzliwości, i myślałam, że jednak nic jej o mnie nie powiedział, bo wtedy rozmowa przebiegałaby inaczej.

- Jaka macie pogodę? - spytał na zakończenie. Tu jest ładnie. Wracam za trzy dni, trzymaj się.

Nie wiedziałam jeszcze, że to jego „trzymaj się” przesądzało o wszystkim. W czasach naszej miłości witał mnie i żegnał słowami „cześć, kochanie”; kiedy już było wiadomo, że to koniec naszego związku, ale jeszcze mieszkaliśmy razem, on zajmował Freta i nie miałam się dokąd wyprowadzić, też mówił do mnie

„trzymaj się”, a ja odbierałam to jak cios nożem. Teraz „kochaniem” były już tylko jego córki, zwracał się do nich identycznym tonem, jak kiedyś do mnie. I przestał chodzić po domu nago. Gdy tylko pojawiałam się w kuchni, gdzie rano urzędował, wkładał szlafrok. Widocznie uważał, że mając status obcej osoby, nie mogę oglądać go w negliżu.

Odwoziłam Jerzego na lotnisko z uczuciem, że sobie bez niego nie poradzę. On musiał być blisko, musiałam czuć ciepło jego ciała, słyszeć jego głos, aby w ogóle istnieć. Ale nasz czas, nasz krótki urlop od świata się kończył i trzeba było z powrotem zacząć respektować jego prawa. Konsul Baranjechał do Monachium, a piosarka Sworowicz do Brwinowa. Co prawda tylko na chwilę, bo miałam zamiar wrócić nad morze, aby dokończyć tam książkę.

- Będziesz zajęta, zobaczysz, to szybko zleci - pocieszał mnie - a w czerwcu wyjeżdżamy przecież na Sri Lankę... Załatwię to w biurze podróży w Niemczech, stamtąd jest dużo taniej.

Zadzwoił z Monachium.

- Cześć, kochanie - usłyszałam - nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale nie bardzo mnie stać na ten wyjazd, mamy z Iką debet na koncie.

- W porządku - odpowiedziałam szybko - powiedz tylko, ile mam ci wysłać pieniędzy.

Prawie po roku odwiedziłam swoją siostrę, przedtem nie byłam w stanie się na to zdobyć. Pewnie z miej-

sca bym usłyszała: „A nie mówiłam?” Mówiła, i to nie raz. Apelowała do mojego rozsądku, straszyła, że przez swoją lekkomyślność skończę pod mostem.

Patrzyłam na nią, jak krząta się po kuchni w swoim warszawskim mieszkaniu, szurając nogami niczym stara kobieta. Ale przecież nią była, dobiegała osiemdziesiątki.

- Co z domem? - spytała. - Już go odzyskałyście?
- Jeszcze nie - odrzekłam.
- Ale są szanse?
- Mam nadzieję, że tak.

Moja siostra przyjrzała mi się uważnie.

- A co będzie, jeśli jednak nie odzyskacie domu?
- Wtedy będę o tym myślała. Te meble z Brwinowa, które są u ciebie...
- Ach, meble mogą tu być - przerwała mi. - Odziedziczycie wszystko po mnie, więc tak czy owak do was wrócą. Ale... - zawiesiła głos - swój majątek zapisałam po połowie Gabrieli i Piotrusiowi, bo wy z Lilką macie lekką rączkę i wszystko byście w mig przetracili.

Wzruszyłam ramionami.

- Twój majątek nie jest mi do niczego potrzebny, możesz go zapisać swoim kotom.

Zosia poczerwieniała na twarzy.

- Zastrzegłam w testamencie, że część sumy spadkowej przeznaczam na utrzymanie moich zwierząt i jako rozporządzającą tymi środkami wyznaczyłam Gabi.

- Po co się tak tym ekscytujesz - rzekłam znużonym głosem - przecież jeszcze nie umierasz.

- Ale w moim wieku wszystkiego można się spodziewać.

Bardzo mnie zmęczyła nasza egzotyczna podróż, dwanaście godzin w samolocie, i to w niezbyt komfortowych warunkach. W brzuchu airbusa odstęp między fotelami był za mały, więc siedziałam z kolanami pod brodą. Mnie było ciasno, a co dopiero mówić o Jerzym, w dodatku mieliśmy osobne miejsca. Potem jeszcze podróż zdezelowanym autobusem przez upiornie gorące, zatłoczone Colombo. I wreszcie hotel. W pokoju klimatyzacja! Oboje natychmiast wskoczyliśmy pod prysznic. Wysłałam potem na chwilę na balkon, a kiedy wróciłam, zastałam Jerzego w fotelu ze szklaneczką whisky. Jeszcze mnie to nie zaniepokoiło, ale pod koniec naszego dwutygodniowego pobytu już tak. Co prawda się nie upijał, ale był stale na rauszu, zaczynało mi to przeszkadzać. To samo w Karwieńskich Błotach. Ja szłam spać, a on urzędował na dole, kładł się około drugiej w nocy, taki miał zwyczaj, wystarczyło mu pięć godzin snu. Znajdowałam potem butelki po winie z mojej piwniczki. Po jego wyjeździe piwniczka była pusta.

Nie jestem typem podróżniczki, trudno mnie wyciągnąć z domu, ale jeśli już, to wolałabym pojechać do Włoch, do Francji. Jerzy wszystko widział i nie miał ochoty oglądać po raz drugi, uważał, że to obrazki z folderu turystycznego. Jego światem był Daleki Wschód. Poruszał się tam bezbłędnie, był niemal zadowolony. Podróżował wiele razy jako student, czę-

«

sto z braku fundusów nocując pod gołym niebem, na plaży. W czasie tych młodzieńczych wypraw towarzyszyła mu Ika, opowiadał, że kiedyś o mały włos nie skończyło się to tragicznie. Nocowali pod palmą i tuż obok jej głowy spadł dojrzały kokos.

Poczyniłam nawet pewne notatki z podróży na Sri Lankę, sądząc że może wykorzystam je potem w którejś książce. Jerzy stwierdził, że mam oryginalny sposób widzenia tamtego świata i nigdy się z podobnym opisem nie spotkał.

„Zewsząd otaczały mnie kolory, od których mieniło się w oczach. Takich barw nie znałam, z tej perspektywy Europa wydawała się zanurzona w mroku. Tutaj niebo było naprawdę błękitne, morze naprawdę szafirowe, a piasek na plaży - żółty. Niczym na dziecięcym rysunku. I tak się właśnie czułam, jak dziecko, które poznaje świat, albo jak ślepiec, któremu w cudowny sposób przywrócono wzrok. Znalazłam się nie tylko daleko od miejsca zamieszkania, ale także daleko od siebie. Nawet moje sny się zmieniły, śniły mi się teraz palmy, ukryte w zielonych liściach orzechy kokosowe, majestatycznie kroczące słońce.

Ale było też trochę tak, jakbym nagle straciła osobowość. Przestałam odbierać jakiegokolwiek sygnały od wewnątrz i chłonęłam tylko to, co widziały moje oczy, tę całą inność świata. Moja obecność na wyspie była jakby znieczuleniem na życie, zawsze się tego bałam, bałam się utraty kontroli nad rzeczywistością. Dlatego nie lubię alkoholu, a już przeraża mnie narkoza.

Muszę zawsze trzymać rękę na pulsie, na Sri Lance ten puls zanikał. Ktoś może powiedzieć, że takie wymazanie siebie to właśnie odpoczynek, wewnętrzna odnowa, ale ja czułam inaczej. Te wszystkie miejsca, które odwiedzaliśmy, narodowy park Sri Lanki z mnogością przedziwnych, nieznanych mi drzew i krzewów, muzeum orchidei, w którym każdy kwiat miał swój własny, niepowtarzalny wyraz, wreszcie sierociniec dla słońiątek porzuconych przez wyrodne matki. Wrażenia dominowały nade mną, to nie ja byłam w ich centrum, to one nabierały znaczenia i ważności, wchłaniały mnie, unicestwiała jako istotę myślącą. Inaczej niż na przykład przy obcowaniu ze sztuką, z wielkim malarstwem, które mnie unosiło, pogłębiało wewnętrznie... Ja jako ja na Sri Lance zanikałam, a powrót stamtąd miał być rodzeniem się od nowa, powrotem do samej siebie".

Coś podobnego odczuwałam w stosunku do Jerzego, jakby jego obraz też się zamazał. Byłam przerażona, bo przecież postanowiliśmy rozpocząć wspólne życie.

Co ja mu powiem - myślałam jak zapyta... Ale on na szczęście nie pytał, tak samo zmęczony zwiedzaniem i upałem, wieczorami wybierał whisky, nie mnie, i było mi to bardzo na rękę. Nie wiem, dlaczego tak wtedy czułam, może moja podświadomość coś mi nakazywała, a może uaktywniło się to trzecie oko, które przejrzało mojego partnera na wylot... Niestety nie na długo. Już w samolocie, w drodze powrotnej do Europy, kiedy się odwróciłam - Jerzy siedział kilka rzędów

za mną- i zobaczyłam jego głowę górującą nad fotelami, zrozumiałam, że go kocham.

Patrzmy na siebie. Żadne z nas nic nie mówi.

Więc nie doczekam się odpowiedzi? - pyta wreszcie.

- Nie, panie komisarzu, pan nie przychodzi do mnie na pogawędki - wypalam - pan liczy na to, że przyłapie mnie na niekonsekwencji albo że powiem o jedno słowo za dużo, co obróci się nie tylko przeciwko mnie, ale i przeciw mojej rodzinie. Nie jest pan przyjacielem, jest pan urzędnikiem śledczym.

- Dziękuję, że oszczędziła mi pani psa - uśmiecha się i oczywiście lekko mruży oczy.

- Psy to całkiem przyzwoite stworzenia, na pewno przyzwoitsze niż ludzie - stwierdzam.

I nie mataczą w śledztwie-dodaje.

- Czy to ma być do mnie?

- Może trochę. - Komisarz nagle zmienia ton: - Pani Nino, sytuacja jest poważna, jeżeli to pani strzelała do Jerzego Barana, proszę złożyć zeznania i ujawnić, gdzie jest narzędzie zbrodni. Nie wierzę, żeby dokonała pani tego z premedytacją, już zdążyłem panią poznać, czytając pani zapiski... Trochę opowiedziały mi córki.

- One zeznają? - spytałam, chyba nie potrafiąc ukryć przerażenia.

- A ustaliłyście inaczej?

Na chwilę spotykają się nasze oczy i w mojej głowie pojawia się myśl, że on już wszystko wie, i to, co

ja powiem, lub co one powiedzą, niczego nie może zmienić.

- Nie miałyśmy okazji, żeby cokolwiek ustalać - mówię, uciekając wzrokiem w bok. - Wtedy... był przecież wieczór... ja mieszkam na Starym Mieście, a one w Podkowie Leśnej... z samego rana zgłosiłam się do komisariatu...

Skończyłam książkę o dwóch starych Niemkach. Dzięki Jerzemu mogłam wykorzystać oryginalny list wysyłany z Watykanu z okazji Wielkiego Jubileuszu do dostojników kościelnych. Wycygał go dla mnie od znajomego proboszcza w polskiej parafii w Monachium. W mojej książce otrzymuje go umierająca i skonfliktowana z Watykanem i z samym papieżem zakonnica.

Jerzy był pierwszym czytelnikiem tej powieści, posłałam mu dyskietkę. Po kilku dniach zadzwonił:

- Jestem z ciebie dumny - oświadczył - napisałaś wybitną książkę.

Postanowiłam mu ją zadedykować. Był bardzo wzruszony. Kazałam usunąć dedykację z późniejszych wydań. Nie zrobiłabym tego, gdyby nie jego wypowiedź w tygodniku, który zamieścił reportaż o sprawie sądowej, jaką mu wytoczyłam. Ja rozmawiałam z dziennikarzem jako Nina Sworowicz, a on jako Jerzy B. Powiedział, że nie chce ujawniać swojego nazwiska, bo boi się stracić prestiż i klientów. Między innymi odniósł się do mojego pisarstwa. Stwierdził:

- Nie ceniłem tego, co ona pisze. Ma pewien talent narracyjny, ale wszystko to jakieś płytkie.

Tyle zostaje z wielkich uczuć, z wielkich nadziei. Ludzie, którzy się kiedyś kochali, spali w jednym łóżku, siedzieli przy jednym stole, nagle stają się wrogami, przerzucają między sobą rozżarzony węgiel, nie zważając na to, że parzy ich oboje.

Czy byłam wrogiem Jerzego B. ? To, że odebrał mi dom, że latami okradał mnie z pieniędzy, bo niestety tak to trzeba nazwać, nie było w naszych stosunkach czymś najgorszym. On wykorzystywał to, że jestem od niego słabsza.

Moja córka Lilka zapytała mnie, co bym zrobiła, gdyby Jerzy chciał do mnie wrócić? Czy przyjąłabym go z powrotem? Nie. Bo tego człowieka, którego kochałam, już nie ma.

- To dlaczego ciągle cierpisz?

Kiedy kochałam, wszystko miało inną barwę, inny zapach. Teraz nie potrafię się odnaleźć w czarno-białym świecie. To tak, jakby dwie połowy mojego mózgu nie przystawały do siebie. Jedna gromadziła oskarżenia, wytykała błędy jego i moje, skazując nas na wieczną rozłąkę, a ta druga ciągle tkwiła w przeszłości, w tym, co było piękne między nami.

On tak powiedział:

- Nie wszystko było złe, były też piękne chwile.

Tak szybko się z naszym rozstaniem pogodził i zaczął organizować sobie życie bez mnie. A dla mnie życie bez niego straciło sens. Jeszcze mieszkaliśmy pod jednym dachem, ale już mnie nie dostrzegał. Zawsze był niedojrzały uczuciowo, dlatego tak łatwo przy-

chodziło mu zrezygnować z uczuć. Sam mi opowiadał o kobiecie, z którą spędził dwa lata. Po raz pierwszy odszedł wtedy od swojej żony.

- Kochałeś ją? - spytałam.

- Tak, kochałem ją - odrzekł.

Ona była sędzią, a on radcą prawnym, a więc łączyła ich miłość zakazana. Mimo to zamieszkali razem.

- Wszyscy mi zazdrościli - chwalił się.

Była wyższa od niego, ale mu to nie przeszkadzało.

- Nie mam kompleksów - mówił, i ja to mogłam potwierdzić.

Pani sędzia, mimo wysokiego wzrostu, nosiła obcaszki i nie lubiła nosić majtek. Ale jemu to też nie przeszkadzało, był nawet zachwycony.

Zostawił ją z dnia na dzień, oświadczając, że wraca do dzieci.

Żaliła się potem:

- Otworzyłam usta, chciałam coś powiedzieć, a on odszedł...

- Dlaczego odszedłeś - spytałam - skoro ją kochałeś?

Zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Bo chciała za dużo!

A na pytanie naszej wspólnej znajomej, dlaczego nasz związek się rozpadł, oświadczył:

- Za duże wymagania!

Ze swojej kanapy usłyszałam rozmowę córek.

- Ja też kocham bez wzajemności - powiedziała Gabi z goryczą. - Własną matkę.

Zrobiło mi się przykro. Starałam się dzielić uczucia do swoich dzieci sprawiedliwie, ale być może nie zawsze się to udawało. Niełatwo mi się z Gabi porozumieć, bo mamy tak różne doświadczenia życiowe. Ona po śmierci męża zamknęła się w swoim zakonie, poświęcając się dla innych. To oczywiście bardzo szlachetne, ale co z jej życiem? Nawet wtedy, gdy żył jej mąż, było wyciszone, jakby dla niej samej nieważne. Liczył się tylko on, Mirek. I nawet miałam do niego o to pretensje, że tak łatwo przyjmuje jej rezygnację z samej siebie, że czerpie bez umiaru. Niemal z miesiąca na miesiąc w ich związku jego było coraz więcej, a Gabi coraz mniej, gdyby los tego nie przerwał, mogłaby do końca utracić siebie. Teraz przynajmniej sama podejmuje decyzje, jakie są takie są ale sajej własne. Moja córka chyba czuje się szczęśliwa w tym świecie zagubionych dziecięcych dusz.

Nie mogę powiedzieć, że jesteśmy typową rodziną już z tego chociażby powodu, iż jej większość stanowią kobiety, jedynie Piotruś zmienia nieco statystykę. Ale podobnie działo się w rodzinie Jerzego. On sam był dzieckiem z rozbitego małżeństwa, ojciec odszedł do innej kobiety, gdy był małym chłopcem. Jego i młodszą siostrę wychowywała matka, kobieta o silnej osobowości, żeby nie powiedzieć apodyktyczna. Miała duży wpływ na syna i chociaż starał się przed tym bronić, nie bardzo mu się to chyba udawało. Wbrew

jej woli postanowił zdawać na prawo, podczas gdy ona chciała zrobić z niego lekarza, i traktował to jako swoje największe nad nią zwycięstwo. Do końca bardzo liczył się z jej zdaniem.

Pamiętam taką ich rozmowę, kiedy zadzwonił do niej już z Brwinowa i oświadczył, że nie wraca nie tylko do Monachium, ale także do Iki.

- Zastanów się, co chcesz po raz drugi zrobić swoim dzieciom - powiedziała ostro. - Już raz je zostawiłeś dla jakiejś kobiety, teraz chcesz to powtórzyć? Co z ciebie za ojciec?

- Ich matka zrobiła ze mnie nieudacznika, faceta, który ma dwie lewe ręce i właściwie do niczego się nadaje. Moje córki przestały mnie szanować, nie mogą do tego dopuścić. Nie odchodziłem do żadnej kobiety, odszedłem od żony, to duża różnica - tłumaczył się niczym uczeń. Była zresztą nauczycielką przed emeryturą, uczyła języka polskiego w liceum.

- Ale jak już wróciłeś do domu, to tam pozostań! - grzmiała do słuchawki.

- Ja nie mam domu - odrzekł głosem małego chłopca.

Ta wojna podjazdowa Iki tylko częściowo była prawdziwa. Jerzy manipulował swoim otoczeniem, także osobami mu najbliższymi. Może miał taki charakter, a może z racji zawodu, który uczy pokrętnych zachowań. Był inteligentny, bystry i niezwykle ambitny. Już jako bardzo młody człowiek założył sobie, że dorobi się majątku, co uważał za główny atrybut męskości.

<

Marzeniem jego życia był hummer, pojazd pancerny, wchodzący w skład wyposażenia armii amerykańskiej, ale istniała też wersja cywilna, dostępna na rynku. Kupowali go tak zwani twardziele, oczywiście dysponujący odpowiednią kasą.

To szybkie dorabianie się jakoś mu nie wychodziło, mijały lata, a status Jerzego Barana pozostawał bez zmian: prawnik na dorobku. Nie pomagała mu w tym Ika, która okopała się na pozycji żony i matki i nie chciała być nikim innym. Być może uważała, że rodząc trójkę dzieci, zabezpieczyła swoje życiowe interesy. Ale według niego i w tym nie była dobra, nie wypełniała swoich obowiązków ani za dnia, ani w nocy. Twierdził, że przez te osiemnaście lat mógłby policzyć na palcach zbliżenia, do jakich między nimi doszło. Tylko przed ślubem Ika starała się przywabić go na wszelkie możliwe sposoby, nosiła dekolty i spódniczki mini i mimo niskiego wzrostu wyglądała w tym całkiem seksownie. Chociaż nie była w jego typie, bo podobały mu się wysokie kobiety. No a potem był ślub, dziecko. I mężczyzna przestawał być potrzebny. Spełniwszy swoją rolę prokreatora, powinien być na tyle taktowny, żeby usunąć się na dalszy plan. I Jerzy się usunął, wyjechał do Niemiec na poddyplomowe studia prawnicze. Czasy były takie, że jego stypendium wystarczało na utrzymanie całej rodziny, poza tym istniała jeszcze ta podupadająca firma części samochodowych, Ika prowadziła ją teraz wraz z młodym człowiekiem, który w czasach, gdy Jerzy był prezesem spółki, pełnił rolę jego zastępcy. Na świecie było już dwoje ich dzieci, Ola i młodsza o dwa lata Ewa.

On z uporem twierdził, że nigdy nie kochał swojej żony, ale Ika ciągle się w naszych rozmowach pojawiała i tak o niej opowiadał, jakby to wszystko złe wydarzyło się wczoraj, a nie ileś tam lat temu.

- Jechałem z Hamburga dwa tysiące kilometrów, żeby ona się do mnie uśmiechnęła - mówił z żalem.
- A ona?

Na jego widok wyciągała odkurzacza i zaczynała sprzątać mieszkanie, oczywiście w szlafroku. Włosy niemyte od dwóch tygodni.

- A poza tym nasza najmłodsza córka, Kasia, nie jest moim dzieckiem - wyznał, co mnie bardzo zaskoczyło. - Kocham ją, ale nie jestem jej ojcem.

Już od dawna podejrzewał Ikę o romans ze swoim zastępcą, młodszym od nich obojga o dziesięć lat. I nagle ona ni z tego, ni z owego przyjeżdża do Hamburga. Tym razem bez dzieci, zostawiła je u swojej matki. I zachowuje się tak, jakby rozpoczynali okres narzeczeństwa. Tuli się do niego, uśmiecha. Idą razem do opery, a potem wracają na noc do wynajętej przez Jerzego kawalerki.

- Nie byliśmy ze sobą od czasu urodzenia się Ewy - opowiada - a teraz ona mnie po prostu zgwałciła.

I ten jeden jedyny raz wystarczył, aby żona Jerzego zaszła w ciążę.

- Nic nie powiedziałem, jak mnie o tym zawiadomiła - zakończył - ale wiedziałem swoje.

Co to za kobieta - myślałam oburzona i bardzo mu współczułam, a także lepiej zrozumiałam jego decyzję o odejściu z domu, tak za pierwszym, jak i za drugim

razem. Trudno się przecież pogodzić z faktem, że jest się wykorzystywanym w taki sposób.

Historię tę Jerzy opowiedział mi w czasie kwietniowego pobytu w dwutysięcznym roku w Karwieńskich Błotach, a jego najmłodszą córkę, Kasię, zobaczyłam po raz pierwszy półtora roku później, właśnie tam, nad morzem, dokąd przywiózł ją na wakacje. Dwie starsze córki poznałam już wcześniej, z łatwością mógłby się ich wyprzeć. Ola przypominała swoją matkę, a Ewa, wtedy szesnastoletnia, była wysoką czarnobrewą pięknie zbudowaną dziewczyną niepodobną do żadnego z rodziców. Natomiast ta najmłodsza to skóra zdarta z ojca, czyli z Jerzego Barana. Rozpoznawałam jego czoło, oczy, nos, usta i ciężką sylwetkę. Żaden sąd by nie uwierzył, że to nie jego dziecko, zbędne byłyby nawet badania DNA.

W odpowiedniej chwili powiedziałam mu o tym spostrzeżeniu, ale tylko się ironicznie uśmiechnął. Wiedział swoje. O co tu chodzi, myślałam, z kim on prowadzi grę. Dzisiaj wiem, że ze wszystkimi, bez względu na to, kim byli - obcy czy bliscy, obojętni mu czy przez niego kochani. Bo przecież tak niestały w uczuciach do kobiet, nigdy nie przestał kochać swoich córek. A mimo to i one padały ofiarą jego manipulacji.

Pamiętam jedną z awantur pomiędzy nim i tą najstarszą Olą. Ze łzami w oczach wykrzyczała, że kiedy odszedł z domu do pani sędzi, zajmował się bardziej jej dziećmi, szczególnie synem, niż własnymi. Ola zaprosiła go na swój występ w kółku teatralnym. Była tym niezmiernie przejęta, w sztuce grała główną rolę

i bardzo jej zależało na obecności ojca. Ale on w tym czasie pojechał z synem tamtej kobiety na olimpiadę matematyczną, w której chłopiec brał udział.

To też dla niego typowe. Interesował się życiem moich córek, dopóki byliśmy razem, starał się zaprzyjaźnić z moim wnukiem, kiedy tu przyjeżdżał. Nie bardzo to co prawda wychodziło, bo zaprzyjaźnić się z Piotrusiem było naprawdę trudno. Pierwsze słowo, jakie Piotrek powiedział do niego, brzmiało: „nie”. Po naszym rozstaniu i ja, i moja rodzina przestaliśmy dla Jerzego istnieć. I to niemal natychmiast, z dnia na dzień.

Podobnie musiało być z dziećmi pani sędzi, zdaje się, że miała na imię Anna. Podejrzewam, że musiała bardzo przeżyć ich rozstanie. Kochała go, skoro dla niego zdecydowała się odejść od męża. Przeżyła z nim piękne chwile, to na pewno. Pierwszego wspólnego sylwestra spędzili w Wiedniu, na balu, gdzie bawiły się koronowane głowy. Tańczyli do białego rana, aż pani sędzia złamała sobie obcas. Czy podejrzewała wtedy, że ten mężczyzna stanie się przyczyną jej cierpienia, że odejdzie niemal bez słowa? Życie doświadczyło ją zresztą o wiele bardziej, bo kilka lat po ich rozstaniu uległa wypadkowi samochodowemu. W złą pogodę wjechała pod tira. Był z nią syn, który prawie nie ucierpiał, ona została sparaliżowana od pasa w dół, porusza się na wózku. Jerzy odwiedzał ją kilkakrotnie i za każdym razem wracał poruszony. Zdarzyło się, że pomagał pielęgniarce przełożyć ją z wózka na tapczan, była

zupełnie bezwładna. Chcąc jakoś rozładować sytuację, z typowym dla siebie poczuciem humoru powiedział:

- Aniu, nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek będę cię kładł do łóżka! -A ona się uśmiechnęła.

Podobno była bardzo atrakcyjna. Siostra Jerzego stwierdziła nawet, że znacznie atrakcyjniejsza ode mnie, no i dużo młodsza, na co odpowiedział:

- Nina jest bardziej interesująca!

Czy byłam o niego zazdrosna? Może to dziwne, po naszym rozstaniu nie zastanawiałam się, czy jest sam, czy znalazł sobie kobietę. Nawet gdyby tak było, nie cierpiałyby z tego powodu. Nie o to chodziło, że potrafiłabym się nim dzielić, chociaż przez te wszystkie lata przeszłam niezły trening w powściągnięciu wyobraźni na temat minionego małżeństwa mojego partnera. Rzecz w tym, że ono nie było minione, Ika była stale obecna w naszym życiu. I dlatego, że ciągle wynikały jakieś problemy: szkoła, potem studia dzieci, kupowanie tym dzieciom ubrań, butów, a w dalszej kolejności także samochodów. I dlatego też, że równolegle pojawiał się drugi wątek, w którym tak samo czynnie uczestniczyłam jako jedyna słuchaczka i pocieszycielka. Były to żale Jerzego, omawianie po wielokroć przewin jego żony, jej podstępного charakteru i nikczemnych działań.

- Rozповіда, że ją biłem! - ekscytuje się Jerzy. -A ja ją tylko raz ugryzłem w tyłek. Tak mnie zdenerwowała, że przewróciłem ją na kanapę i ugryzłem.

Najbardziej bolało, że próbowała go ośmieszać. Pamięta niedzielne popołudnie, kiedy pojechali z całą rodziną i Leserem, wtedy jeszcze szczeniakiem, do rezerwatu w Białowieży. Jerzy szedł przodem, prowadząc psa na smyczy, w pewnej chwili usłyszał, że córki z czegoś się śmieją. Odwrócił głowę i zobaczył Ikę, jak naśladując jego nieporadny chód, przetacza się z nogi na nogę i stawia stopy do środka.

Gdybym chciała opisać historię swojej miłości, jaką bym wybrała formę? I kogo bym uczyniła narratorem? Może Pana Boga? Przecież od Niego dostałam ten dar. Więc dlaczego skończyło się zbrodnią? Dlaczego rozwiązanie nie mogło być inne?

Oto dwoje ludzi, którzy się w sobie zakochali, żyło szczęśliwie do późnej starości. Szli razem przez życie, trzymając się za ręce. Niestety jedno z nich nie żyje, a to drugie...

Więc o czym byłaby ta książka, której nigdy nie napiszę? O ludzkiej chciwości? O braku wiary? O zdradzie?

Od kilku dni komisarz nie zagląda do mnie i muszę przyznać, że zaczyna mi tego brakować. Jego wizyty to mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. Oszczędzono mi tu towarzystwa, może dlatego, że jestem podejrzana o zbrodnię. Żałuję, że odmówiłam, kiedy mi zaproponował przyniesienie prasy.

- Żebym przeczytała: „Znana pisarka Nina S. zabija konkubenta...”? I dalej pikantne szczegóły z na-

<

szego życia, w rodzaju: „Była od niego znacznie starsza...”

- Nie może pani cały czas patrzeć w ścianę - rzekł, chyba naprawdę zmartwiony.

- Tak ma teraz wyglądać moje życie.

- Kto to powiedział?

- Ja. Ja, panie komisarzu. Jestem jak ktoś tak poparzony, że już nie rokuje nadziei - odparłam.

Nasze oczy się spotkały.

- Da pani sobie radę - usłyszałam. - Córka uważa, że jest pani z twardego materiału.

- Która córka?

- Ta z Londynu.

Brwinowskiej willi przybył nowy lokator, a ja nie posiadałam się ze szczęścia. Wszystko mnie cieszyło, wspólne śniadania i oczekiwanie jego powrotu z pracy, kiedy słyszałam charakterystyczny odgłos otwieranej pilotem bramy. Już jest - myślałam - za chwilę go zobaczę. Można by mówić o pełnej harmonii, gdyby nie zdarzenie, które o mały włos nie doprowadziło do naszego rozstania, i to niecałe pół roku po tym, jak Jerzy się do mnie wprowadził.

W piątkowy wieczór wrócił z Warszawy z dość zagadkową miną.

- Przed nami weekend - zaczął - mam coś dla ciebie, a raczej dla nas.

Ujął mnie za rękę, zaprowadził do sypialni i poprosił, abym przez chwilę nie patrzyła, jak rozpakowuje prezent.

- Już - usłyszałam - możesz otworzyć oczy.

Zobaczyłam równo ułożone na łóżku dwie pary koronkowych pończoch, białe i czarne, a obok nich krzyżując czerwone podwiązki.

- Co to jest? - spytałam, czując jak krew odpływa mi z głowy.

- Pończochy - odparł bardzo z siebie zadowolony.
- Włóż któreś z nich, kiedy będziemy się kochali.

Odrzuciłam się bez słowa i zamknęłam w łazience. Wszystko się we mnie trzęsło. Powróciła scena sprzed lat, którą z takim trudem udało mi się wymazać z pamięci. Ten chudy, lekko przygarbiony mężczyzna, jego żyłaste ręce, sposób, w jaki się obnażał. Niemal czułam na twarzy jego oddech.

Nie wiem, jak długo tak trwałam, skulona w kącie łazienki. Jerzy nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte od środka.

- Nina, co się stało? - spytał. - Żle się poczułaś?

- Chcę, żebyś się wyprowadził - odrzekłam.

Wydawało mi się, że nie potrafię być z tym mężczyzną, że nie chcę go więcej widzieć. I że jest taki sam jak tamten.

Usłyszałam, że odjeżdża samochodem i po jakimś czasie wyszłam z łazienki. Tak dobrze znane mi od dzieciństwa wnętrza wydały się nagle obce. Zrozumiałam, że bez Jerzego nie potrafię już tu być. Zadzwoiłam do niego na komórkę.

Odebrał natychmiast.

- Gdzie jesteś? - spytałam.

- Na Freta, w kancelarii - odparł, bardzo smutny.

- Wróć do domu.

Po paru dniach Jerzy spytał mnie, dlaczego tak dziwnie się zachowałam.

- Czy chodziło o te pończochy?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Chciałem dobrze - powiedział rozżalonym głosem - bałem się, że seks ze mną ci się znudzi.

Jerzy wprowadził się do willi pod koniec lipca, a w listopadzie wybraliśmy się na kilka dni do Karwieńskich Błot. Pogoda nie była najlepsza, nisko nad ziemią wisiały szare chmury, siał deszcz, ale mimo to pojechaliliśmy jego samochodem rodzinnym, jak nazywał swojego dodga. Kupił to auto na kilka miesięcy przed naszym spotkaniem, podczas pobytu w Kanadzie, bo to się lepiej kalkulowało finansowo. Teraz jednak uważał, że należy je sprzedać, gdyż dla nas dwojga było stanowczo za duże.

Zapowiadał się bardzo udany pobyt, zrobiliśmy nawet wypad do Gdańska, do kina na nowy film Michałkowa *Cyrułik syberyjski*. Usadowiliśmy się w jednym z ostatnich rzędów, jak przystało na parę zakochanych. Jerzy zagarnął mnie do siebie, tak że tylko głowa mi wystawała spod jego ramienia. To było dla mnie kolejnym odkryciem. Do tej pory podobne sytuacje widziałam tylko w kinie, gdzie ktoś kogoś przytula albo całuje, nie zważając na obecność innych. Film dłużył się niemiłosiernie, ale mnie to właściwie nie obchodziło, ważne było, że obok mam tego mężczyznę. W pewnej chwili wybuchliśmy śmiechem, gdy na

ekranie pojawił się Daniel Olbrychski zabawnie ucha-
rakteryzowany.

Wracaliśmy w bardzo dobrych nastrojach. Jerzy
włączył radio, usłyszeliśmy Edytę Bartosiewicz.

- Twoja ulubiona piosenkarka - powiedziałam.
- Żeby tylko nie śpiewała o domu ze ścianami z lodu.

- Tamtego domu już nie ma - odrzekł poważnie
- teraz jest dom prawdziwy i jest w nim ciepło.

Za Wejherowem zjechaliśmy w pełną zakrętów leś-
ną drogę. Zobaczyłam za nami światła jakiegoś samo-
chodu i powiedziałam o tym Jerzemu.

- Wydawało ci się - stwierdził. - Kto o tej porze
i w taką pogodę wybiera się na wycieczkę?

Karwieńskie Błota były wyspą ciemności, paliła
się tam tylko jedna latarnia, i to na początku wsi. No
i jeszcze migotało światełko nad drzwiami wejściowy-
mi do mojego domu. Otworzyłam bramę, Jerzy wje-
chał na posesję.

- Poczekaj chwilę, wyłączę alarm i otworzę ci ga-
raż - powiedziałam.

- Jestem zmęczony - odparł - zostawię samochód
na parkingu...

Poszłam spać, a on swoim zwyczajem urzędo-
wał na dole, podobno do czwartej nad ranem. Potem
wszedł na górę.

Rano wstałam pierwsza, krzątałam się po kuchni,
przygotowując śniadanie, w pewnej chwili podeszłam
do drzwi balkonowych. Zaskoczyło mnie, że parking
przed domem jest pusty, ale doszłam do wniosku, że

widocznie Jerzy wstawił auto do garażu. Nie potwierdził tego, kiedy zszedł na dół.

- Więc gdzie jest twój samochód? - spytałam, czując lodowate zimno.

- Chyba go ktoś ukradł - usłyszałam jego niepewny głos.

- Tutaj? O tej porze roku, kiedy nie ma żywego ducha... jedynie kilku Kaszubów... Ale nikt z nich by czegoś takiego nie zrobił - mówiłam rozgorączkowana.

Jerzy podszedł i objął mnie.

- Nie martw się, kochanie - powiedział - widocznie tak miało być, ten samochód miał odejść od nas, no i odszedł...

- Ale to wielka strata!

- Był ubezpieczony, dostanę odszkodowanie, na pewno na tym nie stracę - uspokajał.

Zadzwoiłam do Gabi, przyjechała po nas moim volvem, na szczęście zostawiłam dowód rejestracyjny w domu.

W drodze powrotnej Jerzy powiedział coś zastanawiającego:

- Dobrze, że nie ma już tego dodga... widziałem go w myślach po katastrofie, ze zmiażdżoną maską - i zaraz dodał: - może dlatego, że nie miał ABS-u, nie było mnie wtedy stać na droższy model.

Jaki naprawdę był Jerzy? Moja siostra powiedziała: „Po kim ty płaczesz, on był małym człowiekiem...” Ale ja jednak zdążyłam go trochę poznać. Był taki i taki,

z pewnością jego chory stosunek do pieniędzy, potrzeba ich gromadzenia sprawiały, że potrafił być bezwzględny. W sprawach drobniejszych wyłaziło jego skąpstwo, które mnie denerwowało, ale częściej śmieszyło.

Pamiętam scenę na Sri Lance. Zwiedzaliśmy fabrykę herbaty, właściciel polecił, aby pokazano nam także pola, na których się ją uprawia. Pomiedzy rosnącymi w równych rzędach krzewami poruszały się kobiety z płóciennymi, przewieszonymi przez plecy workami i zrywały dojrzałe już listki. Jedna z nich podeszła i ujęła mnie za rękę, a inna wzięła za rękę Jerzego. Oprowadzały nas po tym polu, pokazywały, jak dojrzewa herbata i które listki należy zrywać. Tubylki na końcu pięknie się nam pokłoniły. Ja tej swojej oprowadzającej dałam banknot, podziękowała z uśmiechem, a Jerzy tej drugiej wysypał na dłoń kilka drobników, spojrzała na nie, a potem z pogardą rzuciła na ziemię.

- Kto nie szanuje pieniądza, zawsze będzie biedny
- powiedział urażony.

W którym momencie on uznał, że już nie chce ze mną być? Nie potrafię jasno określić tej granicy. Zaczęliśmy się kłócić, o głupstwa, o drobiazgi, ale gdzieś tam pod skórą narastał poważny konflikt: o sposób życia. Nie mogłam się pogodzić z tym, że zaczyna mieć dla mnie coraz mniej czasu. Na początku odebrał mi spacer, te wieczorne spacer, na które czekałam cały dzień. Zwykle szliśmy objęci, przez szosę do Podkowy Leśnej i tam robiliśmy rundę wokół pięknych starych willi. Czasami przystawaliśmy, podziwiając ich urodę.

- Jednak co stylowe, to piękne, tego mnie nauczyłaś - powiedział.

A ja przypominałam sobie podróż do Białegostoku, do domu Jerzego, który był teraz jego domem tylko w połowie, bo przeprowadzili z Iką rozdzielność majątkową. Chciałam, żeby zrzekł się swojej połowy, bo nam nie była do niczego potrzebna, ale on się strasznie oburzył, po raz pierwszy zobaczyłam jego złe oczy.

- To za moje pieniądze! - powiedział.

Dom był duży, obity sidingiem i w środku tylko częściowo wykończony, bo w pewnym momencie zabrakło na to funduszków. Ale na parterze same marmury: podłogi, kominiek, złożone ozdoby, niestety wszystko w bardzo złym guście. Te podłogi przykryto wykładzinami. Po wyjeździe właścicieli do Niemiec dom wynajmowano.

Prywatne rzeczy zostały zniesione do piwnicy. Zeszliśmy tam, bo Jerzy czegoś szukał. Przekładał stopy ubrań w pękatej szafie, a ja rozglądałam się po jego poprzednim życiu, które było teraz zamknięte w kartonowych pudłach. Między innymi zauważyłam fotelik dla dziecka, taką przystawkę do stołu, i naszała mnie refleksja, że nie będę mogła rywalizować z jego poprzednim życiem, że ono będzie się wdzierało w nasz związek każdą możliwą szczeliną i kto wie, czy go w końcu nie rozsadzi. Symbolem mojej przegranej walki miał być właśnie ten dziecięcy fotelik, który z pewnością należał do jednej z córek Jerzego.

Odbierałam ten czas po moim rozstaniu z Jerzym, jakbym przestała oddychać. Widocznie miłość nawet w takiej sytuacji potrafi się obyć bez respiratora i podtrzymuje niechciane życie.

Nie mogłam wyjść ze zdumienia, jak łatwo ten mężczyzna ze mnie zrezygnował. Kody, które jedynie my znaleźliśmy, nadawały się już tylko do kosza. Jemu przestały być potrzebne, a gdybym ja chciała jeszcze z nich korzystać, byłoby to tylko żałosne. Nasze wspólne życie waliło się w gruzy i nic już nie mogło tego powstrzymać. Moja decyzja przepisania na niego domu w Brwinowie, wbrew moim nadziejom, tylko ten koniec przyspieszyła. Zrozumiałam to, gdy wyszliśmy od notariusza. W jego oczach odczytałam na siebie wyrok.

To było dwudziestego piątego kwietnia dwa tysiące szóstego roku, a kilka dni później zostawił mnie samą na długi majowy weekend. Wybierał się do Białegostoku, do swoich córek, i nie zawrócił, kiedy się okazało, że miałam wypadek samochodowy. Pojawił się po tygodniu, bo zatrzymały go na dłużej sprawy służbowe, ale nie omieszkał się pochwalić, że zwiedził z córkami Wilno. Do tego Wilna wybierał się ze mną od kilku lat i jakoś ciągle brakowało mu czasu.

Było coraz gorzej. Jerzy już otwarcie dawał mi do zrozumienia, że coś się skończyło, i bez skrępowania snuł plany na przyszłość. Oczywiście beze mnie.

Siedząc w szlafroku przy kuchennym stole i popijając whisky, głośno myślał:

— Może związę się z jakąś wdową, nawet mogłaby być z dzieckiem, najlepiej sześć-, siedmioletnim. By-

łoby odchowane, ale na tyle małe, abym mógł nawiązać z nim kontakt...

- Tak?! - odkrzyknęłam z kanapy przed telewizorem. - To oddaj dom!

- Sama mi go zapisałaś.

- Na chwilę!

- Nie - roześmiał się. - Ty mi ten dom zapisałaś, bo jak się jest starszą, trzeba płacić!

Zerwałam się i zaczęłam okładać go zwiniętą w rulon gazetą. Waliłam na oślep, gdzie popadnie. Złapał mnie za rękę, był ode mnie silniejszy. Chyba oboje nie wiedzieliśmy, jak to się stało, że nagle znaleźliśmy się w łóżku. Było coś rozpaczliwego w tym poszukiwaniu fizycznej bliskości z mojej, ale także i z jego strony. W odurzeniu alkoholem i pożądaniem powtarzał:

- To nie jest tylko seks, to nie jest tylko seks...

Chyba w tamtym momencie oboje pragnęliśmy, żeby to nie był tylko seks. Ale co innego to znaczyło. Ja chciałam ocalić miłość, a on na krótką chwilę przestraszył się zmiany.

Następnego dnia wyprowadziłam się do córki.

Zobaczyłam go dopiero po dwóch latach, na sali sądowej. Właściwie się nie zmienił, przybyło mu jedynie siwych włosów.

Kiedy się jest odizolowanym od świata, jak ja teraz, rozbudowuje się nadmiernie życie wewnętrzne. Dręczą mnie fleshbacki, zupełnie jakby ktoś uruchamiał w moim mózgu przycisk i natychmiast pojawiał się obraz, z niezwykłą dokładnością oddający nastrój

chwili, która przeminęła. To okrutna zabawa. Ale czyja? Podświadomości? Wychodziłoby na to, że ja sama jestem swoim katem, bo przecież to wszystko działo się w mojej głowie. Człowiek, którego dotyczyły moje emocje, żył już innym życiem, mieszkał w innym domu, spotykał się z innymi ludźmi, najprawdopodobniej był też z inną kobietą. Ale czy powinnam winić go za to? Przecież ja też mogłam żyć inaczej, tylko ode mnie to zależało. No tak, ale gdybym mogła!

Kilka dni po pierwszej rozprawie Jerzy nieoczekiwanie zatelefonował.

- Chciałbym się z tobą zobaczyć - powiedział.
- Ale bez adwokatów i innych osób.

Te inne osoby to były oczywiście moje córki.

- W jakiej sprawie? - spytałam.

- W naszej.

- Nie ma już naszej sprawy - odrzekłam ostro.

- Więc w twojej. Albo, jak wolisz, w mojej.

Po chwili milczenia dodał:

- Chodzenie po sądach, to nie jest to, co powinnaś robić.

- Zabrałeś mi dom - wybuchnęłam - nie tak się umawialiśmy.

- Umawialiśmy się, że dom będzie na mnie, a ty będziesz ze mną mieszkała. Nie kazałem ci się wyprowadzać.

Pomyślałam, że albo któreś z nas zwariowało, albo wszystko, co się do tej pory wydarzyło, to ponury żart.

Nie było mojej dramatycznej wyprowadzki ani naszego spotkania w sądzie.

Jerzy musiał odczytać moje myśli, bo powiedział:

- Właściwie nie wiem, dlaczego się rozstaliśmy.
- Byłeś miłością mojego życia.
- A ty mojego.

Potem długo nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Dlaczego on to powiedział? Czy można kogoś kochać i jednocześnie go oszukiwać? A jeśli można?

Powtórzyłam tę rozmowę Lilce. Moja córka uśmiechnęła się ironicznie:

- Mamusiu, on dalej próbuje tobą manipulować. Wyczuwa twoją słabość. Nie spotykaj się z nim. Będziesz tylko cierpiała.

Jerzy już się do mnie nie odezwał. Zobaczyłam go dopiero na kolejnej rozprawie w sądzie, ale tam byliśmy od siebie bardzo daleko.

Wczoraj był tu komisarz Zawadka i muszę przyznać, że ucieszyłam się na jego widok. Do tego doszło. To jest skądinąd dla mnie bardzo niebezpieczne, bo jeżeli przestanę się kontrolować, łatwo mogę wpaść w jego sieci. Nie ulega wątpliwości, że je na mnie zastawia. Ale to chyba zrozumiałe, że zaczynam Ignąć do kogoś, kto jest moim jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym.

Wszedł, usiadł naprzeciw mnie, na sąsiedniej, puśtej pryczy. Uśmiechnął się.

- Możemy porozmawiać? - spytał, a widząc moją minę, dodał szybko: - Bez żadnego nagrywania, na wpół prywatnie.

- Co to znaczy na wpół prywatnie? - odrzekłam ostro. - Nie znam takiego określenia, można rozmawiać albo prywatnie, albo służbowo, na wpół się nie da.

- Da się, da się, pani Nino, skoro nie ma innego wyjścia - powiedział ugodowo. - Nie chce pani złożyć zeznań, co uważam, leży w pani interesie, to niech mi pani chociaż podpowie, jak mam prowadzić śledztwo, w którą iść stronę?

- Przecież ja nie wiem!

- Na pewno wie pani więcej ode mnie, tylko trzyma to dla siebie. To duży błąd! - potarł nerwowo czoło. - Czy znane są pani kontakty służbowe denata z przedstawicielami mniejszych firm zagranicznych? Te z koncernem już sprawdziliśmy.

Słowo „denat” uderzyło mnie. Nie myślałam tak o Jerzym, bo nawet martwy miał dla mnie imię.

- Panie komisarzu, on trzymał mnie z daleka od swoich spraw. Nic nie wiedziałam poza tym, że kancelaria nie ma klientów i trzeba ją ciągle wspomagać moimi pieniędzmi. Kiedy ujawnił w sądzie pity i okazało się, ile naprawdę zarabiał, to był szok, dla mnie i dla moich córek.

- Wierzę pani - usłyszałam - bo znam taki rodzaj ludzi. Wszyscy działają podobnie, oszukują współników, rządziej kobiety.

- To okropne tak myśleć o sobie - powiedziałam nieoczekiwanie - do tej pory nie umiem się znaleźć w roli ofiary. To znaczy ja jestem jego ofiarą, a on moją - poprawiłam się.

- Tak to zrozumiałem - odparł, mrużąc oczy, ale już go trochę poznałam i wiedziałam, że rozumiał całkiem inaczej: że to nie z mojej ręki broń wypaliła. Postanowiłam tego nie drażyć, a nawet odważyłam się spytać o swoje córki.

- Wiem, że nie bardzo mi pan może udzielać takich informacji, ale chciałabym się tylko dowiedzieć, czy są zdrowe.

- Mają się dobrze - odparł.

- Więc nie zostały aresztowane?

- Z jakiego powodu, pani Nino? - Komisarz zrobił zdziwioną minę. - One z nami współpracują.

Otworzyłam usta, aby o coś jeszcze spytać, ale uniósł rękę:

- Nie, nic więcej się pani nie dowie.

Myślę zwykle o swoich córkach „dziewczyнки”, a one już dawno są kobietami. I nie mogę powiedzieć, żeby im się ułożyło życie. Czy dlatego, że nie ułożyło się mnie?

Tamta noc, kiedy Lilka stanęła w drzwiach łazienki. Miała dziewięć lat, w tym wieku budzi się w dziewczynce jej kobiecość. I myśmy tak na siebie patrzyły jak dwie kobiety. Chciała podejść, ale ją powstrzymałam. Z przerażeniem patrzyła na cienką strużkę krwi spływającą po moim udzie.

Potem już nigdy do tego nie wracałyśmy, dopiero ostatnio, gdy zaczęła tu często przyjeżdżać z Londynu.

- Czy ty wiedziałaś? - spytałam.

W milczeniu skinęła głową. Czym ta wiedza była dla niej? Czy zmieniła jej życie, tak jak zmieniła moje?

Na początku snułam plany o jednej dużej rodzinie, o tym, że jego córki będą przyjeżdżały do Karwieńskich Błot na wakacje: morze, piękna, piaszczysta plaża, obok stadnina. Ta średnia, Ewa, uczyła się jeździć konno, podobno było to jej pasją. Ale szybko zostałam wyprowadzona z błędu, bo przez pierwszy rok byliśmy z Jerzym bojkotowani, potem pojawiła się Ola, ale zachowywała się tak, że nawet cierpliwa nad wyraz Gabi kręciła głową.

- To prawdziwe półdiabły! - powiedziała.

Pomiędzy dwiema starszymi córkami toczyła się zawzięta rywalizacja, to znaczy Ola jak mogła, dokuczała tej młodszej. Ich ojciec tak to komentował: „chciałaby być jedynaczką i traktuje młodsze rodzeństwo jak konkurencję do uczuć rodziców”. A może tych uczuć jest za mało - pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno, bo nikt mnie nie upoważnił do wtrącania się w sprawy tamtej rodziny. Z Białegostoku płynęły do Brwinowa alarmujące sygnały, Ika nie dawała sobie rady z córkami. Dwie starsze prowadziły regularną wojnę, na szczęście najmłodszą zostawiały w spokoju.

Ciągle były telefony.

- Ola kopnęła Ewę w brzuch!
- Ola przycięła Ewę drzwiami!
- Obie spadły ze schodów. I jedną, i drugą trzeba było szyc.

Jerzy najwyraźniej faworyzował tę najstarszą i tłumaczył się, że jako jedyną ze swoich dzieci karmił ją przewijał, kiedy była tak mała, że mieściła się na jego zgiętej w łokciu ręce.

Dzieciństwo dwu pozostałych właściwie przegapił, bo najpierw pięć lat był na stypendium w Niemczech, potem na dwa lata zniknął z domu, a teraz znowu go z nimi nie było. Wyglądało na to, że najbardziej uszkodzona jest średnia, bo oczkiem w głowie Jerzego była Ola, matka z kolei wyróżniała najmłodszą Kasię. Bardzo polubiłam Ewę, ona jedna z tej trójki miała w sobie wrodzoną delikatność, usuwała się w cień. Zaobserwowałam tę różnicę w Karwieńskich Błotach. Ola zostawiała rozgrzebaną pościel, łóżko jej młodszej siostry zawsze było posłane i przykryte kapą. Wrzuciłam się bardzo, kiedy po jej wyjeździe znalazłam złożony w kostkę ręcznik.

Starsza siostra atakowała Ewę za to tylko, że w ogóle jest. A może dostrzegała jej niewątpliwą urodę? Bardzo możliwe. Udało mi się ją namówić, aby nie opatulała się w saunie tak szczelnie ręcznikiem i dała poodychać skórze. Zobaczyłam już nie dziewczynkę, ale kobietę.

Jerzy, który uważał się za dobrego psychologa, twierdził, że fascynacja Ewy jeździectwem ma swoje uzasadnienie. „Wy mnie nie kochacie, więc ja kocham konie!” Już jako nastolatka wierciła mu dziurę w brzuchu, aby jej tego konia kupić, i kiedyś, z nosem w gacie, nawet jej to obiecał. Miał potem spory kłopot, żeby się z tego wycofać.

Od początku związek z nim najstarszej córki wydawał mi się dziwny. Prowadzili między sobą grę z podtekstem erotycznym, nie do końca chyba przez nich samych uświadomionym. Psychologowie twierdzą, że pomiędzy ojcem i córką jest to czymś naturalnym, ale oni godzinami potrafili leżeć głowa przy głowie, trzymając się za ręce. Pomędzy mną a córką Jerzego związał się nawet pewien rodzaj rywalizacji, która z nas pierwsza zajmie obok niego miejsce na kanapie. Ich rozmowy: „Mam za bardzo odstający tyłek” - mówi Ola. „Niektórzy to lubią” - odpowiada on.

Primaaprilisowy żart:

Jechaliśmy z Jerzym do Karwieńskich Błot, gdy zatelefonowała:

- Mam dla ciebie newsa, tato - oznajmiła - wychodzę za męża. Na Wielkanoc.

- A mama o tym wie? - W głosie Jerzego oprócz zaskoczenia, wyczułam bezradność.

- Wie, już się zgodziła.

I nagle wybuchła śmiechem.

- Dziś pierwszy kwietnia!

Jerzy miał bardzo głupią minę. Nie wiem, czy trafił zdefiniować swój stosunek do Oli. Jego miłość do niej miała bardzo wiele odcieni, na pewno byli ojcem i córką, ale ich zazdrość o siebie, ich potrzeba wyłączności w uczuciu, bardziej przypominała relację pomiędzy kobietą i mężczyzną.

Jerzy twierdził, że paradoksalnie jego nieobecność może poprawić stosunki z córkami. Ich matka nie miała teraz możliwości, aby je przeciw niemu nastawiać

i, jak stale to powtarzał, „niszczyć ojcowski autorytet”.

Ale coś w tym jednak musiało być, bo kiedy przywiózł najmłodszą, Kasię, do Karwieńskich Błot, przekonałam się, jak jest rozpuszczona. Była wtedy z nami nad morzem Gabi i któregoś dnia wybraliśmy się wszyscy na wycieczkę na Mazury. Dzień był upalny, od rana świeciło słońce, wypożyczyliśmy łódź. My we trzy siedziałyśmy na ławeczce, a Jerzy wiosłował. W pewnej chwili zaczęliśmy o jakiś korzeń, on, chcąc nas uwolnić, złamał wiosło.

I wtedy dziewczynka zerwała się na równe nogi i wrzasnęła:

- Ty nic nie potrafisz! A w ogóle to jesteś leniem!

Jerzy spojrział na mnie porozumiewawczo:

- Sama widzisz!

Myślę, że rodzinę denerwowała jego nieporadność w zwykłych codziennych sprawach. Kiedyś w Karwieńskich Błotach poszedł narąbać drewna do kominika i wbił sobie siekierę w nogę. Nie chciał jechać na pogotowie, więc ja mu tę nogę opatrywałam, starając się nie okazywać rozbawienia. Ta jego niedźwiedzio-watość miała dla mnie pewien urok, chociaż, przyznając, mogła być męcząca.

Córki Jerzego nie chciały przyjeżdżać nad morze, wołały wycieczki do ciepłych krajów. Tak były przyzwyczajone. Jerzy, chcąc podtrzymać więzy rodzinne, jeździł z nimi, a ja siedziałam w Karwieńskich Błotach. W końcu namówił mnie do ich sprzedaży.

Nie uratowało to naszego związku. Moje stosunki z jego córkami też się nie ociepliły, może udało mi się zaprzyjaźnić trochę z Ewą, ale ona zawsze pamiętała, że ojciec odszedł dla mnie od jej matki. Sprytna Ola natomiast, kiedy zorientowała się, że wszelki bunt i podkopywanie mojej pozycji nic nie pomoże, stała się nadzwyczaj miła. Uradowany ojciec zakomunikował mi: „Ola powiedziała: wiem, Nina mnie nie lubi, ale już się przyzwyczaiałam, że jesteście razem”. Po takim oświadczeniu zaczęłam ciepiej o niej myśleć.

Potem rozpoczęła studia w Niemczech, rzadko się widywałyśmy, a na naszym związku z Jerzym pojawiły się pierwsze rysy. Natychmiast to uchwyciła, w kłótni powtórzył mi jej słowa: „Starałam się Ninę polubić, ale mi nie wyszło”. Pomyślałam, że to szkoła jej ojca, i przypomniała mi się jedna z naszych rozmów w willi w Brwinowie, kiedy dom należał jeszcze do mnie. Zepsuł się zamontowany w podziemiach i mocno już wysłużony piec gazowy. Wezwany hydraulik odradzał naprawę.

- Kupcie sobie państwo nowy, lepiej na tym wyjdziecie.

- Trzeba będzie o tym pomyśleć - powiedział Jerzy. - Zadzwoń do Iki. Doradza firmie rozprowadzającej takie rzeczy, może uda się dostać rabat.

- I powiesz jej, że to piec dla nas? - spytałam.

- Powiem, że to piec dla mnie - oświadczył i zaraz dodał: - No, nie wyobrażaj sobie, że ona chciałaby cokolwiek zrobić dla ciebie.

Pomyślałam wtedy, że to nie ja od niej odchodziłam i wracałam, to nie ja zawlokłam ją z dziećmi do

Niemiec, by potem skrócić ten pobyt, w końcu to nie ja uważałam ją za przyczynę wszystkich możliwych niepowodzeń. Ja powoli zaczynałam być spychana na podobną pozycję w jego życiu.

Znałam ją tylko ze zdjęcia, a przecież była kimś, kto na długo zagościł w moich myślach. Towarzyszyła Jerzemu w młodości, wymienili obrączki w obecności księdza, urodziła mu troje dzieci. Jaka była naprawdę, nie dowiem się nigdy. Poznawałam ją z opowiadań Jerzego i jej dobrej znajomej, zdaje się koleżanki szkolnej, która pierwszego lata odwiedziła nas w Karwieńskich Błotach. Powiedziała wtedy: „Właściwie to nie dziwię się Jurkowi, że nie mógł z Iką wytrzymać. Była wyjątkową niechlują. Takiego brudu i bałaganu, jak u nich, nie widziałam nigdzie, chociaż jako pediatra chodziłam po różnych domach, często bardzo biednych - i ciągnęła dalej: - Ika przy mnie myła pupę dziecku w zlewie, nad talerzami. Zrobiło mi się niedobrze na ten widok... ” Czy to brak higieny spowodował, że żona Jerzego, wyłączając w Kamieńskich Błotach z prądu lodówkę, zostawiła w niej rozpoczętą puszkę z mielonką i spory kawałek pasztetowej? Gdy otworzyłam ją po miesiącu, poczułam okropny smród. Przyszło mi do głowy, że Ika mogła to zrobić umyślnie, bo przyjmując wraz z najmłodszą córką moje zaproszenie do letniego domu, nie potrafiła mi wybaczyć kradzieży męża. Ale czy ja naprawdę go jej ukradłam? Czy Ika miała go kiedykolwiek?

Moja siostra Zosia, która zawsze musiała postawić kropkę nad i, wysnuła na ten temat cały wywód:

- Nie licz na to, że go w końcu ruszy sumienie - powiedziała - że będzie chciał naprawić krzywdę, jaką wam wyrządził. On nie ma sobie nic do zarzucenia. Uważa, że wszystko, co wam odebrał, słusznie mu się należało. Nie tylko dom, pieniądze, ale i twoje wokół niego zachody, to że go kochałaś, wielbiłaś niemal. Pewnie sądzi, że i tak dostał za mało, mógł ci jeszcze odebrać Freta, czyli ostatnie, co masz, z rzeczy materialnych. Być może do tego by doszło, gdyby nie twoje córki.

- Aż tak chyba nie było - odrzekłam cicho.

- Niestety, było aż tak. - Zosia nie dała się przebłagać. - Znasz określenie „święty potwór”? To twój Jerzy. Święty potwór zna tylko jedną deklinację: ja, dla mnie, o mnie. Nikt inny poza nim samym go nie obchodzi. Nawet jeśli myśli, że kogoś kocha, tak naprawdę kocha tylko siebie. Nie żałuj tego, co było. Ani przez chwilę nie byłaś kochana, byłaś mu tylko potrzebna.

Jerzy zagarniał ludzi, przedmioty, wszystko, co się znalazło w zasięgu jego rąk. Musiał mieć. I miał. Coraz więcej. Nieważne, jakim kosztem. Cena nie grała roli. Przecież płacili ją inni.

Kilka miesięcy po naszym rozstaniu zatelefonował.

- Nie wiem, czy powinienem... ale umiera mama...

Raz tylko spotkałyśmy się na neutralnym gruncie, w Kazimierzu.

- Pomogła pani Jerzykowi - usłyszałam - jestem pani bardzo wdzięczna.

Prawowitej synowej nie cierpiała. Jej telefoniczne rozmowy z synem polegały na wyliczaniu przewin tej

ostatniej. Jerzy otrzymywał cotygodniowe sprawozdanie z tego, co Ika zrobiła i czego nie zrobiła, i wszystko to było w najwyższym stopniu naganne. Jako mimowolny świadek rozmów dziwiłam się, że im się to nie znudzi. Jerzy potem dopowiadał, co matka sądzi o jego żonie. Było w tym tyle nienawiści, że zaczynałam brać stronę Iki, chociaż ona by pewnie sobie tego nie życzyła.

Teraz matka Jerzego umierała.

- Bądź przy niej do końca poradziłam mu - bo później sobie nie wybacysz.

Po tygodniu wybierałyśmy z Gabi w supermarkecie farby i kleje do mieszkania na Freta. Wlokłam się za nią, z uczuciem, że nie obchodzi mnie ani przyszły kolor ścian w pokojach, ani rodzaj parkietu. Dąb czy jesion, co za różnica.

Wtedy zadzwoniła komórka.

- Mama umarła na moich rękach - usłyszałam i otoczyła mnie czarna chmura.

Po wyjściu od siostry chodziłam ulicami, jakbym bała się wrócić do domu. Przypomniała mi się scena na Sri Lance, która długo nie dawała się usunąć z mojej świadomości. Zwiedzaliśmy z Jerzym schronisko dla słońniętek odrzuconych przez matki. Stary człowiek przed wejściem do tego sierocińca wyciągał rękę po datki od turystów. Musiał cierpieć na jakąś chorobę skóry, bo jego ciało upodobniło się do drzewa, z którego płatami schodzi kora. Tak właśnie linieje platan. Jerzy zaczął obfotografowywać biedaka w taki sposób, jakby na-

prawdę nie był on człowiekiem. Chory, z przeproszącym uśmiechem, obracał się w jedną i drugą stronę, aby umożliwić mojemu partnerowi jak najlepsze ujęcia. W pewnej chwili wyrwałam Jerzemu aparat, a tubylcowi wsunęłam w rękę zwitek banknotów.

- Ale ty jesteś nerwowa - rzekł obrażonym tonem.
- Przecież mamy wakacje, nigdzie nam się nie śpieszy!

Nic nie zrozumiał albo tylko udawał, że nie rozumie, bo tak mu było wygodnie.

Może ja też byłam dla niego kimś w rodzaju tego cejlońskiego żebraka, tyle tylko, że mój defekt nie był widoczny gołym okiem? Jerzy, jako bystry obserwator, z miejsca go odkrył i włączył mnie do swojej kolekcji odmieńców. Tak łatwo obracał moim życiem w jedną albo w drugą stronę, sprzyjał mu mój brak konsekwencji i nadmierna szczodrość, która bulwersowała bliskie otoczenie.

Może Zosia miała rację? Może on nigdy mnie nie kochał, nawet w pierwszym roku, kiedy wydawało się, że jednej chwili nie możemy wytrzymać bez siebie?

Wracaliśmy z Karwieńskich Błot dwoma samochodami, jeden prowadził on, jechały z nim jego córki, a drugi ja, w którym siedziała Gabi.

Pogoda była paskudna, ciemno, zaczął padać deszcz. On często dzwonił na moją komórkę:

- Gdzie jesteście, myszki? Jedźcie ostrożnie, bo ślisko.

A potem był postój po drodze, na jednej ze stacji benzynowych. Przypadliśmy do siebie z Jerzym, jak byśmy się co najmniej pół roku nie widzieli.

Gabi się śmiała:

- No, całkiem Romeo i Julia!

Czy on wtedy udawał, czy tylko myślał, że mnie kocha? A może jednak kochał mnie naprawdę?

Z pewnością nie kochał mnie już, kiedy do niego zadzwoniłam po wyprowadzce do córki. Dalej mieszkał w Brwinowie, a właściwie przyjeżdżał tam tylko na noc.

- Pozwól mi wrócić do domu i do siebie - poprosiłam.

- Nie wiesz - odrzekł na to - że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki? Ani do domu, z którego się odeszło?

- Zabrakło w tym domu miłości, tak myślałam, ale jest mi źle, bardzo za tobą tęsknię... Chyba nie potrafię już bez ciebie żyć. - Mówiłam to, zdając sobie sprawę, jak bardzo się w tej chwili przed nim odkrywam, wręcz poniżam, ale nie miałam siły walczyć ze sobą, ze swoją słabością.

I wtedy Jerzy powiedział coś takiego:

- *Porta semper aperta est!* - brama zawsze otwarta, ale po tonie jego głosu zorientowałam się, że mnie nie zaprasza.

Potem się dowiedziałam, że tak mówiono do samobójców i pomyślałam, że nic bardziej okrutnego nie można powiedzieć drugiemu człowiekowi.

Dwa miesiące temu, jak to niedawno i dawno zarazem, przyjechał z Londynu Piotruś. Kiedy stanął w drzwiach, prawie go nie poznałam, tak wyrósł i zmężniał. Nie wiem, czy w jego wieku się jeszcze rośnie. Może po prostu zapomniałam, jak wygląda. W mojej pamięci utrwalił się obraz małego chłopca, bo wtedy byliśmy ze sobą na co dzień.

Przy powitaniu prawie uniósł mnie do góry, nic dziwnego, miał metr dziewięćdziesiąt i to było dość niezwykle, zważywszy, jak wygląda jego matka.

- No co tam, Nina - powiedział, mrużąc lekko oczy, zupełnie jak komisarz. Może dlatego od razu poczułam do niego sympatię. - Podobno płaczesz za swoim Jureczkiem?

- Daj spokój - skarciła go Lilka.

- Mamo, przecież zdrowiej jest się śmiać niż płakać, zawsze to powtarzałaś.

Oboje z Lilką uradzili, że całą rodziną wybierzemy się nad morze.

- A dokąd chcecie jechać? - spytałam.

- Zarezerwowałam dwa apartamenty, zgadnij gdzie? - Moja córka zrobiła tajemniczą minę.

- Nie wiem, nie będę zgadywać, ty mi powiedz.

- Na zamku w Krokowej! - usłyszałam.

To był wstrząs. Zupełnie jakby Lilka przywoływała upiora. Monachium, wizyta w domu opieki i rozmowa z Elizą von Saarów. No i on, Jerzy. Właśnie wtedy się w sobie zakochaliśmy i to było jak odnowienie wszystkiego wewnątrz i na zewnątrz mnie, świat się

zmieniał, młodził, weselał. Teraz powinnam czuć się jak w żałobie.

Bardzo nie chciałam tam jechać, ale nie chciałam też robić przykrości swoim dzieciom. W końcu na to przystałam. Gabi się trochę opierała, żal jej było zostawić nowego pacjenta ośrodka, Wojtusia, który wybrał ją sobie jako opiekunkę, i kiedy nie było jej w pobliżu, zapadał w stan podobny do letargu.

- No dobrze, Gabi - persadował mój wnuk - to sobie twój Wojtuś podrzemie, a jak wrócisz, obudzisz go. Dopiero będzie miał niespodziankę.

- Gapa! - wtórowała mu matka - jak mamy jechać wszyscy, to wszyscy.

Pojechaliśmy samochodem Piotrusia, był najwygodniejszy i miał komputerowy nawigator, który wskazywał nam najprostszą drogę do miejsca przeznaczenia.

Ale gdzie jest to miejsce? - myślałam. - Jeśli o mnie chodzi, już nigdzie.

Piotruś szukał muzyki w radiu i przez chwilę słyszałam głos Edyty Bartosiewicz. Krótko, bo mój wnuk widocznie nie był jej wielbicielem, ale wystarczyło, żeby przywołać wspomnienia.

Nie powinnam tam jechać. To był błąd. Nie należy wracać do miejsc, gdzie się było szczęśliwym. Jeśli ma się poczucie klęski, będzie się ją odczuwało jeszcze dotkliwiej. Moje ponure prognozy się nie sprawdziły. Może dlatego, że jednak nie wszystko było takie, jak zapamiętałam. Za czasów moich i Jerzego zamek był

w ruinie, więc nie mogliśmy tam bywać i to miejsce nie zostało zapowietrzane.

Miałam osobny pokój, obok za ścianą rozlokowały się Lilka i Gabi, Piotruś zamieszkał po drugiej stronie korytarza.

Wieczorem zeszliśmy na kolację przy świecach, do głównej sali. Właśnie to wnętrze uwieczniłam w swojej książce, bo kiedy ją pisałam, prasa doniosła o sensacyjnym odkryciu w czasie odbudowy zamku: szesnastowiecznych malowidłach pod warstwą tynku.

Piotruś trochę błaznował, opowiadał o swoich kolegach, o pracy w telewizji. W pewnej chwili zaczął parodiować partnera Lilki, Johna. Początkowo się nie zorientowałam, o kogo chodzi, ale domyśliłam się po jej minie.

- I uwaga, jeżeli chcecie mu zadać jakieś pytanie, spodziewajcie się odpowiedzi następnego dnia! - zakończył mój wnuk.

Rano poszliśmy z Piotrusiem na spacer. Tylko we dwoje. On mnie wyciągnął.

- Chodź, Nina - nalegał - rozprostujesz stare kości, nie będą tak skrzypiały!

Zapytałam go, co myśli o Johnie, którego Gabi raz jeden widziała, a ja wcale.

- Bo ja wiem - odpowiedział. - Porządny facet, ale trochę taki Anglik.

- Jest Anglikiem, to chyba nie zarzut? - odrzekłam. - A poza tym istnieje coś takiego jak humor angielski, który uwielbiam.

- No tak - zgodził się ze mną Piotrek - ale John nie jest od angielskiego humoru, tylko od angielskiego banku.

- Myślisz, że to poważne? Że będą razem?

- Trudno powiedzieć, ale sądząc po tobie, mama trafi na jakiegoś palanta i straci głowę, ale nie martw się, będę czuwał nad jej majątkiem.

Nie dało się z nim na serio rozmawiać.

Szliśmy piaszczystym brzegiem, niosąc w ręku buty. W pewnej chwili mój wnuk się zatrzymał.

- Tutaj płynęła rzeczka, która wpadała do morza?

- Masz dobrą pamięć - uśmiechnęłam się. - Za wydumą była strażnica i żołnierze trzymali tam łodzie. Rano, chcąc wypłynąć, przekopywali koryto rzeczki, a nocą fale z powrotem nanosiły piasek. Teraz wojsko stąd odeszło, więc morze wzięło swoje.

Piotrek skinął głową.

- A pamiętasz, jak mnie przносиłaś na plecach? Wypadło mi wiaderko, ty chciałaś je złapać i skapaliśmy się oboje.

- Pewnie, że pamiętam, zdjęłam ci spodenki i świeciłeś gołą pupą na drodze!

- O ile się nie mylę, ty też.

- Jednak się mylisz, ociekałam wodą do samego domu, jak topielica.

Chwilę szliśmy w milczeniu.

- Bardzo cię wtedy kochałam, jak byłeś taki mały - odezwałam się. - Kiedy jest mi smutno, przywołuję obraz tamtego małego chłopca, którego prowadzę za

rękę. Chyba oddałam ci dzieciństwo córek, niestety miałam dla nich mało czasu.

- Kochałaś je i one o tym wiedziały. - Piotruś na chwilę zawiesił głos. - Ja też was kocham, po równo, trzy moje matki: ciebie, Lilkę i Gabi.

Ale to nie był koniec wzruszeń na tym spacerze, bo w pewnej chwili doszliśmy do wyjścia z plaży, które prowadziło w stronę mojego dawnego domu. Prawie jednocześnie się zatrzymaliśmy.

Piotr spojrział na mnie pytająco.

- Bierzymy byka za rogi?

- Nie wiem - odrzekłam niepewnie - boję się, że mi serce pęknie.

- Będę je ubezpieczał.

Stojąc tak u wyjścia z plaży, wahałam się.

- Pewnie brzozy sporo urosły - powiedziałam, czując, jak pod powieki napływają mi łzy. Ale to chyba dobrze, bo nie umiałam płakać.

Mój wnuk objął mnie ramieniem, mocno przyciskając do swojego boku.

- Idziemy!-wydałkomendę.

I tak szliśmy spleceni ze sobą, aż zawędrowaliśmy pod nasz dom, który już dawno przestał być naszym domem i służył teraz obcym ludziom. Brzożki, sadzone przeze mnie własnoręcznie, stały się dużymi drzewami. Mój kanadyjski kontrahent okazał się uczciwy, te brzozy rosły dwa razy szybciej. Patrzyłam na ich korony, na wysokie pnie pokryte białą korą, gdzieniegdzie upstrzoną szarymi latami, i przez krótką chwilę czułam coś w rodzaju dumy i prawdziwego szczęścia.

Do Warszawy wróciliśmy po pięciu dniach. Piotr i Lilka wyjechali do Londynu, skąd moja córka wróciła na początku września. Ona teraz tak kursowała w tę i z powrotem, pół tygodnia tam, pół tygodnia tutaj.

A potem był ten straszny wieczór i noc. Rano zgłosiłam się na policję.

Sekcja zwłok w pewnym stopniu potwierdziła przypuszczenia komisarza, że do Jerzego Barana strzelała kobieta. Wskazywała na to zarówno nieduża odległość, mniej więcej trzy metry, od ofiary w chwili oddania strzałów, co raczej wykluczało udział w zabójstwie mężczyzny, jak i ekspertyza balistyczna. Tor pocisków wskazywał, że strzelała osoba znacznie od ofiary niższa. A przecież denat nie był nadmiernie wysoki, miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Gdyby odjąć minimum piętnaście centymetrów, dawało to metr sześćdziesiąt osiem. Tyle dokładnie mierzyły wszystkie trzy panie Sworowicz, matka i córki!

Może były to jakieś obłądne kalkulacje i wszystko jest zbiegiem okoliczności, a jednak coś mu mówiło, że się nie myli. Niestety, po lekturze „Dzienników” Niny S. nabrał do niej i jej córek osobistego stosunku, co mogło mieć katastrofalne skutki dla śledztwa, które prowadził. Gdyby był do końca uczciwy, powinien się natychmiast wycofać, przekazać sprawę morderstwa Jerzego Barana komuś innemu, ale wiedział, że tego nie zrobi.

Z uwagą przeczytał protokół:

Jerzy Bogdan Baran ur. 4. 03. 1958 w Białymstoku, zm. 5. 09. 2008 w Warszawie.

Przypuszczalna godzina śmierci pomiędzy dwudziestą a dwudziestą drugą.

Zwłoki płci męskiej, o prawidłowej budowie ciała, otyłe, owłosienie typu męskiego.

Plamy opadowe na skórze lewej części tułowia i lewej kończynie nie znikają przy ucisku.

Stwierdza się rigor mortis.

I dalej:

Rany postrzałowe lewego uda i pachwiny, jamy brzusznej: lewe podżebrze, okolice pępka po stronie lewej, i klatki piersiowej. Rana postrzałowa serca, prawej komory, wlot tuż przy mostku na wysokości czwartego międzyżebra.

Każda z tych ran mogła być śmiertelna - pomyślał, ale ostateczną pieczęcią była kula, która trafiła Jerzego Barana prosto w serce.

Gdyby Nina S. nie oskarżyła samej siebie, komisarz początkowo nie brałby jej poważnie pod uwagę. Według niego nie była typem morderczynie. Wzięłby pod lupę inną kobietę, żonę zamordowanego, Weronikę Baran. Z tego, co już o niej wiedział, była patologicznie niezdolna do okazywania uczuć, zamknięta w sobie, oschła. Potrafiła też niezłe kalkulować, co jej się najlepiej opłaca, i być może opłacało jej się usunąć

«

z tego świata Jerzego Barana, gdyż Jerzy Baran pół roku temu wystąpił o rozwód. Co prawda nie doszło jeszcze do pierwszej rozprawy, ale znając obydwójce małżonków, szanse na ich pogodzenie się były nikłe, bo skoro pan radca wydał już na coś pieniądze, musiały mu się one zwrócić, i to z nawiązką. No, ale może i on się w końcu przeliczył, nie doceniając swojej żony i jej przywiązania do rzeczy materialnych. Mimo że miała dobre alibi, komisarz postanowił nie skreślać jej z listy podejrzanych. Nie musiała przecież osobiście zgładzać niewiernego małżonka, mogła to zlecić osobie trzeciej, niekoniecznie zawodowcowi. Skądinąd Weronika Baran działała zwykle z dużą precyzją i był przekonany, że gdyby to ona strzelała, wystarczyłby jeden nabój.

Wezwano ją na przesłuchanie. Komisarz przyglądał się jej przez szybę, sam będąc niewidoczny. Pomyślał, że z tej twarzy niczego nie można wyczytać. Była to twarz maska. Żona denata odpowiadała na pytania po długim namyśle, krótkimi zdaniem. W chwili popełnienia morderstwa przebywała w Białymstoku, miała na to świadków. Była na aerobiku, a potem z kilkoma znajomymi kobietami udała się do pubu, który opuściła przed północą. Jerzy Baran już wtedy nie żył. A jednak nie miała zwyczaju przesiadywać w takich miejscach. Zwykle po aerobiku śpieszyła się do domu, gdzie czekała na nią najmłodsza córka. Ktoś powiedział, że niemal od pieluch były nierozłączne i samowystarczalne, oprócz siebie nie potrzebowały nikogo. Widocznie to dziecko, wymuszone na Jerzym Baranie, było jego żonie do czegoś potrzebne. Wyznała to nawet w rzadkiej

u niej chwili szczerości: „Dopiero przy Kasi zrozumiałam, czym jest macierzyństwo”. Można by jej wierzyć, przecież wtedy, na Sycylii, spadając z narowistego konia z brązu, nie wypuściła z objęć najmłodszego dziecka. Na koniec spytała, kiedy będzie mogła odebrać zwłoki z Zakładu Medycyny Sądowej.

- Ja i moje córki chciałybyśmy zabrać ciało i pochować w grobie rodzinnym - powiedziała tym samym tonem, którym składała zeznania. W jej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

Komisarza uderzył sposób, w jaki wyrażała się o swoim mężu. Dla niej to już było tylko ciało. Nasza go refleksja, że Jerzy Baran za życia też był ciałem, tyle że dla innej kobiety i co innego to znaczyło.

W drzwiach komisariatu pojawiła się córka Niny S., ale nie ta, której komisarz Zawadka oczekiwał.

- Wezwaliśmy pani siostrę - powiedział dość ostro, mając jeszcze w pamięci ciągnące się w nieskończoność przesłuchanie. - Co to za zabawa w kotka i myszkę?

- To ja jestem tą siostrą - uśmiechnęła się młoda kobieta.

- Poproszę dowód!

Sięgnęła do torebki. Nie było wątpliwości, zdjęcie przedstawiało tę samą osobę, która teraz stała przed nim.

- Jesteśmy bliźniaczkami - wyjaśniła.

- Prawda, wyleciało mi z głowy - rzekł zawstydzony; tak inaczej postrzegał obie siostry, że podświadomie przypisał im inny wygląd.

Ale kiedy przyjrzał się uważniej, stwierdził, że tylko na pierwszy rzut oka były identyczne. Kobieta siedząca po drugiej stronie biurka miała coś takiego w twarzy, co przyciągało uwagę. Uśmiech? Oczy, inteligentne, uważne? Jej twarz była żywa. Drugiej córki Niny S. nie nazwałby ładną czy interesującą, ta natomiast z pewnością była kimś, kto zaciekawia, intryguje. Przypomniało mu się przezwisko „Sworowicz wysokie obcasy” i odruchowo spojrzął na jej stopy. Była w szpilkach.

Właśnie założyła nogę na nogę i wyjęła z torebki papierosy.

- Tutaj się nie pali! - rzucił.

- Szkoda, byłoby mi łatwiej... Zacznę od tego, że to nie moja mama powinna zostać aresztowana, ale radca prawny Jerzy Baran.

- To już jest raczej niemożliwe.

- Wiem, i bardzo nad tym boję.

- Że jest martwy czy że nie można go aresztować?

Nie odpowiedziała na to.

- Sądziłam, że doprowadzę do jego przegranej, niestety nie udało się.

Zawadka nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Nie uważa pani, że pozbawienie życia to kara najgorsza z możliwych?

- Nie na takim ukaraniu go mi zależało. Ten człowiek użył wszystkich kruczków prawnych, żeby zamiatwać prawdę. Mecenas Brzeski, który prowadził naszą sprawę przeciwko Jerzemu Baranowi, ostrzegał nas, że w sądzie liczą się fakty, a nie uczucia. Uważam

to za duży błąd. Uczucia powinny być brane pod uwagę na równi z faktami, bo czasami potrafią zabić. Bywają też ludzie pozbawieni uczuć i takim człowiekiem był według mnie radca prawny Jerzy Baran...

Uczucia potrafią zabić - w głowie komisarza zapaliło się czerwone światło. - Trzeba to zanotować.

- Z tego, co wiem, od początku była pani do niego źle nastawiona - powiedział.

- Przeciwnie, ja tego Barana nawet lubiłam i cieszyłam się, że mama sobie kogoś znalazła i jest szczęśliwa.

(nagranie)

- Nazywam się Liliana Sworowicz, mam trzydzieści dziewięć lat, stan cywilny: wolny, zawód: filozof..

- To chyba jednak nie jest pani zawód - rzekł komisarz, przerywając nagranie.

- Skończyłam Wydział Filozofii na Oxford University, jestem filozofem, jak mój dziadek! - obstawała przy swoim.

Raczej filozofką - pomyślał z pewną dozą złośliwości.

A głośno powiedział:

- Zdaje się, że studiowała pani coś jeszcze i pani praca ma z tymi studiami więcej wspólnego.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Ja się tylko doksztalałam, z zawodu jestem filozofem.

- No dobrze, niech będzie - zrezygnował. - Możemy zaczynać?

- Proszę - zgodziła się.

(nagranie)

Ten człowiek... czyli Jerzy Baran, roztaczał wokół atmosferę spokoju, budził zaufanie już samym swoim wyglądem. Po odkryciu jego prawdziwej natury często prześladował mnie pewien obraz, już nie pamiętam, czy to chodziło o film, czy o książkę. Tam był rajski ptak, który śpiewał tak pięknie, że słuchający go ludzie usypiali w nastroju błogości. I kiedy już usnęli na dobre, ukryci do tej pory za kotarą zbójcy podrzynali im gardła i rabowali ich majątki. Takim rabusiem był dla mnie Jerzy Baran i chociaż o umarłych mówi się dobrze albo wcale, człowiek ten nawet martwy budzi we mnie jak najgorsze uczucia. Niszczy naszą rodzinę nawet po śmierci. Mama po raz drugi została uwięziona, ale pierwsze jej uwięzienie wiązało się z ideą szlachetną, a to drugie...

Komisarz energicznym ruchem wyłączył magnetofon.

- Proszę pani - powiedział - to jest przesłuchanie, więc proszę nie wygłaszać przemówień, ale przedstawić znane pani fakty, które wiążą się ze sprawą matki.

Młoda kobieta wyraźnie poczuła się urażona.

- Nie zamierzam wygłaszać przemówień, zamierzam dowieść, kim naprawdę był Jerzy Baran.

(nagranie)

Może zacznę od początku, od dnia, kiedy doszło do naszego pierwszego spotkania... Baran przyjechał z mamą do Londynu. Trochę się denerwowałam, bo czułam, że mama chce mi pokazać swojego mężczyznę, a siostra, zdecydowanie do niego wrogo nastawiona, ciągle przekazywała mi coś niekorzystnego na jego temat. Według niej mama przywiozła z Niemiec kartofla i wmawiała wszystkim, że to co najmniej jajko Faberge. Baran jajkiem Faberge na pewno nie był, ale nie był też kartoflem. Bardzo dobrze mi się z nim rozmawiało, miał otwarty umysł, był błyskotliwie inteligentny. Ten wieczór, jaki z nimi obojgiem spędziłam, zapamiętałam jako naprawdę ciekawy. Poza tym widziałam, jak bardzo mama się przy nim zmieniła, ubyło jej piętnaście lat... Zawsze miała jakiś smutek w oczach. Przy Jerzym Baranie ten smutek zniknął. Kiedy na chwilę zostaliśmy same, szepnęła: „Mam teraz to, czego brakowało mi przez całe życie, poczucie bezpieczeństwa”.

Liliana Sworowicz odruchowo wyjęła z torebki papierosy.

- Dobrze, proszę zapalić, jeżeli jest pani z tym łatwiej - rzekł ugodowo komisarz i pomyślał: Trzeba zanotować: zawsze stawia na swoim! Jak wtedy, w osiemdziesiątym roku... Jeśli to ona... Chociaż... tamta dziewczynka była drobna, wyglądała na siedem, osiem lat, ale teraz też nikt by się nie domyślił, że siedząca przed nim kobieta dobiega czterdziestki.

«

(nagranie)

Jerzy Baran oplatał naszą rodzinę siecią swoich kłamstw, półprawd i matactw, muszę przyznać, że czynił to po mistrzowsku! Powiedział do mnie i do mojej siostry, kiedy rok temu przyszliśmy do niego z ultimatum: „oczekuję pozwu”. Postanowiłyśmy, że tak właśnie będzie, to znaczy ja postanowiłam. Mama była z tego wyłączona, jak zagubione dziecko poddawała się mojej woli, a siostra żyje w jakimś nierealnym świecie i uważa, że wszyscy ludzie są z gruntu dobrzy, trzeba im tylko dać szansę. Nie, Baranowi takiej szansy nie dawała i należy to traktować jako wyjątek od reguły.

Moja ciotka, starsza siostra mamy, zawsze twierdziła, że mama jest typem fighterki, ale tylko ja wiedziałam, jak bardzo jest krucha. I jaka się czuje zmęczona. Pojawienie się u jej boku mężczyzny przyjąłam z ulgą i prawdziwą radością. Można powiedzieć, że udzieliłam Jerzemu Baranowi dużego kredytu zaufania. Kiedyś mu o tym zresztą powiedziałam, tak niby żartem. A on na to:

- A co zrobisz, jak cię zawiodę?
- Bylebyś nie zawiódł mamy - odrzekłam.
- A jeśli zawiodę i ją?
- To cię zabiję.

Roześmiał się, ale wydało mi się to nieszczerze.

Raz jeden pan B. powiedział o sobie coś prawdziwego. Byli wtedy z mamą u mnie w Londynie. Mama na chwilę wyszła z pokoju, a on wziął z patery śliwkę:

- Widzisz, jestem jak ten owoc: miękki na zewnątrz, ale w środku mam twardą pestkę - na chwilę zawiesił głos. - Moja żona w końcu się o tym przekonała. A moja mama dopiero miała się przekonać...

Tak, mieszkam w Anglii, co nie oznacza, że oddaliłam się od rodziny. Mama, siostra i mój syn są stale obecni w moich myślach i w moim życiu. Czuję się za nich odpowiedzialna. Wiem, że z braku mężczyzny, ja muszę być tą fighterką. Piotr jest jeszcze bardzo dziecinny, a poza tym, to artysta, z głową w chmurach...

Postanowiłam wydać wojnę panu B. Najpierw jednak musiałam przekonać do tego mamę.

- Nigdy z nim nie wygramy - powiedziała. - Sądy to jego świat, nie nasz. My się tam pogubimy.

- Chcesz mu oddać wszystko bez walki? Dorobek swojego życia? Dom? On na to nie zasługuje - należałam.

Mama spojrzała mi w oczy:

- Masz siłę?

- Tak - odrzekłam bez wahania.

- No to niech się stanie!

Następnego dnia umówiłam się z adwokatem. Ktoś go mamie polecił. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać rasowy adwokat: wysoki, lekko szpakowaty, w okularach. Nazywał się Jan Jeremi Brzeski i przyjmował w kancelarii adwokackiej przy placu Zbawiciela.

Niestety, nie miał dla nas dobrych wiadomości, mówię dla nas, bo na to spotkanie zabrałam ze sobą siostrę.

Ona więcej mogła powiedzieć o poczynaniach pana radcy. Od dawna wysyłała zresztą sygnały ostrzegawcze, które ja niestety zlekceważyłam. Uważałam, że uprzedziła się do partnera mamy i wszystko jej się w nim nie podoba, a najbardziej to, że w ogóle jest.

Wysłuchawszy nas, mecenas Brzeski powiedział:

- Drogie panie, w polskim prawie coś takiego jak konkubinat nie istnieje, rzetelne rozliczenie wieloletniego związku nie jest więc możliwe. Sąd będzie traktował strony jako dwoje obcych sobie ludzi, ewentualnie jako spółkę cywilną.

- Więc byłoby łatwiej, gdyby drobny złodziejaszek włamał się do domu i ukradł mamie portmonetkę?!

- wybuchnęłam. - Ona niestety sama otworzyła złodziejowi drzwi.

Mecenas Brzeski uśmiechnął się na to, ale mnie nie było do śmiechu, aż się we mnie wszystko gotowało. Czułam gniew, żal i obrzydzenie do człowieka, za którego sprawą się tu znalazłyśmy.

- Ten mężczyzna podstępem odebrał nam dom, a ten dom zbudował jeszcze przed wojną nasz dziadek!

- Pani Sworowicz dobrowolnie się go wyzbyła - zauważył adwokat.

- To była umowa, darowizna miała być na chwilę, na czas otrzymania kredytu.

- Panie tak uważają.

- Tak było! - upierałam się.

- Tego nie jesteśmy w stanie udowodnić - tłumaczył.

- A czy możemy udowodnić cokolwiek?

Okazuje się, że w polskim prawie istnieje coś takiego jak niesłuszne wzbogacenie się. Jeśli byliśmy pewne, że Baran korzystał z pieniędzy mamy, nie mając własnych dochodów, mogłyśmy wystąpić o zwrot poniesionych strat.

- On przyszedł z jedną walizką, a teraz ma dom i pełno pieniędzy naszej mamy pod materacem - powiedziałam.

- Na początku powtarzał, że mama dała mu wędkę, a on złapie rybę - wtrąciła moja siostra - potem już o tym nie wspominał. A ja uważam, że wziął nie tylko wędkę, ale i rybę!

Ten wybuch siostry mnie zaskoczył, ona nigdy tak dużo nie mówiła i z taką zaciętością. Gabi to przecież chodząca poczciwość, nazywałyśmy ją nawet z mamą „opiekunem spolegliwym”, bo jeśli trzeba było przeprowadzić staruszkę przez ulicę, ta staruszka oczywiście zwracała się do niej, chociaż dookoła było pełno ludzi. Kiedyś przeczytałam u Iwaszkiewicza... Czy pan wie, że on był naszym sąsiadem? Napisał tak: „Ja mam ten rodzaj zainteresowania każdym człowiekiem, szczerego zainteresowania, które budzi wdzięczność. Nie mam w stosunku do ludzi pogardy”. To pasuje do mojej siostry. Ona ma ten sam rodzaj zainteresowania człowiekiem, i na pewno nikim nie pogardza. Ja? Nie, oczywiście nie ma we mnie pogardy, to jest coś innego, ja po prostu mniej się po ludziach spodziewam niż Gabi.

Niedawno mama w przypływie rozżalenia powiedziała:

- Trzymajmy się jak najdalej od adwokatów i radców prawnych. To notoryczni kłamcy i obłudnicy. Na tym polega ich zawód.

Moja siostra:

- Nie można wszystkich wrzucać do jednego worka. Ale mnie bardzo ucieszyło, że mama tak ostro ocenia, szczególnie tych radców prawnych, bo oznaczało to, że nauka nie poszła w las, po raz drugi nie popełni takiego błędu. Na czym polegał jej błąd?

Ona teraz uważa, że nie postawiła swojemu partnerowi żadnej granicy, stopiła się z nim w całość. Kiedy już mogliśmy o tym rozmawiać, wyznała: „Po rozstaniu czułam się tak, jakby mnie ktoś przeciął na pół”. I to mnie właśnie zadziwiło, to obsesyjne wręcz przywiązanie mamy do fizyczności jej partnera. Ona potrzebowała tego cielska obok, jego bliskość działała na nią kojąco. Utrata to było dla niej przede wszystkim rozstanie z jego ciałem.

Dawni partnerzy mamy byli naprawdę interesujący. Szczególnie jednego z nich polubiłam. Kiedyś w drodze do Karwieńskich Błot mama złapała gumę, więc zjechała na pobocze w nadziei, że ktoś jej pomoże. Pan Natan się zatrzymał i zmienił koło „z największą przyjemnością”, jak powiedział.

Był prezesem firmy, która skupowała i wysyłała do Francji ślimaki winniczki. Bardzo mnie to śmieszyło, bo wyobraziłam sobie pana Natana, jak podwinąwszy spodnie do pół łydki, brodzi po podmokłej łące i zbiera do koszyka te skądinąd miłe stworzonka. A on był takim eleganckim mężczyzną, nosił doskonale skro-

jone garnitury, do tego koszule szyte na miarę w sklepach przy New Bond Street w Londynie, od razu to zauważyłam, no i buty, w których można się było przejrzeć jak w lustrze. Baran niestety nie przywiązywał do tego wagi, chodził w workowatych spodniach, wypchanych na kolanach, a latem, co mnie już naprawdę bulwersowało, nosił skarpetki do sandałów! Siostra uważa, że buty to mój konik, ale ja wiem, ile mogą powiedzieć o człowieku.

W tym momencie komisarz i świadek Liliana Sworowicz spojrzeli na jego buty. Z ulgą odnotował, że od biedy można byłoby się w nich przejrzeć.

(nagranie)

Kiedyś na plaży siostra, która czasami bywała dowcipna, widząc jak Baran w spodenkach kąpielowych wchodzi do morza, rzekła dramatycznym tonem:

- To straszne, nasza mama zakochała się w tłustej kobiecie!

Ale naszej mamie on się podobał. Powiedziała nawet coś takiego, że jak się do niego przytula, cały świat zostaje za drzwiami... Dla mnie i dla Gabi było to dużym zaskoczeniem. Bo ona nigdy nie przytuliła nas pierwsza, a nawet się wzbraniała, kiedy myśmy do niej przybiegały.

- Nie jestem waszą poduszczką - mówiła, delikatnie nas od siebie odsuwając.

Już w dzieciństwie miałam uczucie, że mama trochę się nas brzydzi, naszej zaślinionej często buzi, naszych

lepkich dłoni. Może dlatego wyrobił się we mnie nawyk mycia rąk. Często, za często. Wiem o tym. Mój partner nazywa to nerwicą natręctw...

Jest Anglikiem. Nie, nie mieszkamy razem, ale... widzimy się, gdy pozwalają na to nasze obowiązki. Oboje jesteśmy bardzo zajęci. Nasz stosunek do siebie nazwałabym - *lost in translation*...

- Pan też zna ten film? Nie, nie dlatego się dziwię... po prostu myślałam, że nie ma pan czasu chodzić do kina...

(nagranie)

W tym obrazie niewiele jest podobieństw do naszych relacji z Johnem, on w niczym nie przypomina męża Charlotte, a niestety nie można go też porównać z Bobem Harrisem, czyli Billem Murrayem, naprawdę cudownym aktorem, choćby tylko dlatego, że dzieli ich zbyt duża różnica wieku... Ale to chyba przemawia na niekorzyść Johna, wydaje mi się za młody... To znaczy... jest o trzy lata starszy ode mnie, ale mnie się bardziej podoba starzejący się, zgorzkniały aktor, który przyjechał do Japonii reklamować whisky za dwa miliony dolarów... Nie te miliony, ale on, on, panie komisarzu, mnie zafascynował... A poza tym Sofii Coppoli udało się stworzyć bohatera naszych czasów. Mężczyzna, kobieta, czyli my wszyscy, zagubieni w dzisiejszym zindustrializowanym świecie, jak tych dwoje w Tokio. I za to powinna zebrać wszystkie Oscary, nie tylko za reżyserię... To mój ulubiony

film, często puszczam go sobie na DVD, nocą, kiedy nie mogę spać. Oni na tym filmie też nie mogli spać, więc pełne porozumienie pomiędzy ekranem a moim łóżkiem... Dla mnie filmowa Charlotta jest wrażliwą, niepotrafiącą się odnaleźć młodą kobietą. Ona skończyła filozofię i ja też... Ona nie wiedziała, z kim spędza życie, i ja też... I gdybym spotkała, jak ona, takiego Boba Harrisa... Ale to chyba nie na temat...

- Więc wracajmy do naszych baranów - rzekł komisarz, przyglądając się ukradkiem świadkowi.

Ten świadek miał taką zmienną twarz, odbijały się na niej wszystkie uczucia: gniew, niepewność, lęk. Komisarz nikogo takiego do tej pory nie spotkał, a przecież w swojej karierze zetknął się z tyloma ludźmi, czasami o tak skomplikowanych życiorysach, że gdyby chciał to opisać, powstałoby wielotomowe dzieło. Ale opisać tę kobietę byłoby trudno, nie udało się to nawet jej matce pisarce. Nie potrafiła oddać w swoim „Dzienniku” tego czegoś nieuchwytnego, co otaczało jej córkę, tym bardziej nie mogło się udać amatorowi.

Po co w ogóle o tym myślę! - przywołał siebie do porządku.

(nagranie)

Postanowiłam wziąć sprawę w swoje ręce i wygrać tę wojnę z panem B. To nie była walka o majątek, chodziło o życie mojej matki. Wiedziałam, że moja przegrana to także przegrana jej... Stawka była bardzo wysoka, panie komisarzu... Ułożyłam sobie plan

działania, który mama zaakceptowała. Zebrałam wy-
ciągi z kont bankowych, księgowy zrobił odpowied-
nie zestawienia jej wpłat i jego wypłat. Dobrze to wy-
glądało. Poza tym namówiłam ją do udzielenia kilku
wywiadów tabloidom, uważając, że rozgłos może
nam pomóc. To się niestety wymknęło spod kontroli,
czego mama mi chyba do tej pory nie wybaczyła...

Autoryzowałyśmy teksty oczywiście, ale w tym zale-
wie zdjęć półnagich gwiazd, przed ślubem, po ślubie,
w ciąży, po poronieniu, wreszcie z niemowlętami na ręku,
no i odpowiednich do tego komentarzy, dramat mojej
mamy brzmiał jak streszczenie melodramatu i co gor-
sza chyba tak był odbierany. W dodatku jeden z naj-
poczytniejszych dwutygodników wybił na okładce
tytuł: „Wstrząsające wyznanie NINY SWOROWICZ:
przez tego mężczyznę chciałam się zabić”.

Na szczęście mama tego nie widziała, bo schowa-
łam przed nią pismo, ale rozjuszona zadzwoniłam do
redaktor naczelnej. „No cóż - powiedziała - sporo
wydaliśmy na sesję zdjęciową pani mamy, ten tekst
musiał na to zarobić”. I to była czysta manipulacja,
bo w wywiadzie mama opowiada o niebezpiecznym
wypadku samochodowym, który spowodowała tuż
przed rozstaniem ze swoim partnerem. W Brwinowie,
na skrzyżowaniu, wjechała pod rozpędzonego jeepa,
do dziś nie wie, jak to się stało. Była w złej formie,
mogła się zamyślić, mogło jej się zrobić słabo... Po-
prosiła policjanta, żeby powiadomił o wypadku Ba-
rana, który był w drodze do Białegostoku. Policjant
mówi: „Żona spowodowała wypadek”. A on na to: „Ta

pani ma dwie córki, niech się nią zajmą... " A jeszcze parę lat wcześniej, kiedy moja siostra miała stłuczkę, natychmiast przyjechał i wszystko pomógł załatwić. Oczywiście robił to dla mamy, nie dla Gabi...

A czego się spodziewałyście - pomyślał komisarz, lekko zniecierpliwiony takim gadaniem.

(nagranie)

Na tę sesję też mamę namówiłam, to był warunek zamieszczenia wywiadu. Zdjęcia wyszły bardzo dobrze. Na szczęście fotograf okazał się prawdziwym artystą. Szczególnie na jednej fotografii, w długiej wieczorowej sukni, z odsłoniętymi ramionami mama wyglądała bardzo pięknie. Z tą sesją wiąże się zabawny incydent. Stroje, które mama miała na sobie, zostały wypożyczone z najdroższych sklepów, głównie z kolekcji Prądy Asystentki musiały chować metki, żeby nie były widoczne na zdjęciach. Biżuteria też była prawdziwa, między innymi złota bransoletka wysadzana diamentami. Odbywało się to wszystko w Żelazowej Woli, w dworku Chopina, organizatorzy sesji musieli nawet uzyskać specjalne zezwolenie z Ministerstwa Kultury. Zdjęcia trwały do późnej nocy. Wszyscy byli zmęczeni, a co dopiero moja mama. Przebierając się, zapomniała zdjąć bransoletkę. Spozstrzegłyśmy to dopiero w domu.

- No to co, przyskamy za granicę? - spytałam. - Będziemy miały za to świetne wakacje.

Mama się śmiała. Następnego dnia zjawił się kurier od jubilera i odebrał depozyt.

Widzi pan, jakie to są koleje losu, z wytwornego salonu do aresztu, ale ja ją stamtąd wyciągnę.

(nagranie)

Po tych wywiadach w prasie pojawiły się komentarze, że gdyby mama była osiemnastoletnią dziewczyną, można by to jeszcze zrozumieć, ale żeby dojrzała kobieta do tego stopnia straciła głowę?

Moim zdaniem uczucia są jak choroba: jedni przechodzą ją lekko, inni ciężiej, a jeszcze inni na nią umierają, więc każdego człowieka należy mierzyć inną miarą. Niedawno w telewizji oglądałyśmy z mamą reportaż o kobiecie, która przeżyła niemal identyczną historię, tyle że wydarzyło się to wcześniej.

Kiedy dziennikarka spytała kobietę, co straciła przez swojego mężczyznę, wymieniła jednym tchem: honor, osobowość, wiarę w siebie, wiarę w ludzi, firmę, dwa domy, które zabrał bank. I kobiecość.

A na koniec powiedziała:

- Ja nie byłam głupia, ja byłam wspaniałomyślna.

To samo mogłabym powiedzieć o mojej mamie: była wspaniałomyślna wobec człowieka, którego kochała. Niestety źle ulokowała swoje uczucia, ale na to nie ma przecież lekarstwa.

Zastanawiałyśmy się potem, czym się te dwie historie od siebie różnią. Zarówno bohaterka reportażu, jak

i mama starały się dochodzić sprawiedliwości w sądzie. Tamta, żeby „niedobrzy ludzie nie żyli sobie bezkarnie”. Po trzynastu latach udało jej się wywalczyć wyrok w zawieszeniu, z uwagi na małą szkodliwość społeczną czynu. Sąd zobowiązał skazanego do zwrotu ośmiuset tysięcy złotych, ale ponieważ dług był nieściągalny, komornik umorzył sprawę.

A co te historie odróżniało? Wygląd fizyczny oszustów. Ten z filmu był wybitnie przystojny, ten mamy przeciwnie. Ale mama go jednak wybrała, więc może czegoś o tym mężczyźnie ja i moja siostra nie wiedziałyśmy. Może był kimś wyjątkowym, tylko z daleka nie było to widoczne. Za wszelką cenę chciałam się tego dowiedzieć i w tajemnicy przed mamą pojechałam do Białegostoku.

Parę lat temu jego znajomi odwiedzili Brwinów. Przypadkowo też tam byłam. Oni, małżeństwo lekarzy, znali partnera mamy od dawna, od szkoły podstawowej, z pewnością wiele by mogli o nim powiedzieć. Tak się zdarzyło, że leciałam potem do Londynu jednym samolotem z tym mężczyzną, poznał mnie, a jak się żegnaliśmy na lotnisku, wręczył mi swoją wizytówkę.

Moja wizyta ich zaskoczyła, ale w końcu się rozgadali, szczególnie ona. Widocznie musiało ją to jakoś dręczyć. Bez ich wiedzy nagrałam rozmowę, bo chciałam ją jeszcze przesłuchać, przeanalizować.

(nagranie z taśmy Liliany Sworowicz)

Kobieta: - To pierwsze wspólne lato Jurek i pani mama spędzali w Kamieńskich Błotach, a ja w Jastrzębiej Górze, więc ich odwiedzałam. Nie mogłam się nadziwić, co ta pani Nina robi. My z mężem oddzielnie trzymamy kasę, ja swoją, on swoją, dom w Białymstoku jest na mnie, bo to darowizna od ojca, a tutaj pani mama po miesiącu znajomości upoważnia faceta do swoich kont, wyrabia mu kartę, on może brać, ile chce... Powiedziałam do męża: zobaczysz, jak to się skończy, Jurek z Iką objedzą ją do kości. I jeszcze się będą śmiali.

Ja: - Przecież oni nie byli już razem!

Kobieta: - Nie bardzo w to wierzę. Niby się rozstali, ale Jurek często tam przyjeżdżał, nocował, pewnie nie w jednym łóżku, bo to chyba im nigdy nie wychodziło, ale nie bez tego, żeby się nie namówili. Różnych znam ludzi, lepszych, gorszych, ci się dobrali jak w korcu maku, tacy materialści, że aż niedobrze się robi. Dla nich tylko forsa, forsa! No i znaleźli sposób, jak wyciągnąć od pani Niny pieniądze... Chciałam ją nawet ostrzec, coś tam nadmieniłam, że może by trochę zastopowała z tą hojnością, a ona tak na mnie popatrzyła i mówi: „Przecież to wszystko nasze, moje i Jerzego”, a to żonaty mężczyzna, ojciec trzech córek... Ale że się nie wstydził... Ja wtedy, w to pierwsze lato, jak siedziałam z nim na werandzie, bo my oboje palacze, powiedziałam wprost, co myślę o takim postępowaniu. Odpowiedział: „Nie okradam jej, sama mi daje”.

Mężczyzna: - Co wy się tak dziwicie, Jerzy Baran to Kalibabka i tyle...

- Myśli pan, że moje nagranie może mamie pomóc?
 - Sprawdźmy, czy nie ma jakichś ingerencji. Nie pani potem z tą kasetą nie robiła, niczego nie skracała? - spytał komisarz, a pomyślał: Mogły zaplanować to morderstwo i już sobie przygotowywały linię obrony.
 - Nie, nawet się do niej nie dotykałam! - odpowiedziała skwapliwie.

(nagranie)

Wracając z Bialegostoku załamana, w pewnym momencie zjechałam z szosy w leśną drogę, usiadłam na pieńku.

Całkiem prawdopodobne, że małżonkowie wszystko to sobie zaplanowali. Mieli trudną sytuację, niewykończony dom, długi, a tu AWS przegrywał i było niemal pewne, że po dojściu lewicy do władzy w konsulacie nastąpią zmiany. Rodzina Baranów wróci do Polski i co dalej? On stale powtarzał, że nie ma zamiaru pozostawać w dyplomacji, bo to żadna przyszłość. Marzył o własnej kancelarii, a mama mogła mu to umożliwić. Więc po naradzie z panią Iką, mając jej błogosławieństwo, przyszły pan radca prawny wyruszył na podbój... Mama się niestety w nim zakochała i z miejsca stała się łatwym łupem... Wszystko to wyglądało prawdopodobnie. Już rozmowa z byłą szefową Barana, konsulem generalnym w Monachium,

dała mi sporo do myślenia. Spotkałyśmy się w Warszawie, bo ją oczywiście odwołano. Była bardzo na pana konsula rozgoryczona.

- Wiedziałam, jak on nie wracał, że to jest lewe zwolnienie - mówiła. - Blokował etat, a ja potrzebowałam pilnie kogoś na jego miejsce... Pytałam nawet żonę, ona była u nas urzędniczką, też skończyła prawo, ale nie znała języka, więc miała etat maszynistki... Pytałam ją co on zamierza, czy wróci do pracy, czy będzie dalej chorował, ale odpowiedziała: - Ja nie wiem, gdzie on jest.

A przecież wiedziała, bo przyjeżdżała do Polski, spotykali się, chociażby po to, żeby załatwić u notariusza rozdzielenie majątkową. Mama postawiła taki warunek, zanim uczyniła go współwłaścicielem swoich kont. W żaden sposób jej to oczywiście nie zabezpieczyło, bo z rozdzieleniem majątkową czy bez Baranowie nadal pozostawali małżeństwem. Gdyby z nim się coś stało, ona miałyby prawo do połowy sum na kontach mamy. Tylko że mama w swojej naiwności nie miała o tym pojęcia...

- Gdyby mnie pani spytała, kim był pan konsul Baran - zastanawiała się jego była szefowa - miałabym trudności z odpowiedzią. Na pewno świetny prawnik, muszę przyznać, że w sprawach zawodowych czułam przed nim respekt.

Była zadowolona, że udało jej się ściągnąć go do Monachium, warunki finansowe dostał, jak żaden inny pracownik. Potem żałowała swojej decyzji, uważała, że numer z półrocznym zwolnieniem lekarskim, po

którym Baran zaraz odszedł z pracy, był bardzo nie fair.

- Pan konsul jednak miał dobre samopoczucie - mówiła - bo kiedy w Polsce ukradli mu samochód, dosłownie w ostatnim momencie chciał ściągnąć z Niemiec nowy. Jako dyplomata mógł to zrobić bez cła. Zadzwoił do mnie w tej sprawie pod koniec października dwutysięcznego roku, a podanie o zwolnienie napisał dwa tygodnie później.

- I poszła mu pani na rękę z tym samochodem? - spytałam.

- Nie, to już była wyjątkowa bezczelność!

To, czego się dowiadywałam, z wolna układało się w logiczną całość. Jerzy Baran wytyczył sobie jasny cel i dążył do niego na skrót, depreczując wszystko i wszystkich po drodze. Niestety na tej drodze znalazła się też moja mama.

Siedząc na pieńku, zaczęłam się kiwać w przód i w tył, jak podopieczni mojej siostry, bo już do końca uświadomiłam sobie, że mama po raz drugi spotkała złego człowieka.

- A ten pierwszy? - spytał komisarz, przypalając jej kolejnego papierosa.

W pokoju było pełno dymu, mimo otwartego okna, a on jako człowiek niepalący wyjątkowo źle to znosił.

Liliana Sworowicz się zawahała.

- Proszę niczego nie ukrywać! Tu się ważą losy pani rodziny!

«

(nagranie)

Miałam wtedy dziewięć lat. Coś mnie obudziło w środku nocy, więc boso wyszłam na korytarz. Zobaczyłam smugę światła pod drzwiami łazienki.

Mama była naga, miała spuchniętą twarz, nie mogła otworzyć jednego oka, a na podłodze leżało jej zakrwawione ubranie. Chciałam do niej podejść, zabroniła mi gestem ręki. Nigdy do tego nie wracaliśmy, ale we mnie pojawiło się coś w rodzaju poczucia winy, że nie potrafiłam jej obronić, że ją zawiodłam.

A więc miał już potwierdzenie swoich przypuszczeń!

- Powiedziała pani wtedy: „Ktoś cię skrzywdził, mamusiu”. Czy to było pytanie?

- Skąd pan to wie? - spytała.

- Czytałem „Dziennik” pani mamy.

Liliana Sworowicz aż podskoczyła.

- Widzę, że ma pan zwyczaj wchodzenia z butami w cudze życie - powiedziała ostro.

- Proszę mi wierzyć, nie robię tego dla przyjemności. Taki mam zawód. Możemy kontynuować?

- Nie, nie możemy! Jestem zmęczona, a poza tym nie wiem, czy jeszcze będę chciała rozmawiać z człowiekiem, który jest zwykłym podglądaczem.

Komisarz Zawadka poczerwieniał.

- Chce mnie pani obrazić?

- Tak, proszę to tak rozumieć.

Będzie ciężko - pomyślał. I jeszcze pomyślał:

- Ona jest moim Raskolnikowem.

Nabrał tej pewności, kiedy opowiedziała mu o nocnej scenie w łazience. Nina S. nie chciała ujawnić, o którą z jej córek chodzi, bo tak jak on zdawała sobie sprawę, że może to mieć znaczenie dla dalszego śledztwa. Tamtej nocy matka i córka zawarły między sobą przymierze. Był pewien, jak tego, że się nazywa Andrzej Zawadka. W tej sytuacji wszystko jedno, która z nich strzelała, one były przecież jak naczynia połączone. Ponieważ matka sama zgłosiła się na posterunek, znaczyło to, że Barana zabiła jej córka. Teraz należało tylko umiejętnie wszystko rozegrać i zmusić ją żeby ujawniła, gdzie jest broń!

- Dobrze, to kończymy na dziś, ale zapraszam jutro na dziewiątą- rzekł ugodowo.

Liliana spojrzała mu prosto w twarz.

- A jak nie przyjdę?

- Przyjdiesz - powiedział - bo bardziej niż siebie kochasz swoją matkę.

W jej oczach dostrzegł łzy, nagle z hardej fighterki znów stała się przestraszona dziewięcioletnią dziewczynką.

I wtedy komisarz Zawadka uczynił coś, o co by sobie nigdy nie podejrzewał, podszedł i mocno ją przytulił.

- Będzie dobrze - powiedział cicho, chociaż wiedział, że nic już nie będzie dobrze.

Nie mógł jej ochronić, bo spotkali się za późno.

Komisarz Zawadka miał ciężką noc. Trafiała mu się najtrudniejsza sprawa w jego życiu, a w dodatku,

«

wbrew wszelkiej logice, obawiał się jej rozwiązania. Miał już brakujące ogniwa w swoim ręku, ale wszystko się w nim buntowało, żeby je połączyć.

Przypomniał sobie fraszkę: „Schodźmy z drogi Sprawiedliwości! Jest ślepa”. Zawsze tak to rozumiał, że lepiej nie wchodzić Sprawiedliwości w drogę, a teraz myślał, że być może pisarz namawia do zejścia z tej drogi, bo Sprawiedliwość z przepaską na oczach traktuje wszystkich, winnych i niewinnych... Faktów nigdy nie da się jednoznacznie ocenić, jak w tej sprawie... Czy jeśli te kobiety uwikłały się w zbrodnię, naprawdę są winne? Trafiły na przeciwnika, który tę ślepą Sprawiedliwość zdołał przeciągnąć na swoją stronę tylko dlatego, że wiedział lepiej od swoich ofiar, jak to zrobić. Bo przecież to one stały się ofiarami. Strzały, które padły przy Różanej, były tylko tego konsekwencją. Gdyby był Lecem, mógłby się pokusić o fraszkę: „Nie igraj ze słabością, potrafi unieść miecz”. One uniosły miecz. Czy należało je za to karać?

Komisarz nagle oprzytomniał. Co za myśli przychodziły mu do głowy. Był tylko policjantem, od którego wymagano, aby znalazł dowody zbrodni i przekazał je prokuraturze. Jeszcze musi odnaleźć broń, z której strzelano.

Ona mi powie, gdzie ją ukryła - pomyślał - to tylko kwestia czasu. Wiedział, czuł, że to ona strzelała. Już przy zeznaniach jej siostry poczynił pewne notatki, nawet wytłuścił swoją uwagę: łobuz - sprytna córka.

Zawadka zaparzył herbatę, to był cały rytuał. Miał nawet imbryczek wypalany ze specjalnej gliny, który długo utrzymał aromat herbacianych listków. Nigdy nie zamawiał herbaty na mieście, bo podawanie jej w torebkach uważał za barbarzyństwo.

Z herbatą związany był też jego wieczny dylemat: w czym powinien ją pić. Wolałby oczywiście w cienkiej porcelanie, miał nawet kilka filiżanek, które odziedziczył po jednej z ciotek. Brzmi to może śmiesznie, ale zapisała mu je w spadku. Podobno były cenne, niestety kilka z nich potłukło się w czasie przeprowadzki i serwis został zdekompletowany. Ale przecież i tak by go nie używał. Rzadko przyjmował gości, a jeżeli już, byli to koledzy z pracy i tylko by się wygłupił, stawiając na stole coś tak delikatnego. Zresztą oni najczęściej przynosili ze sobą piwo w puszkach.

A on, tęskniąc za porcelaną, w której nerbata smakowała by lepiej, pił ją w zwykłym kubku z uchem, jak każdy prawdziwy mężczyzna.

Teraz, siedząc przy stole, przypatrywał się swoim notatkom.

„Musiały być w zмовie, inaczej matka tak szybko by się nie przyznała”. To jasne, że chroniła córkę - rozważała. - Pewnie się naczytały, że można sprawdzić, kto strzelał, po osadzie z prochu na skórze rąk i ubraniu. Więc sobie to obmyśliły, wszystkie trzy. Przydługie zeznanie pierwszej córki miało na celu zmylenie tropów, to pewne... Tak od razu pogodziła się z aresztowaniem matki.

„Nie wiem, dlaczego mama to zrobiła. Ostatnio wydawała się spokojniejsza. Nie wiem, dlaczego strzeliła do Jerzego Barana”.

Obmyśliły to wspólnie i wspólnie za to odpowiedzą: jedna córka za morderstwo, matka i ta druga za współudział.

Nieoczekiwanie stanął mu przed oczami obraz: dwie dziewczynki siedzące na schodkach przed domem i przekomarzające się ze sobą...

Jak ona mogła zrzec się swojego dziedzictwa - pomyślał niemal z odrazą. - Wzięła długopis i podpisała się pod aktem darowizny na rzecz obcego faceta. To przez nią to wszystko. Była głupia i jeszcze raz głupia. Dlaczego te baby, jak się zakochają, tracą rozum.

Przypomniał mu się podobny przypadek. Z jednej strony oszust, siedemdziesięcioletni facet, do tej pory ścigany listem gończym, z drugiej młoda kobieta, naczelnik wydziału w dużym banku. Byli kochankami, nie byli, trudno powiedzieć, na pewno pozostawała pod jego wpływem, i to do tego stopnia, że kiedy przyszedł do niej z propozycją graniczącą z absurdem, przystała na nią. On mówi: „Wiesz, mam poważnego kontrahenta, ale muszę go przekonać, że jestem wypłacalny. Przelej w piątek na moje konto milion dolarów jednego z waszych klientów, w poniedziałek, z samego rana, je zwrócę. Nikt się nie zorientuje”. Oczywiście pieniądze nie było ani w poniedziałek, ani we wtorek, a w środę okradziony klient wszczął alarm i panią naczelnik aresztowano. Mimo wysiłków jej adwokata, aby udo-

wodnic, że działała pod wpływem uczuć, w jakimś zamienieniu umysłu, biegli tego nie potwierdzili i sąd wymierzył jej karę trzech lat pozbawienia wolności bez zawieszenia. Może gdyby to zrobiła żona, kara byłaby łagodniejsza, ale konkubiny nie mają co liczyć w sądach na pobłażliwość. Nawet sprawiedliwość w ich sprawach jest jakaś opieszala.

Nie rozumiem kobiet - myślał komisarz, kładąc się spać. Ale nie dane mu było spędzić tej nocy w spokoju. Miał dziwne, męczące sny, jakieś rozpedzone konie, olbrzymi głaz przygniatający piersi, ciemna woda wpływająca z jaskini.

Zapalił światło. Przeszedł się po mieszkaniu, po czym zgasił lampę i wrócił do łóżka.

W ciemności zamajaczyła mu twarz, którą zapamiętał w każdym szczególe: oczy, nos, usta, odęta górna warga, jak u obrażonego dziecka. Ona była takim dzieckiem, obrażonym na cały świat... niczym Rozeta... w filmie według Moravii, gdzie matkę grała Sophia Loren... Ta scena w łazience z dziewczynką, która obserwuje, jak matka obmywa swoje ciało, i scena nad rzeką gdzie matka zmywa krew z ud... W filmie obie zostają zgwałcone, matka i córka, w życiu tylko matka, ale ten fakt zaważył na losach całej rodziny, trzech kobiet i chłopca, który pewnie wkrótce będzie musiał zejść z obłoków i zmierzyć się z okrutną rzeczywistością.

Nie miały nikogo, kto by je obronił, nawet przed nimi samymi, nie było przy nich mężczyzny. Chyba siebie miał na myśli. Przeraziło go to, bo w tym mo-

«

mencie on sam stawał się Raskolnikowem, a powinien być po przeciwnej stronie.

Rano, w nader kiepskiej kondycji, komisarz udał się do pracy. Zastał tam już Aksamitnego, który robił sobie kawę, jej silny aromat czuć było już na korytarzu.

- Napije się szef? - spytał z przyjaznym uśmiechem.

- Nie, dziękuję - zaczął porządkować papiery na biurku.

- Mam newsy, szefie - oświadczył podwładny.

On też już wie - pomyślał, i to było jak nagłe ukłucie.

- Mów - odrzekł, starając się ukryć stan wewnętrznego zamętu.

- W tym Białymstoku koleśowi tuż przed wyjazdem do Niemiec ukradli samochód, wysłużonego mercedesa!

- I czego to dowodzi?

- Jeszcze niczego, tyle że dostał za tego grata dużo większe odszkodowanie, niż gdyby go sprzedał. Druga sprawa - ciągnął Aksamitny - kiedy zrezygnował z konsultowania, przyjechał do Polski dodgem-carawanem, ubezpieczonym w Niemczech, a sprowadzonym z Kanady. Kupił ten samochodzik o wiele taniej, niż wyniosło niemieckie ubezpieczenie. No i w Polsce kolejna kradzież i kolejne korzystne odszkodowanie w markach... Samochód zwinęli mu w dziwnych okolicznościach. Listopad, pustki, kaszubska wioska. Karwieńskie Błoto czy jakoś tak... Wreszcie Warsza-

wa, kancelaria na Starym Mieście, przy Freta. Koleś *jeździ* teraz starym jeepem cherokee, a już się trochę odkuł i chce wziąć w leasing terenowego nissana, więc zgłasza kolejną, trzecią już kradzież i znów inkasuje odszkodowanie!

- Istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności - burknął komisarz - a poza tym wyrażaj się przepisowo.

Aksamitny na chwilę zaniemówił.

- O co szefowi chodzi?

- O to, że nie mówi się koleś, ale denat!

- Niech będzie denat - odrzekł potulnie tamten - a co do zbiegów okoliczności, to tu się, szefie, nie zgodzę, mam asa w rękawie!

- To znaczy?

- Denat przed wyjazdem na placówkę prowadził firmę części samochodowych! Wiadomo, mafia mu upłynniała te niby kradzione auta. No i mogło być tak: nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka - zakończył Aksamitny swój wywód w ulubiony sposób, czyli przysłowiem.

- To już jest coś - odpowiedział komisarz z roztargnieniem. Dochodziła dziesiąta, a umówiony godzinę wcześniej świadek do tej pory się nie pojawił.

Około południa Zawadka wziął służbowy samochód i pojechał na Freta, gdzie zatrzymała się Liliana Sworowicz. Mimo że Stare Miasto dzieliło od komisariatu zaledwie kilka ulic, zajęło mu to ponad pół godziny. Warszawa stawała się zupełnie nieprzejezdna, i to bez względu na porę dnia. Jeszcze parę lat temu korki robiły się tylko w godzinach szczytu.

«

Do pracy komisarz dojeżdżał metrem i prawie nie używał swojego pięcioletniego audi, które trzymał w podziemnym garażu. Miejsce garażowe przypisane było do jego kawalerki.

Zawadka nacisnął guzik domofonu przy kutej żelaznej bramie, za którą widać było wewnętrzne podwórko, ale nikt nie odpowiedział. Miał za plecami kościół Franciszkanów i w pewnej chwili niemal ogłuszył go dźwięk dzwonów.

Jak ona wytrzymała ten hałas - przemknęło mu przez głowę, przy czym nie miał na myśli właścicielki mieszkania, ale jego obecną lokatorkę. Wreszcie udało mu się wejść na klatkę schodową. Długo pukał, jednak za drzwiami nie było słyhać żadnego ruchu. Prosto stamtąd pojechał do Brwinowa, do ośrodka dla dzieci niepełnosprawnych, gdzie pracowała druga córka Niny S.

Dyrektor wywołał ją z sali. Na jej widok Zawadka doznał nagłego skurczu serca, tak bardzo przypominała swoją siostrę.

Gabriela Sworowicz wyglądała na przestraszoną.

- Przecież ja już wszystko zeznałam... ja już nic więcej nie wiem...

Wiesz i będziesz musiała to powiedzieć - pomyślał.

Agłośno rzekł:

- Szukam pani siostry, nie stawiała się na wezwanie. Rano miała być w komisariacie.

- I nie było jej?

- Jak pani słyszy. Kiedy ostatnio się kontaktowałyście?

- Ostatnio... rozmawialiśmy przez komórkę wczoraj po południu... Lilka była umówiona z panem komisarzem. I nie przyszła? - Kobieta naprawdę wyglądała na zdziwioną.

- Wczoraj tak, ale miała też być dzisiaj, z samego rana - odpowiedział.

- No to nie wiem, co się stało - cedziła wolno słowa, jakby sama była jednym z tych autystycznych dzieci, którymi się zajmowała.

- Czy może pani do niej zatelefonować?

- Tylko pójdę po komórkę - zgodziła się.

- Chodźmy razem - zaproponował, w obawie że ona zechce uprzedzić siostrę.

Komórka Liliany nie odpowiadała.

- Wyślę jej SMS...

Zawadka namyślał się chwilę, po czym rzekł:

- Pani Gabrielo, siostra ma kłopoty, proszę mi zaufać i nie robić nic, co mogłoby pogorszyć sprawę.

- Jakie kłopoty? - spłoszyła się.

- Takie, jak cała wasza rodzina, jak wasza matka, która przebywa w areszcie!

Gabriela Sworowicz milczała.

- Przypuszczam, że siostra zabarykadowała się w mieszkaniu na Freta i ani nikogo nie wpuści, ani nie będzie odbierała telefonów, także od pani. Mógłbym użyć siły, ale tego wolałbym uniknąć. Czy zaufa mi pani i pożyczycy klucze do tego mieszkania? Na pewno ma pani zapasowe.

Po dłuższej chwili powiedziała:

- Mam klucze.

«

Wracając do Warszawy Zawadka bił się z myślami, jego ostatnie działania dla niego samego były niezrozumiałe. Mógł to przypłacić naganą, a nawet czymś gorszym - dyscyplinarnym zwolnieniem z pracy. I to teraz, kiedy wszystkim służbom, także policji, patrzono na ręce. Jeżeli pójdzie z kluczami na Freta i wejdzie do mieszkania, może się okazać, że od tej chwili stąpa po wąskiej kładce. Czy nie lepiej odpuścić? Są przecież inne sposoby, żeby zmusić świadka do mówienia. Może jednak wysłać funkcjonariusza z ponownym wezwaniem? Rzecz w tym, że nie chodziło wcale o dobro prowadzonego śledztwa, ale o to, że komisarz musiał natychmiast zobaczyć świadka, i dobrze wiedział, że tam pójdzie, nawet gdyby się miało to dla niego źle skończyć.

W mieszkaniu było ciemno. Potknął się o coś, zanim zapalił światło. Miał na przeciw wysokie lustro z konsolą, na której stało alabastrowe popiersie damy w wymyślnym koronkowym czepcu. Wyrzeźbienie czegoś takiego dowodziło wielkiego kunsztu. Na lewo były drzwi do salonu połączonego z kuchnią, a na wprost chyba drzwi do sypialni. Zaczął od salonu. Lilianę znalazł w sypialni, w kącie między łóżkiem a nocnym stolikiem.

Wyciągnął ją stamtąd i posadził na fotelu. Była bardzo blada, usta jej drżały.

- Przed kim się ukrywasz, przede mną? - spytał łagodnie.

Nie odpowiedziała, patrzyła na niego wylęknionym wzrokiem.

- Chodź do kuchni, zrobię herbatę i porozmawiamy.

Nie poruszyła się, poszedł więc sam, zaczął się tam krzątać. Nastawił elektryczny czajnik i z zadowoleniem stwierdził, że jest tu odpowiednie naczynie do parzenia herbaty, gliniany imbryk. Herbaty też były w dobrym gatunku.

Porządny dom - przemknęło mu przez myśl.

Po długiej chwili Liliana przyszła jednak do kuchni, usiedli naprzeciw siebie przy dużym dębowym stole z lakierowanym blatem. Zawadka rozejrzał się za podstawkami pod filiżanki.

Wszystko tu jest na swoim miejscu - skonstatował - tylko one swoje życie postawiły na głowie...

- Dlaczego nie przyszłaś, tak jak się umawialiśmy?

Bo... się zaziębiłam - odpowiedziała, uciekając wzrokiem.

- Jadłaś coś dzisiaj? Może zrobić ci kanapkę?

- Wystarczy herbata.

- Możemy kontynuować?

Skinęła głową. Zawadka włączył dyktafon.

(nagranie)

Ten proces o majątek mamy i o dom... byliśmy pewne, że go wygramy... Latami słyszałyśmy o trudnościach, jakie przeżywa kancelaria Jerzego Barana... robił mamie sceny, kiedy kupowała mu buty... przy jego tuszy obcasy długo nie wytrzymały i trzeba je było przyklejać, ale but już wyglądał na sfatygowany

ny... Więc on narzekał, że mama wydaje pieniądze. Mama na to, że przecież nie są biedni, a on odpowiadał: ty nie jesteś biedna, ja jeszcze tak, kancelaria jest na dorobku... Rzecz w tym, że on miał nieograniczony dostęp do kont mamy, a ona do jego konta kancelaryjnego nie, ale zapewniał ją, że *to* konto niestety jest wciąż puste... Poza tym mama, zamiast dać mu pełnomocnictwo, uczyniła go współwłaścicielem, więc dla sądu Baran nie pobierał jej pieniędzy, ale swoje! Jedyną nadzieją była w udowodnieniu, że nie mogły to być jego pieniądze, bo ich nie zarabiał.

Pierwszy cios otrzymałyśmy, kiedy sąd oddalił wniosek o zakaz sprzedaży domu w Brwinowie i niestety podtrzymał to sąd apelacyjny: „Nie widząc przesłanek do uznania roszczeń powódki”, czyli mamy. Może nasz adwokat trochę się pośpieszył, bo mimo że sąd go do tego zobowiązał, Baran zwlekał ze złożeniem swoich pitów. Ale bałyśmy się, że jak zacznie przegrywać, to po prostu sprzeda Brwinów...

- Przenieśmy się na kanapę, będzie wygodniej - zaproponował komisarz.

To była skórzana kanapa narożna w kolorze ciemnozielonym, a przy niej okrągły stolik, też pokryty zieloną skórą. Postawili na nim filiżanki z herbatą.

- Czy to ta kanapa boleści twojej mamy? - spytał.
- Ta sama. - Liliana lekko się uśmiechnęła.

Nie była już taka blada, jak wtedy, gdy ją zastał wciśniętą w kącie sypialni.

- Przedtem pan B. się na niej wylegiwał, mama specjalnie dla niego kupiła tę zawalidrogę...

(nagranie)

Meble mamy, jej ukochane antyki, bibeloty zbierane latami to osobna historia. Bo kiedy mama opuszczała brwinowski dom, meble oczywiście tam zostały. Baran wspaniałomyślnie oświadczył, że mama może zabrać swoje rzeczy, ale chce być przy tym... Ona nawet się zgodziła, poprosiła tylko, żeby Gabi zamiast niej asystowała przy wyprowadzce, bo dla mamy byłoby to zbyt upokarzające. Siostra zadzwoniła do mnie, a ja się po prostu wściekłam. Pan B. będzie pilnował, czy przypadkiem mama nie wyniesie zawłaszczonych przez niego sreber?! Pamiętałam jego święte oburzenie, kiedy ludzie, którzy kupili Karwieńskie Błota, zjawili się przed końcem wyprowadzki.

- Nie mogli poczekać, aż im oddamy klucze? Widać, że słoma z butów! - grzmiał.

W Londynie poszłam do prawnika, ale on nie bardzo się orientował w polskim prawie, więc na miejscu wysłałam Gabi do kancelarii adwokackiej. Wróciła z wiadomością, że meble traktowane są jako własność osoby, do której należy dom, i trzeba udowodnić w sądzie, że ma się do nich prawo.

- To robimy zajazd! - postanowiłam.

Przyleciałam z Londynu na długi weekend, kiedy wiadomo, że wszyscy wyjeżdżają z Warszawy, także pan J. B. On zresztą co tydzień wynosił się do swoich córeczek do Białegostoku. Zwykle taki przezorny

«

nie zmienił zamków, być może przez oszczędność. Miałyśmy klucze od domu i nie było problemu ze spakowaniem wszystkiego w pudła. Zamówiliśmy transport, ludzie w kombinezonach wynieśli meble. Ogołociłyśmy naszą willę, no nie całkiem, miłosiernie zostawiłyśmy mu miejsce do spania, a w kuchni naczynia i sztućce. Ciągle miałyśmy w głowie, że jest taki biedny, nic nie zarabia, ledwo mu starcza na pensje dla pracowników. A jeszcze alimenty dla córek. Reszta mebli mamy została w jego kancelarii na Freta, między innymi pamiątka rodzinna, osiemnastowieczna zabawka, drewniany konik z siodłem pokryty dukatowym złotem. Mama wypożyczyła ją panu J. B. na szczęście. Pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy, kiedy weszłam do kancelarii na Różanej, to właśnie konik... Byłam tam tylko raz, rok temu, z moją siostrą. Chciałyśmy Barana poprosić, aby zachował się przyzwoicie i oddał nam dom... Po tej rozmowie odeszła mi ochota na widywanie tego człowieka... Oczywiście wściekł się, kiedy odkrył nasz zajazd. Próbował pertraktować chociaż o częściowy zwrot rzeczy. Zaproponowałyśmy, żeby wskazał, które meble są zakupione przez niego albo przywiezione z Białegostoku. Nie potrafił wymienić nawet jednego! Te meble stały w tym domu od przedwojny... A potem nastąpił cios ostateczny. Jerzy Baran złożył wreszcie pity i okazało się, że przez cały czas jego kancelaria miała wysokie dochody. Nie mogłyśmy pojąć, jak to możliwe, jak można latami odgrywać komedię, chodzić w starych butach, nosić wysłużoną

kurtkę z naderwaną kieszenią i stale oglądać się na portmonetkę mamy.

Mecenas Brzeski powiedział:

- Drogie panie, to już grób, mogiła.

Tak, to wtedy kupiłam broń...

Komisarz Zawadka wyłączył dyktafon. Patrzyli na siebie.

- Od kogo? Gdzie ją ukryłaś? - spytał po chwili.

- Od Ukraińców, dostałam kontakt przez panią od sprzątanania, to było łatwe... broń jest w komórce, pod węglem, na posesji siostry w Podkowie Leśnej. - Wjej głosie słychać było ulgę, nareszcie mogła wyznać długo tłumioną sobie prawdę. Niczym ulubiony bohater literacki komisarza: „To ja wówczas zabiłem starą lichwiarę i jej siostrę Lizawietę siekierą i ograbiłem”.

- Nie było twoich odcisków palców - powiedział cicho. - Sprawdzaliśmy.

Liliana mówiła gorączkowo, jak w transie.

(nagranie)

Kiedy otwierałam furtkę i drzwi wejściowe, miałam rękawiczki... ja ich nie wkładałam specjalnie, na dworze było zimno... A potem staliśmy naprzeciw siebie, niczego tam nie dotykałam oprócz broni... Nikt nie widział, jak wchodziłam i jak wychodziłam... samochód zaparkowałam trochę dalej, przy Puławskiej, bałam się, że on rozpozna moje auto i nie zechce mnie wpuścić... I tak mógł mnie nie wpuścić... ale furtka na posesję była otwarta, wystarczyło nacisnąć klamkę,

tak samo drzwi na dole, a drzwi do jego mieszkania nawet były uchylone... Zupełnie jakby los zapraszał mnie do środka...

Po wyjściu stamtąd zachowywałam się jak automat, mój mózg sam wydawał polecenia: wsiądź do samochodu, przekręć kluczyk w stacyjce... ręce mi się tak trzęsły, że było to trudne... I taka myśl się pojawiła, że może on... że Jerzy Baran jednak żyje i powinnam wezwać pomoc, ale nie zrobiłam tego, nie mogłam... nie mogłam tam wejść po raz drugi, to było ponad moje siły... A potem... potem pojechałam do mamy, na Freta... Mama otworzyła drzwi, o nic nie pytała, tylko się objęłyśmy... Od razu chciałam się przyznać, pójść na policję, ale mama powiedziała, żeby poczekać do rana... Wsadziła mnie do wanny, umyła mi włosy, wycierała mnie całą dużym ręcznikiem kąpielowym, jak kiedyś, gdy byłam dzieckiem... a potem schowała broń do reklamówki i powiedziała, że pojedziemy do Podkowy i tam przenocujemy... To mama prowadziła samochód... ja tak odczuwałam, jakby moje ciało zrobione było ze szmat... Obudziłyśmy Gabi, która poszła z mamą odrzucić węgiel...

Miałem rację, były w zмовie, wszystkie trzy - pomyślał.

(nagranie)

... potem siedziałyśmy przy stole. Widziałam, że Gabi jest przerażona, i to mi się udzielało, mama dała mi proszek na sen i kazała się położyć. Myślałam, że nie

zasnę, ale zasnęłam... kiedy się obudziłam, było już rano, dowiedziałam się od siostry, że mama pojechała do Warszawy i ma zamiar zgłosić się na policję... Chciałam za nią jechać... nie mogłam pozwolić, żeby wzięła to na siebie... ale Gabi mi powiedziała, że mama odciągnie ode mnie uwagę... dopóki nie znajdą broni, nic jej nie grozi... nam wszystkim...

Nie bardzo chciałam w to wierzyć, wtedy Gabi zaczęła krzyczeć, żebym chociaż raz się zastosowała do tego, co chcą inni... I jeszcze, że gdybyśmy z mamą jej posłuchały, to wszystko nigdy by się nie stało. Nie straciłybyśmy domu, a ten człowiek by żył...

Ja się znam na ludziach! - krzyczała coraz głośniej - ale wy wiedziałyście lepiej, ty i mama byłyście mądrzejsze, a najmądrzejszy był wasz Jerzy!

Po policzkach Liliany płynęły łzy.

(nagranie)

Ty nie wiesz, jaki to straszny ciężar zabić człowieka... Ja tego nie chciałam... To miał być argument w pertraktacjach... tak sobie wymyśliłam... Wejść i powiem: „Chcę odkupić od pana nasz dom!” I wyjmę z torebki broń, na wypadek gdyby odmówił. Chciałam go tylko nastraszyć...

Gdy mnie zobaczył, był wyraźnie zaskoczony, nie bardzo wiedział, po co do niego przyszłam... Miał na sobie szlafrok i był już dobrze wstawiony, bo wiadomo, że wieczorami żłopie whisky... Nie, on się nigdy

nie upijał, on tylko bywał wstawiony. Tego wieczoru też.

- Czemu zawdzięczam tę wizytę? - spytał. - Gdybym wiedział, co za zaszczyt mnie spotka, włożyłbym smoking... Jeśli chodzi o poradę prawną, to po godzinach nie udzielam, zgłoś się jutro do kancelarii. Ciebie przyjmę bez kolejki.

- Chodzi o nasz dom - odrzekłam. - Chciałabym zaproponować panu jego odkupienie.

Roześmiał mi się prosto w twarz:

- O wasz dom, no proszę. A skąd weźmiesz pieniądze?

- Mój londyński bank udzieli mi kredytu, to kwestia kilku dni.

Zwlekał z odpowiedzią, zaczęliśmy się kłócić. Wygarnęłam mu, że pojawił się po to, aby zniszczyć mamie życie. Zanim go poznała, była szczęśliwą kobietą, miała wszystko, sławę, pieniądze...

- No cóż, fohtuna kołem się toczy! - Nie wymawiał „r” i słowo „fortuna” zabrzmiało w moich uszach szczególnie nieprzyjemnie.

Zacisnęłam zęby i chciałam wrócić do negocjacji, ale wtedy on wyjął jakiś dokument i zaczął machać mi przed nosem.

- Co to jest? - spytałam, czując, jak wszystko we mnie sztywnieje.

- Sprzedałem willę w Brwinowie!

... mało pamiętam, co się działo potem..., dlaczego ten pistolet strzelał i nagle przestał... On leżał na podło-

dze, a ja stałam z bronią w ręku, powoli docierało do mnie, że to ja strzelałam...

Liliana trzęsa się jak w gorączce, Zawadka wziął ją za ramiona.

- Uspokój się! Ja teraz pojedę do Podkowy i zabiorę stamtąd broń. Składzik z węglem to nie jest dobra kryjówka - mówił powoli, jak do dziecka. - To był wypadek. Rozumiesz? Wypadek! Chodź, położę cię do łóżka, zaśniesz, a ja wrócę tu rano.

Patrzyła na niego.

- Nie aresztujesz mnie?
- Nie, jadę pozbyć się broni.
- A co będzie z mamą?
- Odwoła swoje zeznania - odrzekł.
- I wypuszczają? - spytała z nadzieją.

Nie tak od razu - pomyślał. - Sprawa musi trafić przed sąd, ale o tym już Lilianie nie powiedział. Ciagle jeszcze nie była zdolna tego wszystkiego pojąć.

- Czy ja... czy naprawdę tak można?
- Tak trzeba - odparł krótko.

Z mieszkania przy Freta wychodził już jako cywil. W nocy odnalazł w składziku z węglem reklamówkę, a potem odwiedził swojego znajomego, Józefa M., którego jako młody aspirant aresztował tyle razy, że zdążyli się zaprzyjaźnić. Józef M. w końcu się zre-socjalizował i znalazł sobie pracę w spalarni śmieci. Nie zadając zbędnych pytań, otworzył żeliwne wrota, za którymi buzował ogień, i wrzucił tam reklamówkę wraz z jej zawartością. Na prośbę komisarza otworzył

te wrota raz jeszcze i w ten sposób Zawadka pozbył się dyktafonu.

- Nie będzie mi już potrzebny - powiedział, a jego przyjaciel też o nic nie zapytał.

Po powrocie do domu komisarz zaparzył herbatę, usiadł przy stole i napisał prośbę o zwolnienie ze służby.

A jutro - pomyślał - jutro ją znowu zobaczę...



W powieści wykorzystano fragmenty wiersza
Małgorzaty Hillar *Ściana*.

Redaktor prowadzący: Dariusz Sośnicki
Redakcja: Elżbieta Michalak
Korekta: Anna Adamiak, Alicja Chylińska

Projekt okładki i stron tytułowych: Anna Pol/konieckropka
Fotografia autorki: © Elżbieta Lempp
Fotografie wykorzystane na 1 stronie okładki:
© Małgorzata Bargielska

Wydawnictwo W. A. B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel. /fax(22)646 01 74, 64601 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7a
Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza
im. W. L. Anczyca S. A., Kraków

ISBN 978-83-7414-620-3